

Karolina Tatarzyńska

Na [redacted] u taty

O codzienności miejsca szczególnego – próba reportażu antropologicznego

11.05.2017



Uniwersytet Łódzki
Wydział Filozoficzno-Historyczny
Kierunek: etnologia

Karolina Tatarzyńska
(nr indeksu: 120371)

Na [REDAKTOR] u taty

O codzienności miejsca szczególnego – próba reportażu antropologicznego

Praca magisterska napisana pod kierunkiem
prof. dr hab. Andrzeja P. Wejlanda

Łódź 2011

Wstęp

Inspiracją dla projektu tej pracy stał się mój tata oraz jego koledzy i współlokatorzy, czyli społeczność ulicy [REDAKTOR]. Dla tych, którzy mieszkają w centrum Łodzi, nazwa tej ulicy z pewnością okaże się znacząca. Kojarzy się ona bowiem, dosyć jednoznacznie zresztą, z miejską biedą i rodzinami z problemem alkoholowym. Gdy teraz myślę o biedzie i jej wszelkich przejawach, tej biedzie w mieście i tej na wsi, tej w czasach wojny i tej współczesnej, to chciałabym właśnie biedę wskazać jako moją pierwotną inspirację. Pociąga ona za sobą prawie zawsze – w ludziach nią dotkniętych – szereg pomysłów i zachowań, których prostota, a jednocześnie innowacyjność wzbudzają we mnie szczerzy i głęboki podziw. Tematem tym zainteresowałam się jeszcze przed wieloma laty, gdy po raz pierwszy przeczytałam *Pięć lat kacetu*, a później również pozostałe książki Stanisława Grzesiuka. Może właśnie wtedy pojawiła się u mnie fascynacja ludźmi żyjącymi w trudnych, a czasami wręcz ekstremalnych warunkach życiowych. Ta fascynacja jest, rzecz jasna, wynikiem solidaryzowania się z ich losem. Mimo iż nie można porównywać obecnej sytuacji społeczno-finansowej Polaków z tą z lat wojennych, to jednak wciąż odnaleźć daje się nawet w dużych miastach enklawy biedy, w których społeczności rządzą się własnymi, niepisanymi prawami. Bieda bardzo często idzie w parze, choć wcale nie jest to regułą, z alkoholizmem dotkniętych nią ludzi. Połączenie to daje w efekcie coś, co będzie w niniejszej pracy głównym przedmiotem moich antropologicznych rozważań – kulturę ludzi wykluczonych, zwanych potocznie lumpami. Konkretnie zajmę się obserwacją jej reprezentantów z ulicy [REDAKTOR], [REDAKTOR] a jednocześnie ostatniej, jaką większość łodzian chciałaby w tym miejscu widzieć. Tu pojawia się pytanie, skąd bierze się niechęć przeciętnego Polaka do owej kultury lumpiarskiej. Zauważyłam, że przedstawiciele średniej klasy naszego społeczeństwa cechuje raczej negatywny stosunek do ludzi zwanych przez nich menelami, żułami bądź lumpami. W wypowiedziach tych pierwszych dostrzegam przede wszystkim niechęć graniczącą z obrzydzeniem oraz poczucie wyższości, które kusi, by dzielić ludzi na lepszych i gorszych, i to nie ze względu na przymioty duchowe. Dla mnie jest to zawsze moment, w którym należy zabierać głos w obronie tych „gorszych” i najczęściej wcale nie próbujących się bronić, gdyż, jak dosadnie ujął to Jacek Hugo-Bader w swym reportażu o włóczędze Charliem, „zaczyna się

od selekcji na ulicy, w lokalu, a kończy na rampie kolejowej”¹. Być może trochę na przekór współczesnym tendencjom kultury komercyjnej wybrałam właśnie owych meneli na bohaterów moich reportaży. Ich świat jest z pewnością niezbyt pożądanym przez obecne trendy, które zdają się przekonywać ludzi, że najważniejsze to dobrze wyglądać, dobrze pachnieć, przebywać w dobrym towarzystwie i otaczać się modnymi przedmiotami. Moi bohaterowie ze [redacted] nie spełniają raczej żadnego z tych warunków. Trudno się więc dziwić, że wielu chciałoby ten świat odsunąć od centrum miasta, które ma przecież kojarzyć się z dobrobytem i rozwojem. Jednak te same osoby, które wydają się przeszkodą w promowaniu turystycznych walorów śródmieścia Łodzi, okazują się wspaniałą inspiracją dla antropologów poszukujących tego typu kultur – z własnym systemem wartości nie zniszczonym wciąż jeszcze przez komercjalizację życia. O tej fascynacji antropologa kulturami lokalnymi Robert Dzięcielski pisze:

W obliczu dokonujących się w świecie wielkich zmian nachodzą go [antropologa – przyp. K.T.] czasem wątpliwości, czy warto zastanawiać się nad sprawami codziennymi, lokalnymi, peryferyjnymi – nad Bystroniowskimi „drobiazgami”. Tej niepewności sprzyja oczywiście społeczny dyskurs zdominowany przez problematykę globalną i narzucający patrzeć na najmniejsze choćby sprawy z perspektywy ogólnej lub centralnej – tłumaczący wszelką lokalność prawidłowościami w najszerszej skali. Czy antropolog może się z tej niepewności wyleczyć? Leczy ją, przypomniawszy sobie, że powinien, jak kiedyś Bystron, własną tożsamość badawczą kształtować w sposób wolny od narzucanej przez kulturę, ujednociającej optyki, że powinien – szukając w kulturze różnic, wyczuwać koloryt i smak tego, co drobne i wyjątkowe, odległe od centrum, lecz przez ludzką intencjonalność ważne, wyjątkowe i niepowtarzalne. Antropologia kocha Bystroniowskie „drobiazgi”, bo odnajduje w nich Człowieka-W-Kulturze.²

Moja [redacted] prezentuje nie tylko Człowieka-W-Kulturze w czystej, rzecz można, postaci, lecz ma jeszcze jedną niepowtarzalną wartość – świat tam tworzony jest barwny, dosadny, a przede wszystkim szczerzy i pozbawiony autokreacji. Ta ostatnia cecha pozostaje nieoceniona we współczesnym świecie bazującym na nieustannym kreowaniu – ludzie obecnie kreują swój wygląd, maniery, osobowość, a także życie rodzinne, uczuciowe i zawodowe. Tym cenniejsze są dla antropologów te miejsca, zwłaszcza w miejskiej przestrzeni, gdzie znaleźć można ludzi żyjących gdzieś na marginesie dominującej kultury, którzy potrafią stworzyć świat

1 J. Hugo-Bader, *Rozkosze niemania*, „Duży Format” (dodatek do „Gazety Wyborczej”) 2009, nr 37/845, s. 4.

2 R. Dzięcielski, *Ludowe obrazy miasta. Inspiracje Bystroniowskie*, Łódź 2001, s. 138.

nieudawany, mający co prawda liczne wady, lecz nie pretendujący do bycia innym niż w rzeczywistości.

Z projektem tej pracy było więc tak: najpierw pojawiło się we mnie zainteresowanie ludźmi żyjącymi w biedzie, a później okazało się, że niezwykle inspirujący jest dla mnie świat mojego taty i jego współlokatorów. Mój tata był niczym wrota prowadzące do świata ulicy [REDACTED]. Niekiedy pełnił on także rolę tłumacza tamtej kultury, zarówno w sensie dosłownym, gdy objaśniał niezrozumiałe dla mnie słowa, jak i w głębszym znaczeniu, kiedy tłumaczył sprawy dnia codziennego ulicy [REDACTED] i okolicy. Za najbardziej realny i namacalny początek niniejszej pracy przyjąć mogę czas, gdy zaczęłam fotografować mojego tatę i jego towarzyszy, a wraz z pierwszymi zdjęciami wykonywanymi w jego mieszkaniu powstawały również moje pierwsze reportaże z ulicy [REDACTED].

Niniejsza praca jest zatem zarówno opowieścią o świecie mojego taty, jak i opowieścią o moim – tym zwyczajnie ludzkim i tym antropologicznym – postrzeganiu tego świata. Rozdział pierwszy dotyczy metodologicznej strony moich doświadczeń zdobytych podczas bywania na ulicy [REDACTED]. W rozdziale drugim ulica [REDACTED] posłuży mi jako przykład miejsca ubogiego, zamieszkanego w większości przez ludzi wykluczonych, co oznacza, że wykorzystam typowe dla niej zachowania z życia codziennego do rozważań dotyczących zagadnienia ubóstwa we współczesnym świecie, próbując prześledzić także zmiany, jakie zaszły w traktowaniu ludzi ubogich oraz w przypisywaniu im konkretnej roli społecznej. Rozdział trzeci omawia historię reportażu jako gatunku literackiego, ze szczególnym uwzględnieniem jego obecnej sytuacji, a także dokonuje zestawienia dwóch profesji, które, choć pozornie różne, okazują się mieć ze sobą wiele wspólnego – przyrównuję w nim pracę reportera do pracy antropologa. W rozdziale czwartym zaprezentuję moją wizję ulicy [REDACTED] widzianej przez pryzmat pojęcia „heterotopii” stworzonego przez Michela Foucaulta. Ostatni rozdział, piąty, będzie subiektywnym zapisem moich osobistych doświadczeń nagromadzonych w czasie wieloletniego wizytowania świata mojego taty, a utrwalonych w pamięci w postaci zlepeków wspomnień, zatrzymanych niczym w fotograficznym kadrze obrazów i wciąż jeszcze brzmiących w moich uszach rozmów. Te relacje ze [REDACTED] przybiorą tam formę zbioru reportaży.

Antropologiczne bywanie w świecie mojego taty

Pisząc o moich doświadczeniach, zarówno tych o charakterze antropologicznym, jak i tych zwyczajnie ludzkich, zebranych podczas bywania u taty na [REDAKTOWANE], chciałabym najpierw zakotwiczyć je w jednym z nurtów antropologii. Z pewnością poczynione przeze mnie obserwacje oraz tworzone później na ich podstawie antropologiczne refleksje i reportaże wpisują się w nurt antropologii codzienności stawiającej w centrum swoich zainteresowań właśnie życie codzienne człowieka. Ustalmy zatem na początek, czym w ogóle jest owa codzienność. Jak pisze Grażyna Ewa Karpieńska:

Codziennosc składa się z kulturowo ukształtowanych i uporządkowanych sytuacji (wydarzeń, zachowań) typowych (powtarzalnych), mających określony przedmiot, mieszczących się w określonej przestrzeni i czasie, wśród określonego zestawu rekwizytów, wymagających od uczestników określonego sposobu zachowania. Trwanie swoje zawdzięczają różnym, kulturowo określonym elementom, niekoniecznie „najmocniejszym” czy najbardziej widocznym (oczywistym), bowiem o życiu społecznym i życiu ludzi decydują często elementy pozornie błahe – mające charakter ukryty, ale kulturowo konieczny dla zaistnienia sytuacji³.

Tak rozumiana codzienność, dodajmy od razu – codzienność świata mojego taty, stała się dla mnie podstawą do wielu przemyśleń, antropologicznych analiz oraz zachętą do stworzenia niedużego zbioru reportaży. Zdając sobie jednak sprawę z tego, że część historii z życia taty i mieszkających z nim towarzyszy, rzadziej towarzyszek, może wydawać się historiami opowiadającymi raczej ich niecodzienność, pragnę zapewnić, że one również zaświadcniają o sytuacjach dnia powszedniego. Są może jedynie bardziej wyraziste, dzięki czemu mocniej wryły się w moją pamięć, jednak bez wątplenia pozostają uwikłane w codzienny rytm życia ulicy [REDAKTOWANE]. Ten właśnie rytm starałam się oddać w reportażach, które stały się dla mnie sposobem na realizację zadania postawionego przed antropologiem, także tym początkującym,

3 G.E. Karpieńska, *Miejsce wyodrębnione ze świata. Przykład łódzkich kamienic czynszowych*, Łódź 2000, s. 7.

zadania sformułowanego jako odsłanianie „niejawnej strony oczywistych czynności dziejących się wokół nas”⁴.

Świat taty żyjącego na ulicy [REDAKTOR] doskonale wpisuje się w zakres zainteresowań antropologii codzienności, a więc także – biorąc pod uwagę miejsce jego funkcjonowania, czyli centrum dużego, jak na polską rzeczywistość, miasta – w obręb refleksji właściwej antropologii miejskiej codzienności. Andrzej P. Wejland, pisząc o tym właśnie rodzaju antropologii, uprawianej w przypadku jego rozważań w czasie letnich przechadzek po miejskich parkach, stwierdza:

Antropologia codzienności, i ta Rocha Sulimy, i ta moja, ta zatem, o której chcę tu parę słów powiedzieć, to – jak widać – antropologia mieszcza, kogoś, kto pomimo wszystkich utrapień i niewygód lubi miasto, a może nawet żyć bez miasta nie umie, kto swoje miasto (niekoniecznie zapominając o innych przestrzeniach) traktuje właśnie jako źródło poznania i badawczy teren, owszem – wygodny, bo na miejscu, ale przy tym (ważniejsze to przecież) arcyciekawym, niezmiernie intrygujący i pociągający⁵.

Również i ja mogłabym podpisać się pod tymi słowami. Nieduży wycinek miasta, jedna właściwie ulica stała się dla mnie bowiem badawczym terenem, a nawet czymś więcej – źródłem prawdziwego poznania innego świata i zamieszkujących go ludzi, którzy swoim życiem wielokrotnie skłaniali mnie do zadumy nad sensem ludzkiego istnienia i najcenniejszymi jego wartościami. Nie mogę jednak powiedzieć, że na [REDAKTOR] prowadziłam jakiegokolwiek badania terenowe. Na [REDAKTOR] po prostu bywałam. Przychodziłam do taty w odwiedziny, siedziałam, rozmawiałam, poznawałam kolejnych jego współlokatorów, słuchałam przeróżnych opowieści i ciekawostek, a czasem wcale nie zastawałam taty w mieszkaniu. Zawsze jednak chętnie wszystko obserwowałam, chłoniłam atmosferę tej ulicy, jej obskurnych zazwyczaj podwórek i biednych mieszkań pachnących smażonym mięsem i wódką. Bywałam tam z nieodłączną dla mnie ciekawością świata, a zwłaszcza z ciekawością tych wszystkich małych światów, żyjących jakby trochę na uboczu i nie zawsze przystających do całej wielkomiejskiej reszty. Na [REDAKTOR] nie prowadziłam zamierzonych badań, bo też nie miałam powodów, by je prowadzić. Początkowo moja praca dotyczyła zupełnie innego tematu i właściwie dosyć późno, bo dopiero pod koniec życia mojego taty podjęłam decyzję, że chcę pisać właśnie o nim i o życiu na jego ulicy. Decyzja ta zresztą przyszła mi tym łatwiej, że spodziewałam się mojego dalszego

4 Cytat za: tamże, s. 8-9.

5 A. P. Wejland, *Latem w parku. Epifanie codzienności*, [w:] *Lato w mieście. Różne oblicza kultury*, red. R. Godula-Węclawowicz, Warszawa-Kraków 2010, s. 146.

uczestniczenia w życiu taty i jednocześnie uczestniczenia taty w zbieraniu obserwacji do mojej pracy. Dopiero moment jej podjęcia można by uznać za początek prowadzonych badań, choć tak naprawdę większa część opisywanych przeze mnie wydarzeń dotyczy lat wcześniejszych. Pisać lubię zresztą z pewnego dystansu, kiedy to w pamięci zostaje to, co rzeczywiście okazuje się z jakichś względów istotne i najbardziej godne zapamiętania. Jedynie raz lub dwa zdarzyło mi się opisywać tamtą rzeczywistość w miarę na bieżąco. Dobrze stało się więc, że moje bywanie na [REDAKTOWANO] było bywaniem długo trwającym, bo dzięki temu miałam możliwość obserwowania zachodzących u taty zmian, zarówno tych w warstwie materialnej, gdy zmieniały się mieszkania i przedmioty, tych w warstwie ludzkiej, gdy odchodzili kolejni jego towarzysze (najczęściej zresztą odchodzili nie w obrębie tego świata, lecz odchodzili z tego świata), jak i zmian w samym tacie, które były nieodłącznym elementem prowadzonego na [REDAKTOWANO] stylu życia. Decyzja o opisywaniu tamtejszej rzeczywistości, rzeczywistości z pewnością nie mojej, a jedynie będącej jednym z kawałków moich różnych światów, nie była wcale decyzją łatwą. Wiązała się bowiem z zaakceptowaniem przeze mnie faktu, że będę w swoich reportażach wkraczać w prywatny świat innych ludzi, a zwłaszcza mojego taty. Sprawy tej pracy nie mogłam przed nim przemilczeć. Tata został więc poinformowany o tym, że zamierzam pisać o nim i o [REDAKTOWANO]. Przeciwny nie był, a nawet się uśmiechnął. Szczegółowych pytań nie zadawał, bo i nie miał zwyczaju ich zadawać. W związku z tą pracą zaproponowałam mu także wspólne fotografowanie jego ulicy. Właściwie ta propozycja wypłynęła, gdy któregoś razu tata wyciągnął ze skrytki w pufie trzymany tam dla mnie aparat fotograficzny, który znalazł jak większość swojego sprzętu domowego na klejbie (czyli podczas szperania po śmietnikach). Był to zwykły, plastikowy aparat na kliszę. Tata chciał mi go podarować, bo wielokrotnie widział mnie robiącą zdjęcia. Trzymał więc ten aparat w ukryciu, by nikt z przewijających się przez jego mieszkanie ludzi nie połakomił się na niego. Tata nie wiedział zresztą, że w dobie szybko rozwijającej się fotografii cyfrowej taka zwyczajna idiotkamera nie jest wiele warta. Nie zamierzałam mu tego wcale mówić, a aparat postanowiłam wypróbować w zgodzie z wyznawaną przeze mnie zasadą, że zawsze warto dawać szansę nawet kiepskim na pierwszy rzut oka sprzętom, które niejednokrotnie okazują się być przedmiotami z duszą. Wtedy również przyszedł mi do głowy pomysł, by pewnego razu iść razem z tatą na spacer po [REDAKTOWANO] i wspólnie robić zdjęcia. Tata tym prostym w obsłudze aparatem z klejby, a ja moją ulubioną Praktiką. Chciałam zobaczyć, jak tata sfotografuje swoją ulicę, poznać jego widzenie [REDAKTOWANO], choć trudno było mi wyobrazić sobie, jak ten spacer miałby wyglądać. Tata zgodził się i chyba nawet ta propozycja ucieszyła go, bo zaśmiał się lekko. Tyle że do realizacji nie miało już dojść, a to spotkanie było jednym z naszych ostatnich.

Tata odszedł z tego świata, a wraz z jego odejściem zakończyło się moje regularne bywanie na [REDACTED]. Potem co prawda posiedziałam jeszcze parę razy w jego dawnym mieszkaniu, poprzeglądałam należące do niego niegdyś rzeczy, pogadałam z [REDACTED] a nawet poznałam wówczas pana [REDACTED], najstarszego sąsiada taty, ale było to raczej żegnanie się z tym czarującym, choć czasem również przerażającym światem ulicy [REDACTED]. Dopóki tata żył, [REDACTED] była częścią mojego życia i myślałam o niej z reguły w czasie teraźniejszym. Pisząc, również stosowałam ten czas, bo miałam wrażenie, że opisywane przeze mnie historie wciąż się wydarzają. Wraz z odejściem taty przerzuciłam [REDACTED] do czegoś, co zwie się przeszłością. Początkowo zresztą nie przychodziło mi to bez wewnętrznego bólu, gdyż czułam, że – po pierwsze – oznacza to definitywne pożegnanie z tatą, i – po drugie – że umyka mi gdzieś temat mojej pracy, a jednocześnie sens jej pisania. Z czasem uznałam, iż ten sens wręcz pogłębił się i zaczęłam widzieć swoją rolę w opisywaniu fragmentów tego odchodzącego świata. Umieszczenie go w przeszłości nie oznaczało wcale, że zupełnie straciłam z nim kontakt. Kilkakrotnie odwiedziłam jeszcze pana [REDACTED], którego opowieści i życiowe doświadczenia robiły duże wrażenie i to nie ze względu na ich barwność, lecz emanujący z tych historii spokój i zaufanie do życia. Po kolejnej dłuższej nieobecności na [REDACTED], mój mąż, dowiedział się od [REDACTED] o odejściu pana [REDACTED]. Niektórzy dawni towarzysze taty być może wciąż jeszcze miewają się całkiem dobrze, tyle że my już bardzo rzadko do nich zaglądamy.

Być sobą w różnych rolach

Rozważania o doświadczeniach antropologicznych związanych z bywaniem w świecie mojego taty już u progu zakładają jedną z moich życiowych ról – bycie antropologiem. Gdy myślę jednak o roli antropologa poznającego, doświadczającego i penetrującego ulicę [REDACTED] wraz z jego półświatkiem, nie mogę pominąć również innych ról czy może raczej właściwości mojej osoby, które nie pozostawały bez wpływu na prowadzenie, a później także na opisywanie moich „badań” antropologicznych. Zawsze występowałam bowiem na [REDACTED] jako kobieta, a mówiąc jeszcze dokładniej jako córka [REDACTED], a jednocześnie jako mama małych dzieci. Nie są to fakty bez znaczenia, choć z pozoru wydają się czymś oczywistym i pozbawionym znamion niezwykłości. Bycie córką mojego taty stawało się dla mnie niejako paszportem do odbywania wędrówek po jego świecie. Tata był przecież zawsze u siebie, a to pozostali byli jego gośćmi. Jako córka mogłam zatem uczynić więcej kroków i nawet jeśli zostałyby przekroczona jakaś granica, to i tak nikt nie zwróciłby mi uwagi. Jedynie raz zdarzyło mi się, że siedzący u taty mężczyzna o szarej twarzy i dość niepokojącym wyglądzie

zaprotestował, gdy wyjęłam aparat fotograficzny. Wówczas również mogłam sprawdzić siłę wynikającą z bycia córką [REDAKTOR]. Odpowiedziałam mu, że jestem przecież u taty i mogę robić zdjęcia, więc jeśli mu to przeszkadza, to będzie musiał wyjść. Mężczyzna ten, który okazał się świeżo wypuszczonym z więzienia sąsiadem taty z naprzeciwka, nic więcej nie powiedział. Poza tym jednym razem, gdy poczułam niepokój, zawsze czułam się na [REDAKTOR] bezpieczna. Wiedziałam, że mogę się powołać na tatę. Ta ochrona dotyczyła choćby głupich żartów, na które z pewnością byłabym narażona, gdybym jako młoda antropolog ruszyła do mieszkań obcych ludzi ze [REDAKTOR]. Żarciki, przytyki, dwuznaczne propozycje – wszystko to ominęło mnie za sprawą pokrewieństwa z [REDAKTOR]. Ze względu na moją płć współlokatorzy taty starali się nawet czasami panować nad językiem i powstrzymywać się przy mnie od używania niecenzuralnych słów, co nie przychodziło im zresztą bez trudu. Mogę się pokusić o stwierdzenie, że bycie kobietą, lecz kobietą nie z ich świata, a w dodatku córką jednego z nich – uczestnika tamtej kultury – stworzyło w pewnym sensie bardzo dobry grunt do prowadzenia antropologicznych obserwacji i jest wielce prawdopodobne, że żadna inna relacja nie byłaby tak sprzyjająca. Choć być może równie dobrze mogłabym stwierdzić, że jedynie mężczyzna byłby w stanie przeprowadzić rzetelne obserwacje i badania na [REDAKTOR], gdyż tamtejszy świat kulturowy był światem głównie męskim, i nawet jeśli pojawiały się w nim kobiety, to musiały dorównywać męskością swoim towarzyszom. Odnoszę jednak wrażenie, że bycie kobietą w świecie mężczyzn udostępnia to, co mężczyznom nie przystoi, czyli na przykład zadawanie szczegółowych pytań, które często wydają się naiwne, a nawet głupie. Mężczyźni w wyobrażeniu kulturowym nie powinni być wścibscy, nie powinni chcieć wiedzieć zbyt wiele. Kobietom na szczęście jest to z góry przypisywane, a więc realizowanie tych wyobrażeń nie budzi zdziwienia i nieufności. Jednak patrząc na tę sprawę z drugiej strony, kobieta w świecie mężczyzn również wiele traci – ominąć ją muszą bowiem wszystkie gry prowadzone pomiędzy mężczyznami, gry mające potwierdzać ich męskość, przejawiającą się niekiedy w lekceważącym stosunku wobec kobiet. Nie usłyszy ona zatem tych wszystkich barwnych – by nie powiedzieć wręcz podbarwionych – opowieści z dziedziny doświadczeń erotyczno-seksualnych. Tyle że rekompensata za niemożność bycia jednym z kreatorów męskości nie jest wcale mała. Pisze o tym Kirsten Hastrup w rozdziale poświęconym jej przygodzie z tworzeniem przedstawienia o niej jako o antropolożce. Doświadczenie oddania siebie w ręce zespołu teatralnego porównywalne z doświadczeniem poddania się swoistym badaniom terenowym, skłoniło Hastrup do nowego spojrzenia na znaczenie płci badacza:

[...] skłonna jestem sądzić, że być może płęć antropologa to jednak coś więcej niż oczywisty (dziś) fakt, iż płęć jest zawsze źródłem wiedzy. [...] zauważę tylko, że ze względu na taką, a nie inną konstrukcję płęci w społeczeństwie zachodnim, kobietom „wolno” posługiwać się w poszukiwaniu wiedzy intuicją w większym stopniu niż mężczyznom. Podobnie jak oni, muszą „racjonalizować”, by wytworzyć naukę; nie są jednak socjalizowane wyłącznie do racjonalności. W odróżnieniu od większości nauk, antropologia niemal otwarcie rozmywa opozycję między intuicją a racjonalnością. Z pewnością podczas badań terenowych potrzebne jest i jedno i drugie, co w pewien sposób odzwierciedla paradoks wpisany w kulturową definicję płęci kobiecej, z podwójną socjalizacją jako obiektu i podmiotu włącznie⁶.

W moim osobistym doświadczeniu, nie tylko zresztą tym związanym z uprawianiem antropologii, wielokrotnie okazywało się, że to właśnie intuicja pomagała mi w dużo większym stopniu niż myślenie racjonalne, i równie często zdarzało się, że to właśnie jej zawierzałam.

Moją tożsamość wśród ludzi na [REDAKTOWANE] najłatwiej było zatem zdefiniować przez pokrewieństwo z [REDAKTOWANE], gdyż byłam w tym świecie przede wszystkim jego córką. Na to jeszcze nakładało się postrzeganie mnie przez pryzmat kolejnych relacji rodzinnych. U taty pojawiałam się bowiem także z [REDAKTOWANE] i z dziećmi – [REDAKTOWANE]. Byłam zatem również żoną i matką.

Pozwolę sobie w tym miejscu na niewielkie odejście od głównego tematu, by opisać sposób postrzegania „innych” światów i „innych” ludzi przez dzieci. Otóż Fryderyk najczęściej bywał ze mną u mojego taty, a swojego dziadka w okresie, gdy był chłopcem dwu-trzyletnim. A małe dzieci, u których nie do końca rozwinięte jest jeszcze własne ego, co, jak niektórzy twierdzą, następuje wraz z opanowaniem umiejętności mówienia, są wolne od oceniania i osądzania otaczającego ich świata. I tak na przykład dwuipółletni Frycek, który mówił jeszcze wówczas dosyć słabo, bardzo chętnie przychodził ze mną do swojego dziadka na [REDAKTOWANE]. Nieocenianie przez niego rzeczywistości przejawiało się najwyraźniej w sferze wzrokowej i zapachowej. Nie odczuwał on dyskomfortu z powodu brudnych łóżek, na których siadał bez oporów, resztek jedzenia rozmieszczonych chaotycznie na stole ani z powodu wdzierających się do nosa nieznośnych niekiedy zapachów, którymi przesiąknięte było mieszkanie taty. Wręcz przeciwnie, Fryderyk świetnie się bawił w towarzystwie współlokatorów swojego dziadka, zjadając z nimi kiszony ogórek i podkradając cukier z cukierniczki. Później jako starsze dziecko już niechętnie odwiedzał mieszkanie na [REDAKTOWANE], wyraźnie brzydząc się tamtego świata. Z Esterką sprawa wyglądała zupełnie inaczej, gdyż ona bardzo wcześnie opanowała umiejętność

6 K. Hastrup, *Droga do antropologii. Między doświadczeniem a teorią*, Kraków 2008, s. 140-141.

mówienia, a co za tym idzie także zdolność wartościowania świata i jego zjawisk. Do tego dochodziła jej niechęć do towarzystwa mężczyzn. Dlatego też rzadko mogłam zabierać ją ze sobą do mieszkania taty i jedyną możliwością było spotkanie się na podwórku przed kamienicą, gdzie zwiększał się dystans pomiędzy osobami. Niemniej i [REDACTED] bywali razem ze mną na [REDACTED], co stawiało mnie z kolei w oczach towarzyszy taty w roli matki.

Zarówno bycie córką [REDACTED], żoną [REDACTED], jak i mamą [REDACTED] czyli wówczas stosunkowo małych dzieci, sprzyjało wyznaczeniu granic. Moja pozycja była więc od początku wyraźnie określona. Bycie córką – antropologiem wywarło decydujący wpływ na przebieg moich obserwacji, przede wszystkim dlatego, że w ogóle mogłam te obserwacje poczynić dzięki tacie żyjącemu na [REDACTED]. Natomiast z faktu, że jestem mamą (obecnie trojga, a wówczas dwojga dzieci) wynikał raczej sposób postrzegania i rozumienia taty, jego kolegów i całego otaczającego ich świata ubóstwa. Nie traktowałam ich jako ludzi gorszych, przegranych, lecz – wręcz przeciwnie – starałam się dostrzegać zawsze duchową stronę ich istnienia – ich wrażliwość, dobroć i pokorę wobec życia. Tomasz Rakowski, antropolog prowadzący badania wśród ludzi uboższych, tak opisuje stan swoich uczuć wobec zetknięcia z ich światem:

Jest to natomiast, nie sposób tego nie powiedzieć, pewien antropologiczny wymiar współczucia, chociażby dlatego, że antropologia to przecież zawodowe współodczuwanie. Tutaj jednak to współczucie ma zupełnie inne znaczenie niż w potocznym uzusie i pewnie dla wielu jest niezrozumiałe. Współczucie przybiera tutaj bowiem zupełnie inną formę, nie jest, jak pisała Joanna Tokarska-Bakir, próbą zwyczajowego pocieszenia czy współpragnieniem zmiany na lepsze. Współczucie nie oznacza też, że ten, który zna jakieś przyczyny tej „złej sytuacji”, nosi w głowie funkcjonalną naukę społeczną i jakiś projekt „rozwiązania problemu”. Współczucie jest bowiem samo w sobie rodzajem zaniechania działania; ten kto je odczuwa, pozostaje jakby na poziomie świata tych ludzi, którym współczuje, zaledwie ich wizytując. Zachowuje wszelkie żale i lamente, nie próbując ich pokonać czy zniwelować, nie próbując uczynić rzeczywistości bardziej operatywną, pomijając społeczną przestrzeń zależności. To „antropologiczne przesunięcie”, antropologiczna wizytacja świata człowieka zdegradowanego, pozwala natomiast dostrzec, poprzez własne „niedziałanie” i owo szczególnie współczujące myślenie – że nie są to światy „puste”. Pozwala na to, by z całą powagą (z całą uwagą) uznać ten inny, obcy sposób funkcjonowania w świecie, pełen napięć, niepokojów, lęków społecznych, jako istniejący *par excellence* i opisać wreszcie, tak jak to zalecał Valentine, pełnoprawne doświadczenie i sposoby bycia ludzi

biednych i zubożałych. Opisać wewnętrzny, kulturowy świat człowieka zdegradowanego⁷.

Przemyślenia Rakowskiego wydają mi się szczególnie bliskie, choć, patrząc dzisiaj z pewnego dystansu czasowego i emocjonalnego, przyznać muszę, że nie zawsze udawało mi się „zaniechać działania” podczas wizyt w świecie taty. Z jednej strony, jako córka tworzyłam niekiedy wizje zmieniania tacie życia, zmieniania na lepsze, jak sądziłam. Oczywiście te myśli nie towarzyszyły mi zawsze, lecz jedynie pojawiały się, a potem „z braku czasu i chęci” równie szybko znikwały. Z czasem dotarło do mnie jednak, że jakiegokolwiek zaangażowanie z naszej strony mające na celu poprawienie życia taty i skierowania go jakby na inny tor nie ma sensu. Z czasem więc również dużo łatwiej zaczęło mi przychodzić owo „niedziałanie” będące wyrazem prawdziwego współodczuwania. Wówczas przestałam snuć marzenia o szukaniu dla taty przysłowiowej wędki zamiast ryby i ograniczyłam się po prostu do bycia z nim w jego świecie. Z drugiej strony, jako antropolog rozmiłowany w tej specyficznej rzeczywistości w ogóle nie widziałam potrzeby, by cokolwiek w niej zmieniać i ulepszać, bo mimo pozornych niedoskonałości wydawała się ona swoiście doskonała i pełna. Zwłaszcza że ten inny świat, świat ulicy ██████████, był i wciąż jeszcze pozostaje przykładem świata niszowego, nieprzystającego do współczesnych trendów, świata odchodzącego powoli z przestrzeni tworzonej i zajmowanej przez współczesną kulturę konsumpcyjną. A zatem jako początkująca antropolożka tym większy widziałam sens jego istnienia i tym większą radość odczuwałam, mogąc w nim bywać oraz doświadczać choć pośrednio jego codziennych spraw i zajęć, trosk i uciech. Podczas wizytowania tej innej rzeczywistości, w której byłam jedynie gościem, co prawda stałym i spodziewanym, lecz jednak osobą przychodzącą z zewnątrz, czasem górę brały uczucia córki, innym znów razem antropologiczne współczucie, jednak najczęściej współgrały one ze sobą, wcale się nie wykluczając.

Rakowski udał się w antropologiczną wędrówkę po świecie ludzi zubożałych, świecie reprezentowanym w jego pracy przez kilka różnych miejsc na mapie Polski, które łączył jeden szczególny fakt – powstały one w wyniku potransformacyjnych przemian. Opisywane przez niego światy prezentują, mimo bliskości geograficznej (bo funkcjonują przecież w naszym, polskim społeczeństwie), „absolutnie odmienny kulturowo i niezrozumiały do końca sposób bycia w świecie (i – tworzenia własnej kultury – «kultury niemocy»)»⁸. Podobnie bliski w sensie przestrzeni geograficznej, a może nawet bliższy, bo znajdujący się w obszarze własnego miasta, był świat mojego taty i jego towarzyszy, czyli świat moich ludzi ze ██████████. I analogicznie,

7 T. Rakowski, *Łowcy, zbieracze, praktycy niemocy. Etnografia człowieka zdegradowanego*, Gdańsk 2009, s. 21-22.

8 Tamże, s. 20.

był on równie odmienny od świata „normalności”, w którym postrzegano go przede wszystkim nie jako przestrzeń innej kultury, lecz jako przestrzeń bez kultury⁹. Powołuję się w tym miejscu na badania i doświadczenia Rakowskiego, gdyż imponuje mi jego postawa wobec kultury ubóstwa. Nie odmawia on słuszności badaniom socjologicznym, które, odwołując się do pewnych wytycznych, opisują ludzi zubożałych w wyniku transformacji jako ludzi nieprzystosowanych do nowej sytuacji. Nie krytykuje on wartości właściwych kulturze mainstreamu, którego sam czuje się przecież uczestnikiem. Nie gloryfikuje on również świata ludzi zbiedniałych chwytających się nielegalnych, a często również na pół przestępczych, zajęć zarobkowych. Traktuje on wszakże kulturę ubóstwa jako kulturę pełnoprawną, w której pozornie niezrozumiałe elementy kulturowego bycia, takie jak choćby ubolewania, skargi i wycofanie, okazują się być po prostu kulturowymi świadectwami. Choć mnie samej nie udało się zachować tak wyważonej postawy badawczej, to jednak odczuwam pewne podobieństwa w naszym, to znaczy jego i moim, podejściu do zagadnienia ludzi żyjących poza głównym nurtem, dostrzegając w ich życiu zarówno znamiona wyjątkowo silnej niemocy, jak i znamiona równie mocnej przedsiębiorczości.

Podsumowując rozważania dotyczące antropologicznych ram moich doświadczeń z wizytowania taty na [REDACTED], chciałabym jeszcze poruszyć kwestię umiejscowienia w relacjach z codzienności osoby badacza, czyli w tym przypadku mnie. Spójrzmy zatem, co pisze na ten temat Wejland, kończąc swoje refleksje o doświadczaniu miejskiej codzienności podczas letnich wędrówek po parkach:

Antropologia codzienności, jaką uprawiamy w swoich opowieściach o mieście Roch Sulima czy ja, nabywa cech autoantropologii czy też – w jednym ze znaczeń tego terminu – autoetnografii. [...] Przedstawia jednocześnie pewną alternatywną formę naukowego pisania – to „wychodzone”, „wystane” i „wysiedziane” raporty z własnej codzienności badacza, raporty, w których badacz, jak każdy, może prowadzić obserwacje miasta, ale też obserwacje siebie w mieście, może rozeznawać własne odczucia i uczucia leżące w głębi doświadczenia podzielanego z innymi „obywatelami miejskiej codzienności” (obywatelami – bo codzienność jest przecież demokratyczna), może nastawiać się na „czytanie” konkretów i mówienie o nich (a nie o samych tylko teoriach), może poświęcać się nawet – pomny na to, że świat jego codzienności, jak światy codzienności dawnych *flâneurów* i *badaudów*, trwać przecież zawsze nie będzie – „dawaniu świadectw”, „najtrudniejszej próbie”, jak mówi Roch Sulima, bo czyniącej z jego raportów dokumenty epoki. Dawanie świadectw ujmuje nieco z wrażenia, iż badacz interesuje się

⁹ Tamże. Sformułowanie „nie kultura, lecz brak kultury” Rakowski podaje za Czesławem Hernasem.

w raportach głównie samym sobą, ponieważ przede wszystkim – choć poprzez siebie - „opowiada [...] o znanym sobie świecie, ludziach i zdarzeniach”, je właśnie, a nie siebie, stawiając w centrum, siebie zatem umieszczając bardziej lub mniej skromnie gdzieś w tle¹⁰.

Czy mam prawo odnieść wrażenie, że fragment ten opisuje także moje podejście do uprawiania antropologii i sposób opisywania obserwowanego świata w reportażach, zwanych tu przeze mnie antropologicznymi? Być może tak, zważywszy na fakt, że historie o [REDAKTOR] to efekt zaciekawienia czy wręcz zauroczenia światem mojego taty, który był nie tylko jego codziennością, ale z czasem stał się również, nie do końca wszakże codziennym, elementem mojego życia. Reportaże te traktuję rzeczywiście jako „pewną alternatywną formę naukowego pisania”, biorąc pod uwagę, że powstały w wyniku długiego, bo trwającego kilka lat, zagłądania, chodzenia i siedzenia w świecie mojego taty, który obserwowałam początkowo jako jego córka, a później również jako początkujący antropolog. Te zapiski są jak najbardziej „wychodzone”, „wystane” i „wysiedziane”, będąc jednocześnie rezultatem owej „najtrudniejszej próby” i mimo że „dawanie świadectw” odbieram jako wyrażenie nieco zbyt wzniosłe i zobowiązujące, to opisując rzeczywistość ulicy [REDAKTOR], wielokrotnie odnosiłam wrażenie, że warto dokumentować ten świat, świat umierający powoli wraz z każdym odchodzącym mieszkańcem tej ulicy, świat tak niepożądany przez współczesną kulturę konsumpcyjną.

10 A. Wejland, dz.c., s. 159-160.

Ubóstwo we współczesnym świecie. Przykład ulicy [REDAKTOWANA]

Rozdział ten chciałabym poświęcić zagadnieniu ubóstwa oraz roli przypisanej współczesnym ubogim, roli, do jakiej próbuje sprowadzić się ich w obecnym, jakże zdominowanym przez materialistyczne dążenia świecie. Opisywana przeze mnie ulica [REDAKTOWANA] i mieszkający tam ludzie żyją zazwyczaj w biedzie, czasami nawet w skrajnej biedzie, a do tego jeszcze nadużywają alkoholu, przez co często nazywani są przez pozostałą część społeczeństwa lumpami bądź menelami. Bycie lumpem nie oznacza dla większości nic dobrego, oznacza raczej życie na samym dole społecznej drabiny, a nawet życie gdzieś na marginesie lub wręcz poza, bycie lumpem znaczy więc mniej więcej tyle, co bycie wykluczonym. Pisząc o kwestii wykluczenia, odwołam się przede wszystkim do rozważań Zygmunta Baumana.

Jak wspomniałam już wcześniej, bieda stała się dla mnie tematem inspirującym do refleksji o kondycji człowieka, tematem prowokującym do stawiania pytań – często zresztą niełatwych – o źródła ubóstwa, o pomoc, jaką my, ludzie ani biedni, ani bogaci, możemy zaoferować tym bardziej potrzebującym. O ile jednak bieda może być – jako temat właśnie – inspiracją dla ludzi bezpośrednio nią niedotkniętych, o tyle jest ona o wiele mniej twórcza dla tych, którzy borykają się z nią każdego dnia. Ludzie ci niechętnie się do niej przyznają, chcąc uniknąć trwałego naznaczenia, czyli określenia mianem biedaków, dla wielu równoznacznym z głupotą, nieróbstwem i lenistwem. Szczególnie mocno obawiają się stygmatyzacji ci, którzy swojej biedy nie akceptują, którzy chcieliby wyrwać się z jej szpon i marzą o życiu w tzw. normalności, w której przeciętnego rodzica stać na to, by kupić dzieciom używany komputer i komórkę. Dotyczy to z pewnością dzieci, młodzieży i ludzi stosunkowo młodych, którzy każdego dnia stykają się w szkołach, w pracy i na ulicach z ludźmi od siebie bogatszymi, będącymi dla nich urzeczywistnieniem i potwierdzeniem tego, co widzą w telewizyjnych reklamach, programach rozrywkowych i „kolorowej” prasie. Elżbieta Tarkowska, socjolog zajmująca się zagadnieniem ubóstwa, opowiadając o wstydzie towarzyszącym osobom biednym i traktowaniu ich z wyższością przez tych bogatszych, stwierdza:

Stygmatyzujemy biednych. Często nie ze złej woli, ale z niewiedzy, braku wrażliwości, właśnie poczucia wyższości. W Polsce jest emitowana reklama, w której dziewczynka – mam nadzieję, że aktorka, a nie naprawdę ubogie dziecko – mówi, że chodzi do szkoły nie tylko dlatego, że lubi się uczyć, ale również dlatego, że dostaje tam gorącą zupę. Autorzy tej reklamy najwyraźniej nie wiedzą, jak straszną stygmatyzacją jest dla dzieci bezpłatny posiłek. To nie powód do dumy, dzieci się z tym ukrywają. Niektóre nie chcą ich jeść, nawet gdy są głodne, bo rówieśnicy krzyczą za nimi „mopsy” czyli dzieci z miejskiego ośrodka pomocy społecznej¹¹.

Problem lęku przed stygmatyzacją nie dotyczył w tak dużym stopniu mojego taty i jego towarzyszy, przynajmniej niektórych, gdyż żyli oni na tyle długo w skrajnym ubóstwie, że przestali mieć kontakty ze światem umownej normalności. Brak marzeń o materii nie był zresztą jedynie efektem ich stylu życia, ale często również jego przyczyną. Gdy myślę choćby o mojej babci, moim tacie i [REDAKTOWANE], ludziach najbliższych mi spośród tych, którzy żyli na [REDAKTOWANE] i odeszli na [REDAKTOWANE], to z całą pewnością mogę określić ich jako osoby pozbawione chęci dorobienia się, pozbawione pazerności, chciwości i pędu do wzbogacania się, jako osoby chętnie dzielące się z innymi (w czasach, gdy jeszcze mieli się czym dzielić) i nie poświęcające zbyt wiele uwagi sprawom pieniędzy, ani własnych, ani cudzych. Ludzie tacy bardzo często gorzej radzą sobie na rynku pracy, gdyż brak im silnej motywacji do podejmowania walki o zatrudnienie, gdyż nie pragną żadnej z rzeczy, które praca gwarantuje, nie pragną bowiem sukcesu, pieniędzy, społecznego prestiżu. Nie znaczy to jednak, że marzą o życiu w nędzy i poniżeniu, choć z czasem tak właśnie żyją.

Zanim wkroczymy w świat biedy i alkoholu na jednej z łódzkich ulic, warto zastanowić się, czym w ogóle jest ubóstwo oraz jak postrzegano je w wiekach wcześniejszych, a jak traktowane jest ono współcześnie, w silnie rozwiniętej kulturze konsumpcyjnej. Jak pisze Bauman:

Przez większość dziejów ludzkości stan ubóstwa oznaczał przede wszystkim bezpośrednie zagrożenie dla fizycznego przetrwania – groźbę śmierci z głodu, z powodu nieleczonej choroby lub braku schronienia. I w wielu częściach globu wciąż definicja ta pozostaje w mocy. Nawet jeśli kondycja ubogich umożliwia im fizyczne przetrwanie, to ubóstwo zawsze oznacza niedożywienie, niewystarczającą ochronę przed niedogodnościami klimatycznymi i bezdomność – naturalnie, zawsze w odniesieniu do standardów danego społeczeństwa co do wyżywienia, odzieży i warunków zamieszkania.

11 E. Tarkowska, *Polska bieda ponizona*, http://wyborcza.pl/1,97863,7004246,Polska_bieda_ponizona.html, s. 1.

Niemniej jednak ubóstwa nie można sprowadzić do pozbawienia dóbr materialnych i niedogodności cielesnych. Ubóstwo to również pewna kondycja społeczna i psychiczna: jako że jakość ludzkiej egzystencji mierzy się według standardów godziwego życia przyjętych w danym społeczeństwie, niezdolność do trzymania się ich jest sama w sobie przyczyną stresów, cierpienia i upokorzenia. Ubóstwo oznacza wykluczenie z tego, co określa się jako „normalne życie”. Oznacza „niemożność dorównania innym”. Prowadzi do zaniku poczucia własnej wartości, do poczucia wstydu lub poczucia winy. Ubóstwo oznacza również odcięcie od szans na to, co dane społeczeństwo uznaje za „szczęśliwe życie”, niemożność korzystania z tego, „co życie ma do zaoferowania”. Jego rezultatem jest przemoc i gniew, które przeradzają się w różne formy przemocy, samopotępienia lub obu tych zjawisk¹².

Również Ryszard Kapuściński zwracał wielokrotnie uwagę na to, że ubóstwo powinno być rozpatrywane w kategoriach szerszych niż brak podstawowych środków materialnych niezbędnych do życia. Sam zresztą w dużej części swoich książek opisywał właśnie tych najuboższych żyjących w wielu zakątkach świata. Rozmawiając na spotkaniu z włoską młodzieżą o ważnym zadaniu przypominania o sytuacji ubogich, zauważa on, że:

[...] niekoniecznie ich ubóstwo musi być powodowane przez głód. Ten rozpatrujemy często w kategoriach jedzenia. Już w Piśmie Świętym było napisane, że „nie tylko chlebem człowiek żyje”. Człowiek może być ubogi nie dlatego, że nic nie zjadł, ale dlatego, że jest nieszanowany, poniżany, lekceważony, pogardzany. Ubóstwo to stan społeczny i mentalny powodujący, że człowiek nie widzi wyjścia z sytuacji, w jakiej się znalazł. Człowiek nie wie, jak ze stanu ubóstwa przejść do stanu zamożności. Poświęcam temu wiele uwagi, ponieważ cechą ubóstwa jest milczenie. Ubóstwo to stan niemożności wypowiedzenia się. Ludzie ubodzy nie mają głosu, nie są nigdzie szanowani, nie są tolerowani. Ktoś musi o nich mówić w ich imieniu. To jest przyczyna, dla której o nich piszę¹³.

Mając świadomość, czym jest ubóstwo, warto zastanowić się także nad zmianami, jakie zaszły w społecznym postrzeganiu i traktowaniu ludzi ubogich i wykluczonych. Zmiany bowiem musiały zajść, gdyż ubodzy nie są pojęciem nowym, a ich obecność można odnotować w „każdym znanym do tej pory społeczeństwie”¹⁴. Bauman stwierdza:

12 Z. Bauman, *Praca, konsumpcjonizm i nowi ubodzy*, Kraków 2006, s. 77.

13 R. Kapuściński, *Dałem głos ubogim. Rozmowy z młodzieżą*, Kraków 2008, s. 34.

14 Z. Bauman. dz.c., s. 189.

Każde znane społeczeństwo przyjmowało wobec swoich ubogich charakterystycznie ambiwalentną postawę, nieprzyjemną mieszankę strachu i odrazy z jednej strony oraz żali i współczucia z drugiej. Oba składniki były równie niezbędne. Pierwszy pozwalał na surowe traktowanie ubogich, jak tego wymagała obrona porządku; drugi podkreślał godny pożałowania los tych, którzy spadli poniżej standardów – los, który sprawiał, że wszystkie trudy przestrzegania normy przez wierną normie część populacji stanowiły błąd. [...] Niemniej jednak, w zależności od specyficznego modelu porządku i normy, każde społeczeństwo „tworzyło” swoich ubogich na własny obraz, oferując odmienne wyjaśnienia ich obecności, znajdując dla nich rozmaite zastosowania i wykorzystując różne strategie stawiania czoła problemowi ubóstwa¹⁵.

W tym właśnie miejscu Bauman dochodzi do owej niebagatelnej różnicy w podejściu do ubogich pomiędzy Europą przednowoczesną a jej nowoczesną następczynią, przyznając jednocześnie, że zdecydowanie lepiej radzono sobie z tym dylematem w wiekach wcześniejszych¹⁶. Wówczas to ubodzy, będący jak i reszta społeczeństwa Dziećmi Bożymi, których istnienie miało sens i miejsce w Boskim Planie, mogli nie tylko pracować na własne odkupienie poprzez życie w ubóstwie, ale też pomagali w rozwoju duchowym tym bogatszym, którzy dzięki okazywaniu im miłosierdzia i niesieniu pomocy przybliżali się do zbawienia. Bauman rozważa tu więc uznawanie istnienia ubogich za dar Boga dla innych ludzi i zauważa, że problem pojawiłby się raczej w przypadku ich nieobecności, bo ta zmusiłaby do szukania innego sposobu na uzyskanie zbawienia. Zupełnie inaczej poradzono sobie ze sprawą ubogich w świecie nowoczesnym charakteryzującym się desakralizacją, zwaną również za Maksem Weberem „odczarowaniem”. W tym nowoczesnym świecie człowiek odrzucił wiarę w Boga, ludową mądrość, tradycyjne autorytety – i zawierzył rozumowi, ustanawiając oparte na nim projekty porządku i normy, w związku z czym obecność ubogich zaczęła stanowić problem, gdyż „ubodzy byli zagrożeniem i przeszkodą dla porządku, jak również sprzeciwiali się normie”¹⁷. Zagrożenie to przejawiało się na kilku poziomach: po pierwsze – ubodzy przestali pokornie akceptować swoje ubóstwo i zbuntowali się przeciwko tym żyjącym w dostatku, po drugie – bogatsi, którzy do tej pory zgodnie z etyką miłosierdzia dzielili się własnym dobytkiem z bardziej potrzebującymi, przestali widzieć w tym sens, po trzecie – ubodzy przyzwyczajeni do skromnych warunków życia wcale nie zamierzali ruszyć z radością do ciężkiej pracy i w dalszym ciągu zadowalali się minimalną ilością dóbr materialnych i jedzenia. Mówiąc krótko, kłopoty

15 Tamże.

16 Pisząc poniższy fragment opierający się na rozważaniach Baumana dotyczących roli ubogich dawniej i obecnie, korzystałam z wcześniej cytowanego dzieła, przede wszystkim z rozdziału zatytułowanego *Ubodzy bez roli*.

17 Tamże, s. 190.

sprawiali zarówno ci ubodzy, którzy sprzeciwiali się swej nędzy, jak i ci, którzy w pełni ją akceptowali. Ani jedni, ani drudzy nie pałali miłością do ciężkiej pracy w fabrykach, gdy tymczasem w epoce przemysłowej jako normę przyjęto właśnie zatrudnienie, ubóstwo zaś utożsamione z bezrobociem uznano za jej zakłócenie, stan nienormalny. Mimo to ubodzy mieli swoją określoną rolę – zdefiniowano ich jako „rezerwową armię pracowników”. Wykreowana wówczas etyka pracy stała się potrójnym rozwiązaniem, miała bowiem eliminować ubóstwo, dostarczać siły roboczej i chronić przed ewentualną rewolucją. Skoro jednak niektórzy ubodzy nie zamierzali udać się do pracy ze względów moralnych, należało skłonić ich do tego, pozbawiając wszelkich innych źródeł utrzymania. Uznano również, że ich pensje muszą być na tyle niskie, by ubodzy zmuszeni byli do nieustannej pracy, a więc w imię etyki pracy utrzymywano ubogich w stanie ubóstwa. Bauman przywołuje nazwiska trzech uczonych, Johna Locke'a, Arthura Younga i Jeremy'ego Benthama, którzy w wyjątkowo arogancki sposób prezentowali swoje poglądy dotyczące ubogich, głosząc, że jedynie za pomocą dozoru, surowej dyscypliny i kar cielesnych można te leniwe i rozpasane stworzenia zasługujące również na miano odpadów ludzkości zmusić do regularnej pracy. Bauman właśnie w tych koncepcjach doszukuje się źródeł obecnego podejścia do sprawy ludzi biednych, nieradzących sobie z utrzymaniem się bez zasiłków, podejścia, w którym ponownie daje się odczuć przekonanie o moralnej niższości bezrobotnych „pasożytów”. O ile jednak przypisana ubogim w epoce przemysłowej rola „rezerwowej armii pracowników” miała rzeczywiście realny sens, a nawet dwa sensy – ekonomiczny i polityczny, gdyż wpierała rozwój przemysłu będącego podstawą gospodarki oraz utrzymywała porządek i normę społeczną, o tyle straciła ta rola jakikolwiek sens w obecnym społeczeństwie konsumpcyjnym, zwanym również przez Baumana społeczeństwem późnonowoczesnym lub ponowoczesnym. Świat ponowoczesny świetnie sobie bowiem radzi bez dodatkowych sił roboczych, jako że w dzisiejszej gospodarce nauczono się zwiększać produkcję i zyski przy jednoczesnym zmniejszeniu liczby pracowników, a i przymus pracy nie jest już niezbędny przy utrzymywaniu dyscypliny. Społeczeństwo konsumpcyjne definiuje swoich członków przede wszystkim jako konsumentów, a nie – jak to miało miejsce wcześniej – jako producentów. Wypełnianie społecznej normy wiąże się więc z byciem aktywnym konsumentem, czego ubodzy nie są w stanie realizować z braku odpowiednich środków finansowych. W ten oto sposób bycie ubogim przestało mieć związek z byciem bezrobotnym, a zaczęło oznaczać bycie „wybrakowanym konsumentem” lub też w ogóle „nie-konsumentem”. Zmiana ta wprowadza zarówno zupełnie nowe postrzeganie ubóstwa przez resztę społeczeństwa, nowe przeżywanie go przez samych ubogich, jak i nowe możliwości, a raczej ich utratę, w przewyciężaniu nędzy

i próbach wyjścia z jej sideł. Bauman, podsumowując swoje rozważania o współczesnych ubogich bez roli, pisze:

I oto po raz pierwszy w zapisanej historii ubodzy stanowią wyłącznie i po prostu problem, i utrapienie. Nie mają zalet, które mogłyby łagodzić, a co dopiero zrównoważyć, ich wady. Nie mają nic do zaoferowania w zamian za nakłady podatników. Są złą inwestycją, która najprawdopodobniej nigdy się nie zwróci, nie wspominając nawet o zysku: czarną dziurą wsysającą wszystko, co się do niej zbliży, i nie wypływającą niczego, z wyjątkiem może kłopotów. Przyzwoici i normalni członkowie społeczeństwa – konsumenci – nie chcą od nich niczego ani niczego nie oczekują. Ubodzy są całkowicie bezużyteczni. Nikt – nikt, kto naprawdę się liczy, kto wypowiada się głośno i jest słyszalny – ich nie potrzebuje. Dla nich – zero tolerancji. Społeczeństwo byłoby w znacznie lepszej sytuacji, gdyby ubodzy spalili swoje namioty i odeszli. Świat bez nich byłby znacznie przyjemniejszy. Ubodzy są niepotrzebni, a więc są niechciani. A ponieważ są niechciani, można ich bez wielkiego żalu czy skrupułów porzucić¹⁸.

Gdy czytam te niezwykle trafne, ale i niepokojące, spostrzeżenia Baumana, przed oczami staje mi obraz moich ludzi ze [REDAKTOWANE] obraz mojego taty i jemu podobnych osób – osób, które, zdaniem wielu, rzeczywiście nie mają żadnych plusów – ich charaktery zdają się być pozbawione wszelkich cnót, ich wygląd znacznie odbiega od lansowanych ideałów, a ich dobra materialne nie zasługują nawet na spojrzenie. Mówiąc krótko, osoby te nie posiadają absolutnie niczego, co mogłoby wzbudzić zainteresowanie współczesnego konsumenta. Jedyne, co się z nimi kojarzy, to problemy. Problemem jest bowiem dla wielu osób fakt, że ubodzy wciąż żyją za pieniądze z opieki społecznej. Zwłaszcza inwestowanie w ubogich niemłodych już i do tego jeszcze pijących wydaje się być nieprzemyślaną inwestycją. Problemem jest też fakt, że ubodzy ze [REDAKTOWANE], choć nie tylko tam, nie dostrzegają wcale bądź też dostrzegają, lecz mimo to uparcie ignorują normy estetyczne. Normy estetyczne nakazują nam utrzymywać swoje mieszkania, klatki schodowe i podwórka w porządku i czystości, nakazują nam nosić nie tylko czyste, ale i modne ubrania. Opisywani przez mnie ludzie norm tych z pewnością nie przestrzegają. A nawet jeśli udaje im się czasem żyć w zgodzie z normami, to i tak wydają się nie pasować do współczesnego społeczeństwa. Nawet jeśli mieliby na sobie świeżo wyprane koszule i spodnie, nawet jeśli siedzieliby właśnie w świeżo posprzątanym mieszkaniu, to i tak wystarczyłoby jedno spojrzenie, by wiedzieć, że są oni po prostu ubodzy. Co gorsza, mają oni bardzo nieduże szanse, by wyjść jakimś sposobem ze swojego ubóstwa.

18 Tamże, s.196.

Czy ubodzy odczuwają swoje bycie poza głównym nurtem? Zapewne tak, i to odczucie wcale nie należy do przyjemnych. Gdy czasami podejmowałam w rozmowie z tatą temat pracy, próbując skłonić go, by skończył z piciem i zaczął robić to, co bardzo dobrze potrafił (czyli szyc na maszynie), to z jego słów, niechętnie zresztą wypowiedzianych, z jego gestów, zrezygnowanych machnięć ręką, z całego języka taty, tego werbalnego i pozawerbalnego, wypływała ta smutna refleksja – takich jak on nikt już do pracy nie potrzebuje, a może wręcz, takich jak on nikt już do niczego nie potrzebuje. Właściwie zdawałam sobie z tego sprawę, dlatego rozmyślałam czasami nad tym, w jaki sposób znaleźć tacie zajęcie związane z szyciem. Pomysł był w zasadzie prosty – należało kupić używaną maszynę i zlecić tacie szycie, pytanie było tylko – szycie czego i dla kogo. Z braku większego zaangażowania pomysłu jednak nie udało się nam, [REDAKTOR] i mnie, dopracować i zrealizować. Plan ten snułam zresztą, mając świadomość, że jeszcze gorszym uczuciem – niż poczucie życia poza życiem konsumenckim – jest wynikające z długotrwałego braku pracy uczucie bezużyteczności. Kwestia wykluczenia i zbyteczności, tak często przez Baumana poruszana, pojawia się choćby przy okazji rozważań na temat obecności nowych „niebezpiecznych klas” w społeczeństwie ponowoczesnym.

Nowe „niebezpieczne klasy” uznaje się natomiast za *niezdolne* do reintegracji i asymilacji, ponieważ niemożliwe jest znalezienie dla nich jakiegokolwiek użytecznej funkcji po ewentualnej „rehabilitacji”. Ludzie ci nie są nadliczbowi, ale zwyczajnie *zbyteczni*. Są na *stałe* wykluczeni – to jeden z niewielu przypadków „stałości”, który płynna nowoczesność nie tylko akceptuje, ale także aktywnie promuje. Dzisiejszych form wykluczenia nie postrzega się jako chwilowych i możliwych do naprawienia niepowodzeń, ale jako totalne i ostateczne. [...] Tym, co czyni dziś grupy „niebezpiecznymi klasami”, jest *nieodwołalność* ich eksmisji i brak widoku na jakiegokolwiek szanse odwołania się od wyroku wykluczenia. [...] pozostawanie bez pracy odczuwane jest coraz bardziej jako stan „zbyteczności” - odrzucenia, bycia niepotrzebnym, „niezatrudnialnym” i skazanym na „ekonomiczną *nieaktywność*”. Pozostawanie bez pracy oznacza „nadawanie się do wyrzucenia”, być może nawet uzyskanie już raz na zawsze statusu odrzutu „ekonomicznego postępu” [...] ¹⁹.

Tata (choć pewnie nie on jeden) odczuwał gdzieś podskórną tę nieodwołalność swojego wykluczenia, nieodwołalność swojego życia na marginesie. Może nawet czasami jeszcze chciał z tej „jednokierunkowej ulicy” zawrócić, ale czuł, że tego zrobić się nie da, że powrotu ze strefy wykluczonych już nie ma. Jedyne, co w tej sytuacji mógł uczynić, to wymyślić i wkomponować

19 Z. Bauman, *Płynne czasy. Życie w epoce niepewności*, Warszawa 2007, s. 96-97.

w swoją codzienność jakieś zajęcie, które uwolniłoby go z tego nieznośnego stanu bycia zbyt zbytecznym, niepotrzebnym i nieprzydatnym dla innych ludzi. Dla taty takim zajęciem stało się „chodzenie na klejby”, wyprawy po śmietnikach z nieodłączną torbą na ramieniu. Cel tych poszukiwań był z jednej strony oczywisty – tata zabierał bowiem z klejby wszystko to, co mogłoby się przydać w codziennym życiu, a więc jedzenie, ubrania, przedmioty przydatne w domu. Z drugiej jednak strony, te wycieczki szlakiem okolicznych śmietników były czymś więcej niż szukaniem tego, co potrzebne. Te wycieczki stały się dla taty obowiązkowym elementem codziennego dnia, wykreowanym przez niego i tylko dla niego projektem porządku, który wprowadzał ład w codziennym życiu i pomagał nadać mu sens, te wycieczki stały się również namiastką pracy. Praca ta zresztą nie była pracą byle jaką, lecz pracą wymarzoną, w której co prawda nie otrzymywało się wprost zapłaty, lecz można było z niej przeżyć, pracą, w której można było poczuć wolność, samemu decydując, kiedy i na jak długo wyjść na klejbę. A wyjścia na klejbę przypominały nieco wyprawy w poszukiwaniu skarbów, których smak pamięta prawdopodobnie każdy, kto tego typu zabawy w dzieciństwie urządzał. I tata pewnie też miał takie wspomnienia, bo ze swoich dorosłych wypraw lubił przynosić przeróżne skarby, które wcale nie musiały być potrzebne i przydatne. Tata wracał więc z torbą wypełnioną czasami jedzeniem, czasami garnkami, a jeszcze innym razem przeróżnymi drobiazgami. Mógł też targać ze sobą wielkiego pluszowego misia. Gdy miał akurat dobry dzień, to w torbie było coś i dla ciała, i dla ducha. Gdy dzień nie sprzyjał poszukiwaniom, a i takie dni się zdarzały, to torba była pusta i jedynie w kieszeni taty tkwiły znalezione na chodnikach niedopalone papierosy. Tata wychodził na klejbę prawie codziennie, nawet wówczas kiedy potrzeby takiej nie było, bo w domu nie brakowało ani jedzenia, ani papierosów, ani przedmiotów na opał. I choć jego współmieszkańcy dziwili się czasem, po co on tak chodzi i szuka, po co się tak trudzi i brudzi (a praca ta rzeczywiście należała do brudzących), to tata wcale się tym nie zrażał. Z klejby właściwie nigdy nie rezygnował, ponieważ klejba była jego wewnętrzną dyscypliną, wymyślonym przez niego obowiązkiem dnia codziennego, który przynosił nie tylko nagrody za trud w postaci jedzenia i ubrań, ale także, a może raczej przede wszystkim, który oddalał od niego poczucie bycia bezużytecznym. Do tego klejba pełniła jeszcze jedną jakże istotną rolę, wypełniała bowiem choć w części czas, czas wolny, czas, który każdy żyjący na marginesie życia ma w nadmiarze. Również i o tej przypadłości ludzi wiodących styl życia daleki od konsumpcyjnego pisze Bauman:

Jak zauważyli Peter Kelvin i Joanna E. Jarett w swojej pionierskiej pracy poświęconej społecznym i psychologicznym skutkom bezrobocia w społeczeństwie konsumpcyjnym,

jeden aspekt tej sytuacji jest szczególnie bolesny dla ludzi pozbawionych pracy: „pozornie nieskończona ilość wolnego czasu” w połączeniu z ich „niemożnością jego wykorzystania”. „Większość życia codziennego jest pozbawiona jakiegokolwiek struktury”, ale bezrobotni są pozbawieni środków, by nadać mu jakąś strukturę w sposób uznawany za sensowny, zadowalający lub wartościowy²⁰.

Chodzenie na klejby uznać można za taką właśnie strukturę nadającą kształt i sens życiu codziennemu, gdyż mimo iż pełniło ono rolę pracy, to jednak pracy nieprzynoszącej żadnych pieniężnych dochodów, tata musiał więc radzić sobie z zagospodarowaniem swojego wolnego czasu bez konieczności korzystania z pustego zazwyczaj portfela. Klejba była więc z jednej strony obowiązkowym zajęciem, od którego zwalniała tylko choroba, z drugiej zaś nieprzymusową formą spędzania wolnego czasu.

Ulica [REDACTED], podobnie jak wiele innych ulic w śródmieściu Łodzi, ulic sąsiadujących zresztą z głównym deptakiem, czyli nieco zniszczoną, ale wciąż aspirującą do roli serca miasta ulicą Piotrkowską, jawi się dosyć często jako ulica biedy, alkoholizmu i drobnych kryminalistów, mówiąc krócej – jako ulica wykluczonych. Słusznie, bo rzeczywiście wielu z tych, którzy ją zamieszkują, należy do grona owych ludzi wykluczonych, ludzi-odpadów powstałych jako skutek uboczny szybko rozwijającego się społeczeństwa konsumpcyjnego. Symbolem tego społeczeństwa mogłaby stać się – oddzielona od ulicy [REDACTED] zaledwie parkiem – Manufaktura, wielkie centrum handlowo-rozrywkowe powstałe w miejscu dawnej fabryki Izraela Poznańskiego. To tam już od kilku lat łączą się losy większości łódzkich konsumentów, choć nie tylko ich, bo do słynnej Manufaktury przyjeżdżają zorganizowane grupy wycieczkowe z całej Polski. W tych wycieczkach po krainie zakupów uczestniczą głównie dzieci i młodzież, już od najmłodszych lat życia przyuczane do bycia aktywnymi konsumentami oraz poznawania zasad rządzących we współczesnym świecie. I właśnie bliskie sąsiedztwo Manufaktury sprawia, że ulica [REDACTED] tym wyraźniej jawi się jako świat żyjący gdzieś obok głównego nurtu, jako świat z odzysku.

Pozwolę sobie w tym miejscu na jeszcze jedno niewielkie odejście od głównego tematu moich rozważań, by prześledzić pewną różnicę pomiędzy tymi dwoma miejscami. Jak już przed chwilą wspomniałam, Manufaktura wraz z promowanym przez nią światem kultury konsumpcyjnej i ulica [REDACTED] wraz ze swoim specyficznym klimatem dalekim od reguł świata ponowoczesnego to miejsca mocno ze sobą kontrastujące. Co ciekawe, dzieje się tak pomimo tego, iż zarówno Manufaktura, jak i [REDACTED] to miejsca związane z handlem. Jak

20 Z. Bauman, *Praca...*, s. 78.

widać, handel może mieć jednak zupełnie różne oblicza. W Manufakturze mamy do czynienia z „ponowoczesną” odmianą handlu: z handlem w drogich sklepach, gdzie kolejne kolekcje ubrań, szyte zresztą masowo, informują kupujących, co jest właśnie „trendy”, a co już nie, oraz z handlem w supermarketach, gdzie można zrobić zakupy od A do Z, od jedzenia poprzez kosmetyki, ubrania i buty, na gospodarstwie domowym i sprzęcie sportowym skończywszy. Zakupy w takich miejscach robi się szybko, czasem wręcz kompulsywnie i nałogowo. [REDAKTOR] natomiast prezentuje nam inny rodzaj handlu, handlu w małych sklepikach, z których każdy ma swoją wąską specjalizację, możemy więc kupować w warzywniaku, w zielarni, piekarni, w jednym z licznych sklepów spożywczych, zoologicznych i dziecięcych, w niedużych artystycznych galeriach z kapeluszami lub ubraniami, a także możemy oglądać, przeglądać i wyszukiwać w jednym z wielu lumpeksów. Na [REDAKTOR] nie trzeba się spieszyć. Pani w spożywczym nie nalicza pospiesznie, bo i dużej kolejki za nami nie ma. Nie goni nas więc ani tłum innych kupujących, ani szybko zmieniająca się moda. Na [REDAKTOR] możemy również poczuć smak dawnego handlu, w którym istotą kupowania i sprzedawania było targowanie się. Ten sympatyczny zwyczaj właściwie zanikł w obecnym świecie ponowoczesnym, do czego przyczyniła się m.in. masowa produkcja i wprowadzenie kodów kreskowych służących do automatycznego odczytu cen produktu. Wciąż jednak znajdziemy miejsca, gdzie można się targować, trzeba jedynie wiedzieć, w jaki sposób. Na ulicy [REDAKTOR] warto spróbować negocjacji cenowych choćby w którymś ze sklepów z używaną odzieżą. Tam właśnie możemy stać się uczestnikami kultury recyklingu, w której korzysta się jak najczęściej z przedmiotów używanych i nie wyrzuca tych jeszcze dobrych do użycia, lecz przekazuje innym. Lumpeksy dają nam możliwość odnalezienia się poza torem biegu obecnych trendów, które wciąż zmieniają się i gonią swoich zeszłorocznych poprzedników. Tam bowiem mieszają się style i czasy, mamy więc szansę zarówno na znalezienie czegoś wyprzedzającego naszą rodzimą modę, co z kolei przebrzmiało już nieco w którymś z bogatszych krajów Zachodu, jak i na cofnięcie się w czasie nawet o kilkadziesiąt lat i wyszukanie w stercie ubrań jedynej w swoim rodzaju sukienki z lat 60. Jeżeli natomiast cena wyda nam się wygórowana, to pozostaje jeszcze targowanie się, w efekcie którego niejednokrotnie udaje się zaoszczędzić kilka złotych. Kończąc ten wątek dodam jeszcze, że Manufaktura i [REDAKTOR], te dwa jakże odmienne światy handlu, prezentują nie tylko różne modele sprzedawania i kupowania, ale kreują także istnienie różnych typów ludzi dokonujących zakupów. Prawdziwi konsumenci, owi przedstawiciele świata konsumpcyjnego, z obowiązkowym portfelem obficie wypełnionym gotówką i kartami kredytowymi, odwiedzają raczej Manufakturę, w której mogą zrealizować swoją potrzebę posiadania tego, co nowe i modne. Słusznie czynią, bo wiedzą przecież, że „pogoń za rzeczami i chwytanie ich w pełnym

biegu, gdy wciąż jeszcze pachną świeżością, jest «cool» i «trendy»», a „zwłoka, zadowalanie się tym, co jest – to «obciach»”²¹. Ci z kolei, którzy nie posiadają odpowiedniego wypełnienia do swoich portfeli albo też ci, którym niestraszny jest „obciach”, mogą spokojnie udać się na [REDAKT], by, robiąc niespiesznie zakupy, nie stać się wiecznie spragnionymi nowości współczesnymi konsumentami, a jedynie zwykłymi kupującymi, mijającymi w czasie wędrówek z torbami w dłoniach dziesiątki innych ludzi – nie tylko tych kupujących, ale także ludzi tam mieszkających, którzy jak co dzień obserwują z bram toczące się na [REDAKT] życie.

Powróćmy jednak jeszcze na chwilę do kwestii ubóstwa ulicy [REDAKT] które jest jej stałym elementem i współtworzy jej klimat. Ludzie ubodzy, alkoholicy, drobni kryminaliści, właściciele melin sprzedający royal – wszystkich ich możemy na [REDAKT] spotkać. Nie tylko zresztą tam, bo wiele ulic łódzkiego śródmieścia dzieli los [REDAKT]. Los, w którym główne role odgrywają nędza i alkohol. Mieszanka ta tworzy, jak wiadomo, pijących nędzarzy zwanych potocznie menelami bądź lumpami. Codzienne życie lumpa nikogo raczej nie interesuje, bo wszyscy dobrze wiemy, że drogi powrotnej dla takich jak on nie przewidziano. Zwłaszcza ubodzy pijaczkowie ze średniego i starszego pokolenia nie mają szans na czyjaś uwagę i znajdują się na końcu długiej kolejki po pomoc. Pomoc nie tylko finansową, lecz wszelką pomoc, jaką jeden człowiek może ofiarować drugiemu człowiekowi. Jeżeli nawet znajdą się środki finansowe na zatrudnienie streetworkerów, którzy pracują z potrzebującymi w ich przestrzeni życiowej, to z oczywistych względów streetworkerzy ci zostaną skierowani do współpracy z tymi, którym najbardziej pomoc ta jest potrzebna – z dziećmi i wychowującymi je, bardzo często samotnie, kobietami. Decyzje te wydają się przemyślane, gdyż to właśnie przedstawiciele młodszego pokolenia mają zapewne największe szanse, a także z racji swojego młodego wieku największe możliwości, by bieda i alkohol nie zamknęły przed nimi dostępu do „normalności” i nie wyгнаły ich poza obręb „normalnego” życia społecznego. Tym starszym pozostaje w zasadzie tylko akceptacja sytuacji, w jakiej się z różnych względów znaleźli, akceptacja tego, że nikt już nie oczekuje ich powrotu do społeczeństwa oraz pogodzenie się z niełatwą rolą „permanentnie zmarginalizowanych, nienadających się do «społecznego recyklingu» i skazanych na życie poza wspólnotą przestrzegających prawa obywateli”²². To pogodzenie ze swoim życiem nie cechowało być może wszystkich opisywanych przeze mnie osób, ale z dużą pewnością mogę stwierdzić, że było ono nieodłącznym towarzyszem życia mojego taty i jego przyjaciela [REDAKT].

21 Z. Bauman, *Życie na przemiał*, Kraków 2004, s. 169.

22 Tegoż, *Płynne czasy...*, s. 98.

Reportaż – gatunek antropologiczny?

Geneza gatunku

Znaczną część mojej pracy stanowią reportaże, czy może raczej należałoby powiedzieć, próby reportażu, jak zaznaczyłam w tytule. Zanim jednak do nich przejdziemy, chciałabym wyjaśnić samo znaczenie słowa „reportaż” oraz historię kształtowania się tego gatunku literackiego. Prześlę przede wszystkim jego rozwój na gruncie polskim, choć nie będzie to szczegółowy opis chronologiczny, a jedynie najistotniejsze dla moich dalszych rozważań kwestie dotyczące gatunkowości reportażu.

Jak podaje Jacek Maziarski w *Słowniku rodzajów i gatunków literackich*, reportaż jest to :

gatunek dziennikarsko-literacki, którego podstawową funkcję stanowi sprawozdanie za pośrednictwem obserwatora (reportera) o prawdziwych wydarzeniach, sytuacjach i ludziach. [...] Francuska nazwa gatunku, zapożyczona później przez szereg języków europejskich, została utworzona w 2. poł. XIX w. od angielskich form *reporter* ('sprawozdawca') i *to report* ('zdawać sprawozdanie'); ang. termin *reporter* zapożyczono w średniowieczu ze starofrancuskiego *reporteur/rapporteur*. W polskiej terminologii literackiej nazwa r. zjawia się stosunkowo późno. Nie zna jej jeszcze Słownik języka polskiego S. B. Lindego (1859) ani Słownik języka polskiego J. Karłowicza, A. Kryńskiego i W. Niedźwiedzkiego (1912), w którym występuje tylko hasło *reportaż* – „sprawozdanie dziennikarskie, reporterstwo, dział sprawozdań w czasopiśmie” (t. V, s. 516). Nazwa doczekała się szerokiego rozpowszechnienia w polskiej terminologii dziennikarskiej i literackiej dopiero w dwudziestoleciu międzywojennym, ściślej zaś – z początkiem l. 30²³.

Agnieszka Kaczmarczyk, powołując się na Słownik literatury polskiej XX wieku pod red. A. Brodzkiej stwierdza, że:

23 J. Maziarski, *Reportaż*, [w:] *Słownik rodzajów i gatunków literackich*, red. G. Gazda, S. Tyniecka-Makowska, Kraków 2006, s. 634.

sama nazwa pochodzi z języka łacińskiego (łac. Reportare – 'odnosić, donosić, oddać') i już w niej kryje się jedno z podstawowych założeń, mówiące o tym, że jest to relacja zdarzeń, których opowiadający był świadkiem i chce o nich opowiedzieć komuś innemu²⁴.

Z kolei u Melchiora Wańkowicza, uznawanego za mistrza i jednocześnie ojca polskiego reportażu, możemy przeczytać, że:

[...] reportaż jest tak stary jak mowa ludzka. Począł się już, kiedy pierwszy troglodyta przyniósł wiadomość o pasących się na polanie mamutach.

R e p o r t o – znaczy odnosić. Odnosić jakieś zdarzenie do świadomości ludzi, którzy tego zdarzenia nie widzieli.

Czasem, jak w wypadku tego troglodyty, przekaz jego jest bezpośredni. Kiedy indziej następuje po upływie czasu. Dopiero w wiele lat po pojedynku Hektora z Achillesem jakiś Homer daje reportaż o tym pojedynku²⁵.

Wańkowicz uświadamia tym nieco zabawnym spostrzeżeniem, iż reportaż jest rzeczywiście gatunkiem z wielowiekową historią, zrodzonym z bardzo ludzkiej potrzeby zdawania innym relacji ze zdarzeń, w których się uczestniczyło lub które się obserwoowało, gatunkiem wywodzącym się „[...] ze sprawozdań podróżników i pielgrzymów, sprawozdań wojennych, listów, diariuszy i kronik, szkiców środowiskowych i in., często historycznych już gatunków piśmiennictwa”²⁶. I jak dalej pisze Maziarski w definicji słowa „reportaż” :

We wczesnych stadiach rozwoju gatunku sprawozdania pisali ludzie najróżniejszych specjalności – kupcy, wojskowi, uczeni itp.; kształtowanie się r. w jego nowoczesnej postaci wiąże się z rozwojem w XIX w. prasy masowej i profesjonalizacją czynności sprawozdawczych. Szczególnie ważny moment w historii gatunku wyznacza pojawienie się nowej specjalności dziennikarskiej – reportera. W 2. poł. XIX w. r. przybiera swoją dzisiejszą postać, zrywając z gatunkami takimi jak dziennik, list czy pamiętnik. Formowanie się współczesnej postaci r. znacznie wyprzedziło narodziny nazwy gatunkowej, którą jeszcze długo zastępowano terminami *list*, *obrazek*, *szkic*, *notatki*, *kartki* i in.²⁷.

24 A. Kaczmarczyk, *Teoretyczne rozważania nad poetyką reportażu*, <http://www.bolgraph.com.pl/ftp/publikacje/8127.pdf>, s.1.

25 M. Wańkowicz, *Karałka La Fontaine'a*, t. 1, Kraków 1974, s. 24.

26 J. Maziarski, dz. c., s. 635.

27 Tamże.

Reportaż miał w Polsce okresu międzywojennego zarówno grono oddanych miłośników postulujących traktowanie go jako pełnoprawnego gatunku literackiego czy wręcz wywyższających go ponad utwory beletrystyki, jak również wielu równie zapalczych krytyków usiłujących z kolei zdegradować jego rolę w literaturze.

Za człowieka, który bezpośrednio przyczynił się do zainteresowania w Polsce tą formą literacką, Kaczmarczyk uznaje Aleksandra Wata, będącego w latach 1929-1931 redaktorem „Miesięcznika Literackiego” – to tam ukazało się wówczas kilka artykułów dotyczących reportażu, a także ogłoszono konkurs na reportaż²⁸. Do toczonej na jego łamach dyskusji o reportażu nawiązali nieco później członkowie literackiej grupy „Przedmieście” założonej w 1933 roku przez Helenę Boguszewską i Jerzego Kornackiego. Jej członkowie, wśród których znaleźli się m.in. Zofia Nałkowska i Gustaw Morcinek, postulowali, by pisarze zwrócili szczególną uwagę na ludzi bezrobotnych, biednych i wykluczonych, na środowisko proletariatu i marginesu społecznego oraz by ich utwory literackie, oparte na autentycznych wydarzeniach przez nich zaobserwowanych, stały się narzędziem w badaniu społeczeństwa, a zwłaszcza jego niższych warstw. Mieli również w planach nawiązywanie kontaktów z twórcami reprezentującymi mniejszości narodowe. Można by więc określić „Przedmieście” jako lewicujących literatów z ambicjami antropologicznymi, którzy przyczynili się do upowszechnienia literatury faktu.

Po drugiej stronie w walce o status reportażu znajdowali się natomiast jego liczni krytycy patrzący z lekceważeniem na coraz liczniejsze grono reporterów tworzących ten „gorszy” gatunek.

W Polsce okresu przedwojennego to krytyczne stanowisko wobec reportażu zajmował zarówno Ignacy Fik, czołowy krytyk dwudziestolecia związany w czasie II wojny światowej z komunistycznym podziemiem, jak i Józef Czechowicz, poeta awangardowy. Ten pierwszy stwierdza kategorycznie:

Właściwą literaturą reportaż nie jest (...). Lubią wtedy używać go pisarze, którzy nie mają nic do powiedzenia od siebie, którzy zrezygnowali z twórczości, z budowy, z wysiłku organizowania, walczenia (...). Reporterowi zasadniczo obce jest zagadnienie sztuki. W ogóle nie istnieje dla niego problem artystyczny – estetyczny²⁹.

28 A. Kaczmarczyk, dz.c.

29 Cytat za: A. Kaczmarczyk, dz.c., s. 2.

Czechowicz był zresztą nie mniej krytyczny, pisząc, iż „reportaż jest to rodzaj literacki b. niskiego gatunku. Kto wie nawet, czy to w ogóle jest rodzaj literacki?”³⁰. W *Karafce La Fontaine'a*, ostatnim, a zarazem najobszerniejszym swoim dziele poruszającym przede wszystkim temat sztuki pisania, w szczególności pisania reportaży, Wańkowicz zauważa:

Nie od dziś datuje się pogarda dla reportażu, zarówno od strony kapłanów literatury pięknej, którzy uważali, że dokumentacja gasi artyzm, jak od strony historyków i w ogóle naukowców, obawiających się, że plastyka opisu „odściśla” relacje³¹.

Pisząc o pogardliwym spojrzeniu na reportaż jako gatunek literacki, nie sposób nie wspomnieć o spojrzeniu równie pogardliwym, lecz bardziej bolesnym, bo skierowanym na ludzi go piszących. Wańkowicz, poruszając tę kwestię, cytuje Jerzego Lovella:

W okresie dwudziestolecia powojennego wykształciła się wśród reporterów znaczna stawka autorów o dużej sprawności pisarskiej, autorytecie moralnym i doświadczeniu politycznym; mógłbym wymienić co najmniej sześć nazwisk o randze, która w każdym innym kraju postawiłaby ich w czołówce osobistości szanowanych i adorowanych. U nas – zaledwie tolerowani, żyją na uboczu, nie są partnerami dla nikogo „na szczyblu”, ich nazwisk nie dostrzega się – poza podpisem nad tytułem książki czy reportażu w prasie. Nie są powoływani, mianowani, przyjmowani; w naszym zbiurokratyzowanym i zhierarchizowanym społeczeństwie oznacza to oczywiście „boczny tor”, jeśli nie gorzej³².

Temat reportażu był równie często podejmowany przez krytyków zarówno przed-, jak i powojennych. W dwudziestoleciu nastąpił znaczny rozwój tego gatunku, co wiązało się m.in. z wydaniem książek-bestsellerów przez kilku polskich autorów-reporterów. Arkady Fiedler zdobył wówczas rozgłos dzięki swoim dwóm utworom (*Ryby śpiewają w Ukajali* i *Kanada pachnąca żywicą*) opisującym jego wyprawy do odległych krajów. W podobnym czasie zasłynął również Melchior Wańkowicz za sprawą książek *Szczenięce lata* i *Na tropach Smętka* (ta ostatnia była owocem podróży autora po Prusach Wschodnich). Z kolei Ksawery Pruszyński podjął się w utworze *W czerwonej Hiszpanii* relacji z wojny domowej w 1936 roku, którą obserwował jako korespondent wojenny popierający wojska republikańskie. Nic dziwnego zatem, że sprawa reportażu jako gatunku wciąż przewijała się wśród literatów i krytyków literackich. Ich spory

30 Cytat za: M. Wańkowicz, dz.c., s.55.

31 M. Wańkowicz, dz.c., s. 53.

32 Cytat za: M. Wańkowicz, dz.c., s. 54.

przerwał jednak wybuch wojny, która dała ludziom duże pole do obserwowania sytuacji niezwykłych i przerażających, a co za tym idzie także do opisywania przeżyć związanych z życiem w czasie wojny. To właśnie w owych przeżyciach widzi Krzysztof Kąkolewski jedną z przyczyn sytuacji, gdy reportaż osiąga ok. 1960 roku tak dużą popularność, że przeważa nad beletrystyką na rynku wydawniczym. Kąkolewski określa je bowiem jako „przeżycia wojenne milionów, które osiągnęły tak wielką intensywność, że „przerosły fikcję» i zrodziły nieufność wobec zmyślenia”³³. Zauważa on, że do wzrostu zainteresowania reportażem przyczyniło się także „pojawienie się pokolenia autorów nie dowierzających fikcji czy nie ufających swej fantazji [...]”, dzięki czemu „wyodrębnił się osobny zawód reportażysty (reportera), często uważanego za obcego zarówno w środowisku dziennikarskim, jak i literackim, wzgardzonego przez krytykę”³⁴.

To ponowne zainteresowanie reportażem, które pojawiło się na początku lat sześćdziesiątych, oznaczało również wznowienie debaty w środowisku teoretyków i krytyków literatury. Zaczęli oni wówczas analizować poglądy swoich przedwojennych poprzedników, dostrzegając przy tym nowe kwestie sporne: estetykę i typologię reportażu³⁵. Agnieszka Kaczmarczyk podaje cechy reportażu, które Lovell zamieścił w artykule *Notatki o reportażu* z 1961 roku opublikowanym w „Życiu Literackim”. „Założenia te to: relacja z rzeczywistych zdarzeń – dobrze udokumentowana, aktualny temat z reporterem w charakterze świadka, uczestnika lub rekonstruktora oraz przedstawienie zdarzeń środkami dostępnymi literaturze”³⁶. I właściwie najbardziej zagorzałe dyskusje wywoływały i wywołują do dziś jeszcze owe „środki dostępne literaturze”, czyli sprawa literackości reportażu. Pomimo tego, że podkreślany jest przy definiowaniu reportażu jego hybrydalny charakter, więc już z założenia wiadomo, że mamy tu do czynienia z gatunkiem znajdującym się na pograniczu literatury i publicystyki („Od literatury pięknej oddziela reportaż wymóg autentyzmu, od dziennikarstwa piękno formy”³⁷.), to i tak od czasu do czasu rodzą się gorące spory o jego cechy gatunkowe. Warto wyjść przy omawianiu tego problemu od słów Wańkowicza, których powinniśmy się trzymać przy wszelkich tego typu polemikach. Wańkowicz bowiem postuluje, by reporterzy nie odzegnawali się od literatury:

33 K. Kąkolewski, *Reportaż* [w:] *Słownik literatury polskiej XX wieku*, red. A. Brodzka, s. 931.

34 Tamże.

35 A. Kaczmarczyk, dz.c., s. 2-3.

36 Tamże, s.3.

37 K. Kąkolewski, dz.c., s. 932.

Idzie więc tylko o to, żebyśmy sami, reporterzy, nie stawiali rzekomo nieprzekraczalnej granicy, żebyśmy nie odcinali reportażu od literatury, bo przecież to gałęzie tego samego drzewa i też same płyną w nich soki³⁸.

I dalej, komentując spór o reportaż literacki, Wańkowicz przytacza słowa Lovella:

To Dziewanowski pierwszy krzyknął [...], że wcale nie czuje się reportażystą literackim, lecz tylko po prostu r e p o r t e r e m. Miał rację. Nieświadomie zbliżył się do źródła fałszu. Bo, wydaje mi się, istotnie nie ma reportażystów literackich, przeciwstawnych wszelkim innym r e p o r t e r o m. Są tylko r e p o r t a ż e l i t e r a c k i e. [...] Widocznie – dobry reporter nie może zasklepić się w jednym sposobie wypowiedzi; dla treści, które chce przekazać, poszukuje różnych środków wyrazu [...] Powiedzieć o nim „reporter literacki”, to znaczy zubożyć go. [...] Kiedy źli belfrzy lub naiwni oszukani (przepraszam, to o kolegach) przeciwstawiają „mdlą wodę” reportażu literackiego „potrzebie reportażu faktów” – zapominają, że często są to dwie ręce tego samego twórcy, które – każda inaczej – spełniają to samo dzieło³⁹.

W słowach Lovella pobrzmiewa jeszcze negatywny wydźwięk terminu „reporter literacki”, choć sam Lovell widział już potrzebę sięgania przy pisaniu reportażu po środki stosowane w tworzeniu beletrystyki. Wańkowicz jawił się wówczas jako prekursor takiego podejścia nie tylko dlatego, że jego utwory są bardzo różne pod względem formy, ale także, czy może przede wszystkim dlatego, że proponował poszerzenie ram konwencji reportażu, dopuszczając mieszanie fikcji z faktami. Swoją metodę porównał on do mozaiki składającej się z wielu małych kamyczków posegregowanych w pracowni reportera i czekających na odpowiedni moment, w którym reporter – mozaikarz użyje ich do ułożenia „mozaiki faktologicznej”. Przyznał on również, że w przypadku niemożności znalezienia tego właściwego można element po prostu wymyślić albo też dla uniknięcia niejasności w tekście spowodowanej zbyt dużą liczbą postaci stworzyć jednego bohatera będącego zbitką kilku autentycznych⁴⁰. Początkowo pomysł Wańkowicza spotykał się z wieloma atakami ze strony twórców i krytyków reportażu, gdyż naruszał podstawowy jego wyznacznik, czyli autentyczność zanotowanych relacji, jednak z czasem przekonało się do propozycji Wańkowicza coraz większe grono osób zainteresowanych tym tematem.

38 M. Wańkowicz, dz.c., s. 62.

39 Cytat za: tamże, s. 63.

40 Zagadnienie to omówione jest w szczególności w rozdziale V *Karafka La Fontaine'a* zatytułowanym *Poszerzenie konwencji reportażu*, a termin „mozaika faktologiczna” zaczerpnęłam ze strony 201.

Reportaż współcześnie

Warto przyjrzeć się uważniej obecnej sytuacji reportażu na gruncie polskim, co nie znaczy, że tworzonym tylko przez polskich reporterów. Sytuacja ta jest bowiem niezwykle interesująca, zwłaszcza od czasu wydania przez Artura Domosławskiego biografii Kapuścińskiego, która wywołała dość gorącą dyskusję toczoną przez długie tygodnie na łamach gazet i na antenie radiowej, dyskusję dotyczącą zarówno rzetelności pisarstwa Kapuścińskiego, etyki zawodowej reporterów, której przekroczenie granic zarzucano Domosławskiemu, jak i samego zagadnienia reportażu literackiego jako gatunku znajdującego się gdzieś na pograniczu literatury pięknej i dziennikarskich relacji. W podobnym czasie co publikacja tej kontrowersyjnej biografii ogłoszono pierwszą edycję Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego za reportaż literacki, co także przyczyniło się do zwrócenia spojrzeń na ten gatunek literacki. Reportaż znalazł się w centrum zainteresowania nie tylko jego wiernych miłośników i czytelników, ale przetarł również szlaki w dotarciu do siebie większej liczby potencjalnych odbiorców. Mogę pokusić się o stwierdzenie, że ponownie dostrzeżono wielki potencjał tkwiący w reportażach, które stają się w obecnej kulturze, charakteryzującej się zalewem szybkich i sensacyjnych wiadomości, alternatywnym sposobem poznawania wydarzeń ze świata.

Obecnie to, co jeszcze do niedawna uważano za słaby punkt polskiej szkoły reportażu, co sam Wańkowicz krytykował, pisząc o „rozkrzewianiu się nieposkromionego gadulstwa”⁴¹ w rodzimej literaturze, to zatem, co przedstawiała mocno literacka forma reportażu, zaczyna być ich największym atutem, gdyż dzięki niej utwory zyskują rys charakterystyczny dla danego twórcy. Mariusz Szczygieł na swojej stronie internetowej zamieszcza taki oto *Wpis dla zainteresowanych reportażem* wyjaśniający zasadnicze sprawy:

[...] po aferze z „Kapuściński non-fiction” mam wrażenie, że wielu czytelników zgłupiało. W świat poszedł przekaz : Kapuściński kłamał, kłamią i jego następcy. [...] Ujawniło się przy tej okazji, że niektórzy myśleli, iż reportaż to „goły fakt”, „czysty fakt” czy też „przepisywanie rzeczywistości”. [...] Nic bardziej błędnego. [...] Czy zmyślam? Nie. Falszuję rzeczywistość? Nie. Czy przesadzam? Nie sądzę. [...] zdaniem wielu nowych krytyków Kapuścińskiego i krytyków polskiej szkoły reportażu – LITERACKOŚĆ naszych tekstów jest upiększaniem, zmyślaniem, kłamaniem, rozlewaniem farbki, fałszowaniem rzeczywistości. Nie jest (oczywiście mogą istnieć jakieś patologiczne przypadki, ale generalnie nie jest). „Literackość” - to dla mnie przede

41 M. Wańkowicz, *Prosto od krowy*, Warszawa 1965, s. 78.

wszystkim styl. Dobór słów i ich kolejność. Styl opowiadania właściwy tylko danemu autorowi. Własny sposób widzenia, który nie ma nic wspólnego z kłamaniem o faktach. „Literackość – to pomysł na formę. [...] Ten, kto twierdzi, że reportaż lub literatura faktu ma być przepisywaniem rzeczywistości, mówi głupio. Reporter – jak mawia Tochman – nie jest taśmą magnetofonową. Dodałbym, że może być taśmą, jeśli chce i z tego stworzy styl, ale generalnie nie jest. [...] Forma też sprawia, że tekst z punktu widzenia „naukowego” jest kłamstwem. Nie jest czystym faktem. [...] (Hemingway mówił, że żadna opowiedziana historia z naukowego punktu widzenia nie może być prawdziwa. Przytacza to Marek Miller w kultowej książce „Reporterów sposób na życie”). Reporter ma prawo do swoich wrażeń (powtarza jak mantrę Tochman). Czy jego wrażenie jest gołym faktem? [...] Przez lata pracy w dziale reportażu (na początku z Hanną Krall, potem z Małgorzatą Szejnert [...]) uważałem, że piszę teksty dziennikarskie. Ich odmianę, jaką jest reportaż. Słowo „literackość” nie przechodziło nam przez gardło. A już Małgosia na pewno dałaby nam po łapach, gdybyśmy się tego określenia próbowali chwycić. Nabrałem pewności ostatnio, kiedy Francuzi mi mówią, że „Gottland” to eseje, Niemcy, że opowiadania, a Rosjanie, że szkice historyczne. Zresztą oznacza to, że mają kłopot z tym gatunkiem, bardzo się dziwią, kiedy mówię im, że u nas to po prostu dziennikarstwo, reportaż⁴².

W przytoczonych przeze mnie fragmentach *Wpisu dla zainteresowanych reportażem* Szczygieł porusza kwestię literackości reportażu, a także sporu wokół obecności elementów fikcyjnych w reportażach, który rozwinął się szczególnie mocno w związku z publikacją książki Domosławskiego. Przyznaje również, że on sam dopiero od niedawna mówi bez obaw o literackości w uprawianym przez siebie gatunku. Natomiast podsumowanie tego tekstu może jedynie utwierdzić nas w przekonaniu, iż reportaż jest rzeczywiście gatunkiem synkretycznym, balansującym na granicy z wieloma innymi gatunkami i mogącym czerpać z ich dokonań, a na postrzeganie tego gatunku, tak odmienne w różnych krajach, wpływać może chociażby historia literatury danego narodu i wynikające z tego intuicyjne klasyfikowanie książek nie tylko przez zawodowych krytyków, ale i przez przeciętnych, choć zapewne bardzo różnorodnych, czytelników.

Rozważając kwestię obecnego położenia reportażu w Polsce, nie sposób nie odnieść wrażenia, iż przeżywa on od jakiegoś czasu wzmożone zainteresowanie, o czym świadczyć by mogło kilka faktów. Po pierwsze, ujawniło się kilku naprawdę dobrych polskich reporterów, którzy pisali co prawda już od dłuższego czasu, ale najczęściej w formie artykułów (zazwyczaj

42 M. Szczygieł, *Wpis dla zainteresowanych reportażem*, <http://www.mariuszszczygiel.com.pl/599/blog/wpis-dla-zainteresowanych-reportazem>.

zamieszczanych w „Dużym Formacie”, dodatku „Gazety Wyborczej”). Mam tu na myśli cytowanego już Mariusza Szczygła, a także Jacka Hugo-Badera, Wojciecha Tochmana i Witolda Szablowskiego. Nie wspominam w tym miejscu o Hannie Krall i Małgorzacie Szejnert, nestorkach polskiego reportażu, ani o Wojciechu Jagielskim, publikującym już od kilkunastu lat i uważanym za następcę Ryszarda Kapuścińskiego – cesarza reporterów. Po drugie, reportaże (nie tylko autorstwa wspomnianych wyżej reporterów) zaczęły zajmować należne im miejsce w księgarniach, obok beletrystyki, a nawet obok nowości i bestsellerów. Oznacza to, że przestały one być jakąś boczną gałęzią literatury czytaną wyłącznie przez miłośników gatunku, ale mogły wreszcie trafić także do czytelnika szukającego po prostu interesującej pozycji książkowej. Zanim jednak tam trafiły, musiały zainteresować się tym gatunkiem wydawnictwa, spośród których wymienić chciałabym zwłaszcza jedno – Czarne, które jedną ze swoich serii przeznaczyło właśnie na reportaże. Wydawnictwo to publikuje nie tylko polskie reportaże, ale także przekłady najważniejszych zagranicznych dokonań literackich z tego gatunku. Warto wspomnieć, że w obydwu edycjach Nagrody im. Kapuścińskiego książki kilkorga finalistów nominowanych do tej nagrody wydane były właśnie przez Czarne. Podsumowując krótko, reportaże są obecnie częściej pisane, tłumaczone (na język polski i odwrotnie), wydawane, a w związku z tym częściej także dyskutuje się o nich na łamach gazet i na antenie radiowej. Tematyce tej poświęcona jest m.in. audycja w radiu TOK FM pt. „Wrzenie świata”, którą prowadzą jej autorzy – W. Tochman, M. Szczygieł i P. Goźliński. Są oni również założycielami kawiarni o tej samej nazwie, w której można nie tylko posiedzieć przy kawie i zakupić jedną z licznych książek z dziedziny literatury faktu, ale i wziąć bezpłatnie udział w regularnie organizowanych spotkaniach wokół tematu reportażu. Powrót reportażu do łask literatury i ponowne nim zainteresowanie spowodowało także zmianę w postrzeganiu zawodu reportera, którego prestiż wyraźnie wzrasta w ostatnich latach, o czym świadczyć może choćby duża liczba kierunków humanistycznych przyuczających do zawodów dziennikarskich, spośród których warto wymienić zwłaszcza Laboratorium Reportażu Instytutu Dziennikarstwa UW, a także stworzenie Instytutu Reportażu, przy którym działa Polska Szkoła Reportażu. Twórcom instytutu, którymi są dosyć aktywni w dziedzinie reportażu wymieniani już wcześniej autorzy, udało się zebrać w gronie wykładowców nazwiska zarówno znanych i cenionych reporterów, z Hanną Krall na czele, jak i osób pośrednio związanych z tą tematyką. Nie mniej zachęcający niż lista prowadzących zajęcia znakomitości polskiego reportażu wydaje się być sam harmonogram zajęć⁴³.

43 Zob. <http://www.instytutr.pl/cmsms/index.php?page=szkola#wykladowcy>.

Omawiając obecną sytuację reportażu, chciałabym na zakończenie zastanowić się nad tym, co sprawiło, że reportaż jest dzisiaj znów gatunkiem literackim nie tylko chętnie czytany, ale i niezwykle rozwojowym, twórczym, poruszającym ważne tematy współczesnego świata, a do tego inspirującym do długich dyskusji, choć niekiedy również i sporów. Przyczyn tego stanu rzeczy upatrywać można, moim zdaniem, w tendencjach współczesnej kultury, w której ważną rolę odgrywają media podążające za sensacją, dostarczające szybkich wiadomości, newsów, a raczej zalewające odbiorców ich nadmiarem. Ludzie zmamieni chęcią „bycia na bieżąco” ulegają złudzeniu, że newsy im to zagwarantują. Zamiast rzetelnej informacji decydują się więc na krzykliwe nagłówki uderzające w ludzką ciekawość, by nie powiedzieć – wścibskość, na zdjęcia ofiar przeróżnych wojen i katastrof, na wciąż zmieniające się obrazy w telewizorze i na internetowych serwisach informacyjnych. I choć ten przygotowany z myślą o masowym odbiorcy przekaz rzeczywiście okazuje się wystarczający dla większości społeczeństwa, to istnieje również spora grupa ludzi, których nie interesuje to pozorne bycie poinformowanym na bieżąco za pomocą ogromnej liczby wyrwanych z szerszego kontekstu wiadomości. Dla nich właśnie istotna jest głębsza warstwa prezentowanych w mediach historii, a także wszystkich tych historii dziejących się gdzieś na poboczach medialnych doniesień, historii, które rzadko mają szansę trafić do spragnionego newsów przeciętnego obywatela. Reportaż literacki może się w tej sytuacji jawić jako alternatywny sposób opowiadania świata. Podobną opinię wyraża autor artykułu *Reportaż literacki – prawda czy fikcja?* zamieszczonego w internetowym serwisie poświęconym książkom z zakresu literatury faktu :

Reportaż literacki stoi w wyraźnej i zdecydowanej opozycji w stosunku do współczesnej kultury newsowej, która – zalewając nas bezustannie zmieniającymi się obrazami – udaje tylko, że informuje, a w rzeczywistości sprawia, iż coraz większa liczba ludzi odbiera współczesny świat jako spektakl pustych obrazków, przypominających coraz bardziej krótkie, urywane i pozbawione kontekstu filmiki reklamowe. Współczesne mass media nastawione są na wywołanie sensacji, liczy się szybkość i „moc uderzenia”, a nie rzetelne wytłumaczenie pokazywanych wydarzeń, wytłumaczenie ich przyczyn i skutków. Zadaniem autora reportażu literackiego jest zatem wyjaśnienie odbiorcy tego, czego nie wyjaśnia mu codzienny news : osadzenie jednostki w nawale zdarzeń i ukazanie, w jaki sposób pojedyncze osoby kształtują – a zarazem są kształtowane – przez losy historii. Patrząc na sprawę z drugiej strony, wysunąć można tezę, iż reportaż literacki jest po prostu „powrotem do korzeni” – w tym wypadku do korzeni dziennikarstwa. To właśnie do dziennikarzy należało niegdyś pokazywanie czytelnikom świata, nieznanego świata,

w całej jego złożoności i różnorodności, wyjaśnianie przyczyn aktualnych wydarzeń i prezentowanie ich z punktu widzenia jednostki⁴⁴.

Reporter i antropolog

Chciałabym teraz poruszyć kwestię dotyczącą zawodu reportera, a konkretnie etyki tego zawodu i predyspozycji, które powinien posiadać kandydat na przyszłego reportera. Dokonam także porównania dwóch zawodów bliskich mojemu sposobu patrzenia na świat, by nie powiedzieć wręcz, bliskich mojemu sercu – zawodu reportera i zawodu antropologa.

Czy praktykujący reporter może być z wykształcenia antropologiem? Czy też ukończenie studiów antropologicznych utrudniałoby mu wyrażanie własnych komentarzy do opisywanych ludzi i miejsc? I odwrotnie – czy dobry, rzetelny antropolog może uprawiać reporterstwo? Czy raczej pisanie mocno subiektywnych, a częstokroć również mocno emocjonalnych książek byłoby przeszkodą w prowadzeniu rzetelnych badań naukowych? Kwestii tych nie sposób rozstrzygnąć jednoznacznie. Już bowiem te dwa pojęcia : „reporter” i „antropolog” wywołują bardzo różne skojarzenia w zależności od tego, jak wyobrażamy sobie osobę zwaną reporterem i osobę zwaną antropologiem. Dla uściślenia dodam więc, że mam na myśli przede wszystkim reporterów w rozumieniu, które objaśniłam wcześniej m.in. słowami Mariusza Szczygła, czyli reporterów podróżujących (choćby i po własnym mieście), obserwujących, rozmawiających z drugim człowiekiem, zbierających materiał, drążących przy tym szczegóły tematu, a później tworzących reportaże (zwane obecnie literackimi) w formie artykułów lub większych rozmiarowo tekstów literackich przy użyciu technik zaczerpniętych z literatury pięknej (takich jak rytm, metafora, zmienny punkt widzenia, kompleksowość, wielowarstwowość, introspekcja, monolog wewnętrzny, alegoria, parabola⁴⁵). Jeszcze więcej znaczeń niesie słowo „antropolog”, i właśnie teraz, gdy zastanawiam się, jak w prosty sposób, pomijając całą gamę naukowych pojęć, wyjaśnić, kim dla mnie jest współczesny antropolog, uświadamiam sobie, że definicja pojęcia „antropolog” ma wiele wspólnego z definicją reportera. Bo czyż antropolog nie jest to człowiek podróżujący (choćby i po własnym mieście), obserwujący, rozmawiający z drugim człowiekiem, zbierający materiał, drążący przy tym szczegóły tematu, a później tworzący – i w tym miejscu dostrzegam pierwszą różnicę – nie reportaże, lecz teksty zazwyczaj naukowe, a więc przeznaczone dla wąskiego kręgu odbiorców, czyli najczęściej dla innych ludzi piszących i analizujących teksty naukowe, do tego będących zazwyczaj również antropologami. Mogę

44 M. Lewandowski, *Reportaż literacki – prawda czy fikcja?*, <http://www.lekturyreportera.pl/nasze-rozwazania/reportaz-literacki-%E2%80%93-prawda-czy-fikcja/>.

45 Tamże.

zatem stwierdzić, iż różnica między reporterem i antropologiem ujawnia się najmocniej właściwie dopiero w końcowej części ich pracy, w pisemnym efekcie ich podróży, rozmów, obserwacji i badania rzeczywistości. O ile bowiem rezultat pracy reportera ma szansę dotrzeć do czytelnika o średniej kulturze literackiej, o tyle prace naukowe, nawet te poruszające tematy zdające się być interesującymi dla współczesnego odbiorcy, obciążone są zazwyczaj zbyt wieloma teoriami i terminami naukowymi, by mogły dotrzeć do szerszego grona.

Mogę z tego wysnuć wniosek, że to reporterzy odnoszą większy sukces, gdyż prezentują różne kultury, często mroczne, tajemnicze i zamknięte, różnych ludzi, z pozoru znanych, lecz z zupełnie innej niż znana strony, bądź też zupełnie anonimowych i dopiero w reportażu mogących opowiedzieć jakąś historię – odnoszą sukces, gdyż ich opowieści pozwalają czytającym rozumieć innych ludzi i ich światy. Natomiast antropolodzy mimo dużego wysiłku włożonego w opowiedzenie innej kultury językiem naukowym ocierają się o porażkę, gdyż ich prace poszerzają jedynie dokonania ich własnej dyscypliny naukowej. I choć różnica między reporterem i antropologiem wydaje się kolosalna, biorąc pod uwagę tak różne efekty literackie ich pracy, to jednak chciałabym skupić się na tym, co łączy te dwa zawody. Jak już wspomniałam, znaczne podobieństwo wykazują początkowe etapy pracy reportera i antropologa czyli przygotowywanie się do wyjścia w teren i samo zbieranie materiału w terenie. Równie zbieżne są cechy wymieniane przez znawców tematu jako predysponujące do bycia reporterem i predysponujące do bycia antropologiem. Jako studentka antropologii wielokrotnie spotkałam się z wymienianiem cech będących wyznacznikami dobrego antropologa lub kandydata na przyszłego antropologa. Sama również mam podobne do tych słyszanych wyobrażenia o przymiotach istotnych w tym zawodzie. Antropolog jawi się więc jako człowiek otwarty na świat i innych ludzi, ciekawy świata, a czasem nawet ciekawski, chcący zaglądać we wszystkie te miejsca, gdzie żyją ludzie ze swoją własną kulturą, bacznie przyglądający się i słuchający, umiejący rozmawiać z innymi, skłonić ich do rozmów, a czasami także do osobistych wyznań, a do tego kojarzy się także, słusznie zresztą, z osobą empatyczną, która świat drugiego człowieka poznaje z chęcią i bez uprzedzeń. Jerzy Kociatkiewicz i Monika Kostera pisząc o antropologii jako stanie ducha, przywołują ukute przez Barbarę Czarniawską-Joerges pojęcie „antropologicznego nastawienia”, które miałyby określać ten szczególny stan umysłu badacza kultury:

Z jednej strony jest to otwartość na nowe rzeczywistości i znaczenia, a z drugiej ciągła potrzeba problematyzowania, odmowy przyjmowania czegokolwiek jako pewnik, rzecz oczywistą i znajomą. Badaczowi potrzebne jest zatem ciekawość poznawcza, zdolność do

zadziwienia wobec świata; nawet jeśli jest to „świat codzienny”, badacz „nastrojony antropologicznie” będzie patrzeć na niego jako na coś ciekawego, będącego intelektualnym wyzwaniem⁴⁶.

Skonfrontuję teraz te ustalenia z cechami, jakie wymienia się często, rozprawiając o kandydacie na dobrego reportera. Posłużę się w tym celu wypowiedziami znanych polskich reporterów zarejestrowanych w formie krótkich filmów przez MAMTV, jedną z odnóg projektu MAM (Młodzieżowa Akcja Multimedialna), którego autorzy, Fundacja Nowe Media, stawiają sobie za cel przygotowanie młodzieży do twórczego korzystania z mediów i zaznajamianie z tajnikami ich tworzenia, a także popularyzowanie idei rzetelnego dziennikarstwa nie tylko po to, by kształcić nowe pokolenie dziennikarzy, ale również krytycznych odbiorców umiejących selekcjonować informacje w dobie zalewu mediów newsami. Pominę w tym miejscu podstawową stronę tego projektu, umożliwiającą tworzenie e-gazety, a skupię się jedynie na jej uzupełniającym portalu, czyli na e-lekcjach, gdzie opublikowane są w formie wideo wywiady z ludźmi mediów, udzielającymi najczęściej porad początkującym dziennikarzom i reporterom⁴⁷.

Właśnie w owych nagraniach kilku reporterów wypowiada się w kwestii cech preferowanych w ich zawodzie. W pierwszym z serii filmów zatytułowanych *O sztuce pisania i obserwowania świata* Szczygieł charakteryzuje prawdziwego reportera jako osobę, która widzi więcej niż inni i zauważa często to, czego inni nie dostrzegają. Istotną cechą w tym zawodzie jest brak gotowego, wyrobionego zdania na dany temat już na początku jego poznawania i badania. Reporter musi więc dopiero chcieć się przyjrzeć i dowiedzieć, wychodząc z założenia, że nawet jeśli jakaś sprawa przedstawia się tak, jak inni ją opisują, to on i tak sam to sprawdzi. Według Szczygła, równie ważną właściwością reportera jest jego słuch, słuch wyczulony na drugiego człowieka, na jego sposób mówienia. Dobry reporter o słuchu prawie że magnetofonowym potrafi oddać nie tylko treść rozmowy, ale również jej klimat, a nawet frazy wypowiedziane przez inne osoby. Do tych trzech cech Szczygieł dorzuca jeszcze talent do pisania⁴⁸.

O predyspozycjach w uprawianym przez siebie zawodzie wypowiada się także Marek Miller w nagraniach pod wspólnym tytułem *Zawód reporter*. On z kolei podkreśla ową ciekawość świata i ludzi, która musi być na tyle duża, by zmuszać do ciągłego szukania tematu, do ciągłego nawiązywania kontaktu z ludźmi. Przy okazji tej cechy Miller wspomina o słuchu pomagającym wychwycić moment, gdy pojawia się prawdziwy temat na reportaż. Jako kolejną

46 J. Kociatkiewicz, M. Kostera, *Antropologia pustych przestrzeni*, [w:] *Pisanie miasta. Czytanie miasta*, red. A. Zeidler-Janiszewska, Poznań 1997, s. 73.

47 Zob. <http://e-lekcje.org/fond.html>.

48 M. Szczygieł, *O sztuce pisania i obserwowania świata*, <http://e-lekcje.org/mamtv/o-sztuce-pisania-i-obszrewowania-swiata.html>.

wskazuje on empatię, gdyż reporter to człowiek przejmujący się historiami innych ludzi, wczuwający się w sytuację opisywanych przez niego osób i, co istotne, nie mogący z biegiem lat znieczulać się na rzeczywistość. Miller mówi również o intuicji reportera, która podpowiada mu, gdzie warto iść, a gdzie niekoniecznie, albo też kiedy warto zostać dłużej, mimo że inni już wychodzą. Intuicji, która pomaga zdecydować, co jest dobrym tematem na reportaż i kto nadaje się na jego bohatera. Kolejną ważną cechą w zawodzie reportera jest chęć ciągłego uczenia się, poprzez podejmowanie wciąż nowych tematów będących za każdym razem nowym wyzwaniem, co Miller wiąże dodatkowo z odpornością na nieco chaotyczny tryb życia. Równie istotne jest według niego życie dniem dzisiejszym, co okazuje się niezwykle pomocne w tej profesji. Reporter w opinii Millera to zatem człowiek czasu teraźniejszego, wierzący, że ciekawie jest właśnie tu i teraz. Podsumowując swoją wypowiedź o cechach dobrego reportera, stwierdza on (być może na pocieszenie dla wszystkich tych marzących o karierze reportera, którzy jednak nie doliczyli się u siebie niektórych spośród wymienionych przez Millera cech), że nie trzeba mieć rozwiniętych wszystkich tych predyspozycji, gdyż można je również wytrenować⁴⁹.

Choć Szczygieł i Miller, opisując kandydata na dobrego reportera, posługują się innymi skojarzeniami i porównaniami, to jednak kreślone przez nich portrety reportera zdają się być ze sobą spójne i wzajemnie się dopełniać. Wymieniane przez nich cechy przywodzą mi na myśl nie tylko obraz dobrego reportera, ale również wyobrażenie dobrego antropologa. Tak istotny dla Szczygła brak wyrobionej z góry opinii na jakiś temat i potrzeba osobistego sprawdzania rzeczy z pozoru oczywistych i błahych pobrzmiwa niczym owa „ciągła potrzeba problematyzowania, odmowy przyjmowania czegokolwiek jako pewnik, rzecz oczywistą i znaną”, a podkreślana przez Millera ciekawość świata i empatia w kontaktach z innymi ludźmi okazuje się ważna nie tylko w zawodzie reportera, ale i antropologa. Jak już wcześniej wspomniałam, podobieństwo tych dwóch profesji ujawnia się zwłaszcza w pracy terenowej, zwanej przez reporterów reaserchem, kiedy to i reporter, i antropolog wychodzą już z pewną zdobytą wiedzą w teren, by obserwować, pytać, rozmawiać, czasem notować, a czasem nagrywać, a mówiąc krócej – by poznać bliżej innego człowieka wraz z jego światem i płynącymi z niego opowieściami. Zupełnie różne są natomiast wytwory ich pracy pisarskiej, gdyż każdy z nich opracowuje materiał innym typem języka – antropolog za pomocą języka naukowego, reporter zaś przy użyciu języka literackiego.

Na zakończenie rozważań o reportażu jako gatunku oraz o podobieństwach w pracy reporterów i antropologów chciałabym opisać pewną polemikę toczącą się całkiem niedawno na łamach „Tygodnika Powszechnego” i „Gazety Wyborczej”, polemikę o tyle dla mnie

49 M. Miller, *Zawód reporter*, <http://e-lekcje.org/mamtv/zawod-reporter.html>.

interesującą, że dotykającą kwestii subiektywnych odczuć ludzi opisujących inne kultury i tworzonych przez nich narracji, niekiedy bardzo emocjonalnych. W związku z wydaniem nowej książki Wojciecha Tochmana o ludobójstwie w Rwandzie i postawie wobec niego katolickich księży z misji w Gikondo, „Tygodnik Powszechny” zamieścił rozmowę ks. Adama Bonieckiego z autorem *Dzisiaj narysujemy śmierć* poruszającą dość szeroki kontekst roli Kościoła w rwandyjskim ludobójstwie⁵⁰. W odpowiedzi na tę rzeczową i wiele wyjaśniającą rozmowę „TP” opublikował dwa tygodnie później rozmowę Marcina Żyły z Małgorzatą Wosińską, przedstawioną jako etnolog i psychotraumatolog, choć jak się miało wkrótce okazać, psychotraumatologiem wcale Wosińska nie jest, a jedynie chce nim być. W tekście tym zatytułowanym *Tajemnice traumy* kwestionuje ona sposób pracy Tochmana, jego zawodową rzetelność, wrażliwość i etykę, a nawet sugeruje, że ukazanie się jego książki wywołało wśród misjonarzy awantury i śmierć jednego z nich. Porównuje ona swoją pracę w Rwandzie, gdzie prowadziła badania terenowe dotyczące ludobójstwa i terapię jego ofiar, z pracą Tochmana, i stawia siebie w opozycji do subiektywnego reportera, mówiąc: „Ale w etnologii ja wyłącznie odtwarzam teren. Nie wymyślam własnej narracji, tylko staram się odtworzyć narrację świadków”⁵¹. Zadziwiające momentami opinie Wosińskiej wywołały falę dyskusji, w której następnym głosem stał się artykuł Magdaleny Grochowskiej w „Gazecie Wyborczej”. Jego autorka pisze w nim o Wosińskiej:

I z tej perspektywy karci Tochmana, że „tak bardzo przez własny pryzmat tworzy rzeczywistość”, panoszy się ze swoim „ja”. Grozę traktuje instrumentalnie, jest ona dla niego „świetnym zabiegiem literackim”. Wosińska poucza o sztuce reportażu – chciałaby wypuścić zeń soki życia, wcisnąć go w ramki fotografii. To znaczy, że nie wie, o czym mówi. Bo reportaż nie odtwarza, lecz przetwarza. Tym głębszy, im wrażliwsze „ja”. Im bardziej naznaczony indywidualnością autora, tym bogatszy. Budulcem dlań może być wszystko – również emocje reportażysty. Tochman odsłania je w książce, kiedy nie może już unieść ciężaru opisywanego świata; kiedy chce przerzucić na czytelnika choć ułamek cierpień Rwandyjczyków. Tymczasem Wosińska i Żyła skwapliwie posyłają materiał do psychoanalizy. „Jak odczytujesz warstwę emocjonalną książki?” - pyta dziennikarz. I podrzuca – zbyt prosty – psychoanalityczny klucz: autor kieruje się resentymentem. Bo misjonarze odmówili mu rozmowy i go urazili. Wosińska potwierdza

50 Zob. A. Boniecki, W. Tochman, *Kraj płacze, a ich nie ma*, http://tygodnik.onet.pl/31.0.63437,kraj_placze_aich_nie_ma.artykul.html.

51 M. Wosińska, *Tajemnice traumy*, <http://tygodnik.onet.pl/31.0.64312.2.artykul.html>, s.2.

– nie dopuścili go do swej tajemnicy... I dodaje ze znanstwem, że reporter powinien być świadomy własnych ograniczeń i lęków, gdyż „teren obnaży wszystko”⁵².

Wypowiedzi Wosińskiej zbulwersowały zresztą nie tylko Grochowską, gdyż swój głos w tej sprawie zabrał także Szczygieł (zarówno w „Tygodniku”, jak i w „Wyborczej”) oraz Joanna Tokarska- Bakir. W artykule *Dlaczego reporter nie żywi się ciszą* Szczygieł oprócz dość ostrej krytyki słów Wosińskiej umieszcza przypomnienie o prawach, jakimi rządzi się reportaż:

Tochman często powtarza, zresztą nie jest w tym pierwszy, że nie ma obiektywnego reportażu, że reportaż musi być subiektywny, że innego reportażu nie ma sensu pisać. Podkreśla, że w reportażu jedynie fakty są święte, niepodważalne (Tochman znany jest w naszym środowisku z jakiegoś niemalże nabożnego stosunku do faktów), a wszystko inne to subiektywne wrażenie autora, jego emocja, refleksja. Ci, którzy czytają i rozumieją reportaż, wiedzą, że dwóch reporterów opisujących to samo zdarzenie (np. rewolucję w Iranie w 1979r.) opiszcie dwa zupełnie inne światy. Zgadzać się będą jedynie kluczowe fakty (Szach uciekł, przyleciał Chomeini), ale wszystko inne będzie się różnić. Inni będą ludzie, inne rozmowy, inne nastroje, obrazy, zapachy. Inne będzie napięcie w tekście. Ale i jeden, i drugi tekst będzie uczciwie napisany. Będzie to prawda taka, jaką zobaczył i usłyszał autor⁵³.

Refleksje o subiektywnym charakterze reportażu jako gatunku literackiego przywodzą na myśl dyskusje, które toczyły się wokół kwestii subiektywności w antropologii, nasilone zwłaszcza wraz z rozwojem antropologii refleksyjnej uznającej neutralność antropologa oraz obiektywność tworzonych przez niego tekstów z badań terenowych za fikcję, w dodatku fikcję niemożliwą do zrealizowania. Antropologia refleksyjna ułatwiła rozwój zarówno badanych kultur, gdyż dopuściła je do głosu jako równych partnerów w prowadzonej z antropologami dyskusji, jak i samym antropologom, zdejmując z nich piętno mówienia jedynej prawdy o ludziach z innej kultury oraz wzbogacając ich metody badawcze o te uznawane dotąd za nienaukowe (intuicja, subiektywne spojrzenie antropologa, wyrażanie własnych emocji). Tym bardziej może dziwić obecnie głos takich osób jak Wosińska, którzy wydają się zupełnie pomijać osiągnięcia własnej dyscypliny naukowej. Na fali zdziwienia jej wypowiedziami i sugestiami co do osoby Tochmana swoją opinię wyraziła także Tokarska-Bakir. Występując w tej polemice jako autorytet z dziedziny etnologii, stwierdza ona kategorycznie:

52 M. Grochowska, *Reportaż ze skutkiem śmiertelnym*, http://wyborcza.pl/1,76842,9806261,Reportaz_ze_skutkiem_smiertelnym.html?as=2&startsz=x, s.2.

53 M. Szczygieł, *Dlaczego reporter nie żywi się ciszą*, <http://tygodnik.onet.pl/1,64829,druk.html>.

Jako profesor etnologii informuję, że postawa, którą prezentuje w wywiadzie Małgorzata Wosińska, nie ma nic wspólnego z obiektywnością etnologiczną, więcej z postawą zwaną going native [przywłaszczanie sobie tożsamości lokalnej przez badacza] wielokrotnie – choć, jak widać, wciąż zbyt rzadko – krytykowaną w literaturze przedmiotu⁵⁴.

Przytoczyłam część tej polemiki, której źródłem stała się książka Tochmana, by pokazać, że dyskusje wokół subiektywnych odczuć badaczy, antropologów, reporterów, słowem wszystkich tych obserwujących, opisujących i po części również żyjących życiem innych, są wciąż aktualne i potrzebne. Wydawać by się mogło, że o ile reporterzy zaakceptowali już subiektywność tworzonych przez siebie tekstów i mogą się tym obecnie szczycić, o tyle trudniej przychodzi to antropologom, ludziom reprezentującym świat nauki. Niektórzy, jak widać, nawet dziś żyją złudzeniami o wyższości badań naukowych nad reporterskimi. Piszę o tym właśnie dlatego, że sama postrzegam swoją pozycję gdzieś pomiędzy tymi dwoma światami, gdzieś pomiędzy antropologią a reporterstwem. Czuję bliskość zarówno owego „antropologicznego nastawienia” wraz z całym bagażem znaczeń, jakie ze sobą niesie, jak i literackiej formy tekstów reporterskich, przesyconych niekiedy pełnymi emocjami autorefleksjami autora, innym znów razem sprowadzonych do krótkich, ostrych zdań opowiadających czyjąś historię. Opisując mojego tatę, jego współtowarzyszy i ulicę [REDAKTOR] wraz z jej specyficznym klimatem kierowałam się antropologicznym zaciekawieniem w poznawaniu innej kultury, natomiast za najbliższą mi formę opowieści o tym świecie uznałam właśnie reportaż. W tytule zaznaczyłam jednak, że są to jedynie próby reportażu, gdyż nie mając wcześniejszego doświadczenia w tym zakresie, nie ośmielałam się nazywać moich tekstów pełnoprawnymi reportażami.

54 J. Tokarska-Bakir, *Zapiski współwinnego widza*, [w:] „Duży Format” (dodatek do „Gazety Wyborczej”) 2011, nr 28/946, s. 12.

Heterotopia ulicy [REDACTED]

Ulicę [REDACTED] wraz ze światem ludzi i miejsc, które do niej przynależą, chciałabym omówić, wykorzystując pojęcie „heterotopii” stworzone przez Michela Foucaulta. Omówił on je w 1967 r. w trakcie wygłoszonego na pewnej konferencji wykładu, który w formie artykułu zatytułowanego *Des espaces autres* opublikowany został po raz pierwszy w 1984 r. we francuskim czasopiśmie architektonicznym. Pojęcie „heterotopii” pojawia się przy okazji refleksji nad zmianami zachodzącymi w świecie, z których najistotniejsza wydaje się być zmiana kategorii czy też źródła poznania. Foucault stwierdza, że „epoka współczesna będzie być może nade wszystko epoką przestrzeni”⁵⁵ w przeciwieństwie do wieku XIX, kiedy to podstawową kategorią rozumienia świata był czas. Zainteresowania oraz tworzone na ich gruncie narracje i teorie dyktowane były poprzednio XIX-wieczną obsesją historii i przypisanymi jej tematami „rozwoju i zawieszenia, kryzysów i cykli, akumulowaniem przeszłości, przeciążeniem śmiercią i widmem zlodowacenia świata”⁵⁶. Natomiast współczesne jemu czasy Foucault nazywa „czasami symultaniczności, epoką przemieszczenia i zestawienia, epoką bliskości i oddalenia, przybliżenia i rozproszenia”, w której „doświadczamy świata w mniejszym stopniu jako życiowego rozwoju w czasie, a w większym jako sieci łączącej punkty i przecinającej swoje własne pasma”⁵⁷. Zaznacza on również, że choć przestrzeń kształtuje obecnie zakres „naszych zmartwień i zainteresowań, naszych teorii i naszych systemów”, to jednak pojęcie to nie jest niczym nowym i ma długą historię w doświadczeniach zachodniej kultury. Zmieniło się raczej nasze rozumienie przestrzeni – w obecnej epoce „ma [ona – przyp. K.T.] dla nas formę relacji pomiędzy miejscami”⁵⁸. Pisząc o właściwościach przestrzeni, zarówno tej wewnętrznej, dotyczącej m.in. naszej intuicji, emocji i snów, jak i tej zewnętrznej, w której żyjemy, Foucault stwierdza, że nie jest ona jednorodna i pusta, lecz wręcz przeciwnie – heterogeniczna. Człowiek żyje zatem „w obrębie układu relacji, który nakreśla usytuowanie miejsc nieredukowalnych do siebie nawzajem i absolutnie niemogących się na siebie nakładać”⁵⁹. Dla Foucaulta najbardziej

55 M. Foucault, *O innych przestrzeniach. Heterotopie*, „Kultura Popularna” 2006, nr 2, s. 7.

56 Tamże.

57 Tamże.

58 Tamże, s. 8.

59 Tamże, s. 9.

interesujące spośród wszystkich miejsc są te, które „mają niezwykłą właściwość znajdowania się w relacji ze wszystkimi innymi miejscami, ale w taki sposób, że wstrzymują, neutralizują, bądź odwracają one całość relacji, które desygnują, odbijają lub odzwierciedlają”⁶⁰. Miejsca w ten sposób rozumiane należą do jednego z dwóch typów: utopii lub heterotopii. Wyjaśnijmy na początek samo znaczenie tych słów. Posłużę się w tym celu fragmentem analizy Marii Mendel z jej pracy poświęconej heterotopii bezdomności:

Grecki źródłosłów odsyła do: *tópos*, czyli „miejsce”, „okolica”, oraz *héteros*, czyli „inny”, „różny”. Héterotópos, heterotopia, to zatem miejsce inne, różne, różnorodne. Takie etymologiczne ujęcie nie jest wystarczające; by zrozumieć heterotopię należy pogłębić je, wiążąc ją z utopią. Tę można rozumieć jako nie-miejsce, bo greckie *outópos* znaczy utopia (*ou* = „nie”-*tópos*, nie-miejsce)⁶¹.

Niektórzy wskazują również drugie znaczenie słowa „utopia”. Bauman stwierdza, że twórca tego pojęcia, sir Thomas More, nazywając swój projekt „utopią”, uczynił aluzję do obydwu tych słów – do słowa *eutopia* oznaczającego „dobre miejsce” i do słowa *outopia* znaczącego „nigdzie”⁶². Przyjąć można jednak, że Foucault odwołuje się przede wszystkim do sensu „utopii” jako „nie-miejsca”. Utopia jest zatem miejscem realnie nieistniejącym, „umiejscowieniem pozbawionym prawdziwego miejsca”, „przestrzenią nierzeczywistą”, która pozostaje w specyficznej zależności z rzeczywistą przestrzenią społeczeństwa, gdyż może stanowić jego formę doskonałą lub też jego idealne przeciwieństwo. W przeciwstawieniu do utopii, choć nie do końca jednoznacznie, konstruuje Foucault pojęcie „heterotopii”, czyli miejsc rzeczywistych wpisanych „w samą instytucję społeczeństwa” i „stanowiących w pewnym sensie przeciw-miejsca, rodzaj rzeczywiście wcielonych w życie utopii, w których miejsca prawdziwe, wszystkie inne prawdziwe miejsca, jakie można odnaleźć w kulturze, są jednocześnie reprezentowane, kontestowane i odwracane”⁶³. Kontrast pomiędzy utopią a heterotopią nie oznacza jednak, że są to wzajemne przeciwieństwa, gdyż, jak twierdzi Mendel, takie proste odczytanie ich zależności „gubi istotę każdego z tych pojęć”⁶⁴. Foucault porównuje istniejący pomiędzy nimi związek do doświadczenia lustra, które jest utopią, jako że człowiek przed lustrem widzi siebie tam, gdzie nie ma go realnie, a jednocześnie jest także heterotopią,

60 Tamże.

61 M. Mendel, *Spoleczeństwo i rytuał. Heterotopia bezdomności*, Toruń 2007, s. 70.

62 Z. Bauman, *Płynne czasy...*, s. 132-133.

63 M. Foucault, dz.c., s. 9.

64 M. Mendel, dz.c., s.71.

gdyż istnienie lustra jest rzeczywiste i oddziałuje ono zwrotnie na człowieka przed lustrem. Jak pisze Foucault:

Poprzez lustro odkrywam własną absencję w miejscu, gdzie się znajduję, gdyż widzę siebie właśnie tam. Począwszy od tego spojrzenia, które jest w pewnym sensie skierowane na mnie, z głębi wirtualnej przestrzeni znajdującej się po drugiej stronie szyby, wracam ku sobie. Zaczynam ponownie kierować wzrok na siebie samego i ponownie konstytuuję siebie tam, gdzie jestem⁶⁵.

Porównanie heterotopii z doświadczaniem rzeczywistości i siebie widzianych w lustrze i poprzez lustro zdaje się niezwykle trafnie oddawać istotę tego pojęcia. Nawiązując do porównania z lustrem, Grażyna Ewa Karpińska określa heterotopię jako:

[...] rzeczywiste miejsce oglądane z wewnątrz, możliwe do uchwycenia jedynie poprzez krzyżowanie i kontakt (spotkanie) wielu spojrzeń (także badacza) odbitych od fragmentu istniejącej realnie fizycznej przestrzeni; miejsce realne, możliwe do zaistnienia jedynie w następstwie relacji człowieka ze światem i z samym sobą oraz zdystansowanej, oddalającej się i wracającej w to samo miejsce myśli⁶⁶.

Do podobnych wniosków dochodzi wspomniana już badaczka bezdomności, Maria Mendel, uznając:

Heterotopia, jako „miejsce miejsc”, możliwa do uchwycenia wydaje się wyłącznie w sytuacji kontaktu, przecięcia owych „spojrzeń”, czyli ich spotkania (również wymiany) w warunkach dystansu, utrzymywanego tak wobec siebie, jak miejsca, ogarnianego – można w związku z tym powiedzieć – krytycznym spojrzeniem⁶⁷.

Do opisu heterotopii, tych przestrzeni znajdujących się gdzieś poza obrębem wszystkich innych miejsc, proponuje Foucault stworzenie swoistego systematycznego opisu, niekoniecznie zresztą naukowego, nazwanego przez niego heterotopologią, który, opierając się na sześciu podstawowych zasadach, miałby ułatwić badanie, analizowanie i charakteryzowanie owych innych przestrzeni. Zanim przejdę do własnej analizy heterotopologicznej ulicy ██████████,

65 M. Foucault, dz.c., s. 9.

66 G.E. Karpińska, *Lato w getcie. Piekło okupacyjnej heterotopii*, [w:] *Lato w mieście. Różne oblicza kultury*, red. ██████████, Warszawa-Kraków 2010, s. 75.

67 M. Mendel, dz.c., s. 72.

chciałabym jeszcze najpierw przedstawić kilka przykładowych opracowań z dziedziny heterotopologii, by pokazać, jak różnorodne zagadnienia można omawiać, przyjmując jej wytyczne. Pojęcie heterotopii stosuje, cytowana już przeze mnie, Mendel do zanalizowania zjawiska bezdomności oraz instytucji szkoły, dostrzegając także w podsuwanej przez nie metodologii szansę na zagłębienie się w istotę rytuału i rytualizacji. Uznaje ona bowiem, że Foucault, choć nie pisze wprost o rytuale, to „kształtuje jego koncepcję”, gdyż „rytualizacje, jako ciągi społecznych praktyk, wydają się tworzyć jego «inne przestrzenie» i «inne miejsca»”⁶⁸. Również druga z cytowanych badaczek, Karpińska, sięga po Foucaultowskie pojęcie, by zastosować je – sięgnąwszy po dwa teksty powstałe w łódzkim getcie – do analizy miejsc związanych z tamtejszą codziennością. Z kolei Dorota Filipka decyduje się w swojej pracy magisterskiej na opisanie w ramach tejże metodologii miejskich toalet publicznych jako jednej z wielu heterotopii, które odnaleźć możemy w przestrzeni miasta⁶⁹. Jeszcze innym przykładem zastosowania tego pojęcia jest artykuł Anny Krynickiej zatytułowany *Heterotopia Drohobycz*, w którym, zaliczając heterotopię do zagadnień z dziedziny topografii, proponuje ona właśnie topograficzny sposób czytania opowiadań Brunona Schulza⁷⁰.

Przyjrzyjmy się teraz ulicy [REDAKTOR] widzianej przez pryzmat Foucaultowskiej „heterotopii” scharakteryzowanej przez niego na podstawie sześciu zasad (nie oznacza to wcale, że wszystkie one muszą być przez daną heterotopię spełnione). Heterotopię ulicy [REDAKTOR] konstruuję z pewnego dystansu czasowego, gdyż, jak już wspomniałam, świat tej ulicy oddalił się ode mnie wraz z odejściem mojego taty. Pisząc obecnie o świecie [REDAKTOR], który dla mnie należy już po części do przeszłości, mogę rekonstruować tę heterotopię, szukając we własnej pamięci fragmentów rozmów, ulotnych wrażeń z bywania u taty lub zatrzymanych niczym w fotograficznym kadrze obrazów ludzi, przedmiotów i miejsc. Jednak sama heterotopia nie zaistniałaby bez osoby ją obserwującej i tworzącej, gdyż, jak wiemy, spojrzenia muszą się w lustrze krzyżować. O roli konstruktora heterotopii pisze Mendel:

Badacz heterotopii jest więc także jej twórcą. To osoba włączona w konstruowanie „miejsca miejsc”, spośród których jedno z pewnością należy do niego. Ujrzy je jednak tylko, jeżeli będzie swoiście, przez dystans, zdwojone – jak w doświadczeniu z lustrem – kiedy (myśląc po heideggerowsku) „będzie-w-miejscu” i wejdzie z nim w interakcję⁷¹.

68 Tamże, s. 82.

69 Zob. D. Filipka, *Miejskie heterotopie*, praca magisterka napisana pod kierunkiem A.P. Wejlana, Łódź 2008.

70 Zob. A. Krynicka, *Heterotopia Drohobycz*, <http://nowakrytyka.pl/spip.php?article418>.

71 M. Mendel, dz.c., s. 72.

Teraz mogę jedynie zadać sobie pytanie, czy udało mi się zrealizować postulaty Marii Mendel, by „pozwalając przecinać się spojrzeniom i wchodząc w niekończące się «interakcje-w-miejscach», być badawczo skoncentrowanym na ich przebiegu i rezultatach”⁷². Przejdźmy zatem do analizy heterotopologicznej ulicy [REDACTED].

Pierwsza zasada heterotopologii głosi, że heterotopie są tworzone przez prawdopodobnie każdą ludzką grupę czy też kulturę na świecie, są więc pewną stałą w kulturze, a jednocześnie nie istnieje żadna uniwersalna ich forma. Można jednak dokonać podziału heterotopii na dwa najistotniejsze typy: heterotopie kryzysu i heterotopie dewiacji. Te pierwsze Foucault przypisuje w szczególności społeczeństwom określanym jako „prymitywne”, twierdząc, że heterotopie te są „zarezerwowane dla jednostek znajdujących się – z punktu widzenia społeczeństwa oraz w relacji do ludzkiego środowiska, w którym żyją – w stanie kryzysu”⁷³. Osoby pozostające w stanie kryzysu to, na przykład, kobiety menstruujące, ciężarne lub starcy. Obecnie ten typ heterotopii zanika, choć jego ślady możemy odnaleźć we współczesnym społeczeństwie m.in. w obowiązkowej służbie wojskowej. Heterotopie kryzysu są, jako forma zanikająca, zastępowane w dzisiejszych czasach przez heterotopie dewiacji, których przykładem mogą być sanatoria, szpitale psychiatryczne i więzienia. W tych miejscach bowiem umieszcza się „jednostki, których zachowanie uznaje się za dewiacyjne w odniesieniu do średniej albo wymaganej normy”⁷⁴. Innymi słowy, tam właśnie społeczeństwo odsyła wszystkich tych, którzy nie potrafią lub też nie chcą przestrzegać społecznie przyjętych norm i łamią „święte” dla ogółu reguły życia w „normalności”. Za najważniejsze dla moich dalszych rozważań uważam stwierdzenie Foucaulta, że istnieją również heterotopie znajdujące się na pograniczu między tymi dwoma typami, takie jak dom starców. Jak wyjaśnia Foucault, „wiek starczy stanowi mimo wszystko kryzys, ale także dewiację, gdyż w naszym społeczeństwie, gdzie regułą są czas wolny i rozrywka, bezczynność stanowi rodzaj dewiacji”⁷⁵.

Właśnie do tego typu pogranicznego chciałabym zaliczyć badaną przeze mnie ulicę [REDACTED]. Życie w ubóstwie, pijaństwie i na marginesie społecznym jest bowiem jednocześnie kryzysem i dewiacją. Z jednej strony, ludzie pijani byli dawniej (w tradycyjnej kulturze wsi polskiej) postrzegani jako jednostki niezwykle, mogące w swoim pijackim bełkocie objawić jakieś ukryte prawdy. Pisze o tym Roch Sulima przy okazji analizy znaczenia alkoholowych libacji :

72 Tamże.

73 M. Foucault, dz.c., s. 10.

74 Tamże.

75 Tamże.

Zgodnie z odwiecznymi przekonaniem, ludzie doświadczający tych aktów, to wybrańcy obcujący z „prawdą”. Kryterium prawdopodobieństwa takiej interpretacji zawierają społeczne przekazy „o pijakach”, „o pijaństwie” itp. Wystarczy przywołać, najzupełniej przykładowo, formuły powszechnie znane: „Pijak pije, pijak ma, pijakowi Pan Bóg da”; „Człowiek podpiły, Panu Bogu miły”; „Aniołowie pijanych na swych rękach noszą”⁷⁶.

Stan osoby upojonej alkoholem przyrównać można do stanu, w którym w kulturach „prymitywnych” znajdowały się kobiety podczas menstruacji lub młodzi ludzie przechodzący poprzez inicjację do świata dorosłych. Jest to stan bycia gdzieś pomiędzy, zawieszenia między tym, co było, a tym, co dopiero będzie, zatrzymanie się choć na chwilę na życiu w terażniejszości. Z drugiej strony, ciągle znajdowanie się w tym nie-zwyczajnym stanie i życie na krawędzi realnego świata to stan permanentnego kryzysu. O ile jednak przejściowa sytuacja kryzysowa może zostać zaakceptowana, o tyle społeczeństwo nie wybaczy jej notorycznego trwania, sytuując ją tym samym jako dewiację. Zatem ci, którzy liczebnie wiodą prym wśród mieszkańców ulicy [REDAKTOR], ci, którzy są głównymi bohaterami moich reportaży, uznawani są przez „normalną” część społeczeństwa za dewiantów. W zasadzie wszystko, co ich dotyczy, uważane jest za przejaw pewnej dewiacji – ich codzienne zajęcia, fizyczny wygląd tak daleki od pożądanego, ich zminimalizowane potrzeby i oczekiwania. Ubóstwo, brak pracy i pieniędzy, a w związku z tym także brak możliwości korzystania z uciech i rozrywek, jakie przygotowuje dla swoich wyznawców kultura konsumpcyjna – wszystko to może oznaczać tylko jedno: dewiację. Dewianci bowiem nie przestrzegają ani ustalonego przez ogół porządku, ani tym bardziej społecznych norm, z których najważniejszą jest bycie aktywnym konsumentem.

Heterotopia kryzysu jest miejscem przejściowym, co podkreśla zarówno Mendel, jak i Karpińska, miejscem, z którego po przejściu kryzysu można wyjść i wrócić do reszty społeczeństwa. Na wyjście i powrót nie można natomiast liczyć, znajdując się w heterotopii dewiacji. Co więcej, heterotopia ta „rozciąga się na inne miejsca wraz z przemieszczaniem się zakotwiczonych w niej osób”⁷⁷, a więc bycie dewiantem jest stałym przypisaniem i nie zmienia się wraz z oddaleniem z miejsca heterotopicznego. Przekładając tę cechę na świat ulicy [REDAKTOR], można powiedzieć krótko: lumpem jest się zawsze, czy to na własnej ulicy, czy w tramwaju, czy w parku, od bycia lumpem nie można uciec, podobnie jak zawsze jest się Żydem lub artystą.

Druga zasada opisu heterotopologicznego dotyczy tego, że każda heterotopia ma „konkretną i zdeterminowaną funkcję w obrębie społeczeństwa”, a jednocześnie wraz

⁷⁶ R. Sulima, *Antropologia codzienności*, Kraków 2000, s. 99.

⁷⁷ G.E. Karpińska, *Lato w getcie...*, s. 77.

z rozwojem historycznym tego społeczeństwa i „ze względu na synchroniczność kultury”⁷⁸, jej sposób funkcjonowania może ulegać zmianie. Dla objaśnienia tego rodzaju heterotopii posługuje się Foucault przykładem cmentarza, miejsca tak różnego od wszystkich innych przestrzeni kulturowych. Cmentarz był w zachodniej kulturze obecny niemal od zawsze, jednak dokonała się istotna zmiana w jego lokowaniu. Do końca XVIII wieku cmentarze sytuowane były w centrum miasta, a wraz z początkiem wieku XIX – z powodu rozpowszechnienia idei cmentarza jako miejsca skażonego – zaczęto przenosić je na obrzeża miast.

Zastanówmy się zatem, czy i tę regułę heterotopologii można w jakiś sposób odnieść do łódzkiej heterotopii. Proponuję prześledzić w dużym skrócie historię ulicy [REDACTED], by zrozumieć, jak mimo pozornych zmian, powróciła choć częściowo do pierwotnej funkcji⁷⁹. Uliczka ta powstała około 18 [REDACTED] roku, kiedy to [REDACTED]. Kwadratowy kontur tej osady wyznaczały cztery ulice – [REDACTED]. Do czasu II wojny światowej [REDACTED] zamieszkała była w większości przez Żydów, którzy zabudowali jej [REDACTED] część czynszowymi kamienicami z frontonami bogato zdobionymi sztukaterią. Wraz z otwieraniem się kolejnych żydowskich sklepików i warsztatów ulica ta stała się centrum rzemieślniczym, w którym swoimi umiejętnościami służyli mistrzowie krawiectwa, kaletnictwa, kuśnierstwa. Z kolei jej północną, nieistniejącą już część (nazywaną nieformalnie [REDACTED]), która prowadziła od [REDACTED], zajmowały jatki z koszernym mięsem i targ [REDACTED]. Spróbujmy więc wyobrazić sobie klimat tej ulicy z przedwojennych lat, klimat, w którym ważną rolę odgrywał drobny handel. Ulicę zapewne już od wczesnych godzin porannych wypełniał gwar budzącego się miasta, gwar jidysz splatającego się z językiem polskim, gwar omawiających swoje interesy Żydów, których grupki zbierały się na rogach i pod bramami, gwar Żydów chodzących na modlitwy do jednej z licznych synagog. Słowem, na [REDACTED] za sprawą ludności żydowskiej tętniło życie⁸⁰. I było tak aż do początku 1940 roku, do czasu utworzenia przez Niemców getta na obszarze najbiedniejszych i najgęściej zaludnionych przez Żydów dzielnic Łodzi. Na terenie Getta Litzmannstadt [REDACTED], [REDACTED]. Historii getta, mimo że

78 M. Foucault, dz.c., s. 10.

79 Pisząc poniższy rys historyczny, korzystałam przede wszystkim z Wikipedii

(zob. [REDACTED] podają za [REDACTED]).

80 Jak podaje Karpińska, Łódź po przyłączeniu do Rzeszy stała się miastem o największej liczbie Żydów od Alzacji i Lotaryngii po granice Generalnego Gubernatorstwa. Dlatego też została wyznaczona na miejsce „ostatecznego rozwiązania” kwestii żydowskiej. Zob. G.E. Karpińska, dz.c., s.80.

niezwykle interesującej, nie zamierzam w tej pracy opisywać. Istotny jest dla mnie w zasadzie jeden fakt – większość Żydów trafiła wówczas do łódzkiego getta, a stamtąd do obozu koncentracyjnego. Wraz z ich odejściem dawne żydowskie dzielnice, a także ulica [REDACTED], straciły swój dawny charakter i funkcje. I o ile klimat tej dawnej [REDACTED] żydowskiej nie jest możliwy do odzyskania, o tyle udało się zachować czy może raczej powrócić do jej dawnych funkcji handlowych. Jak wspomina [REDACTED] (mieszkający na [REDACTED] od 19[REDACTED] roku):

[...] [REDACTED] była długo ulicą samowystarczalną, nie trzeba było wychodzić poza nią, by zdobyć wszystko, co potrzebne do życia. [...] I do tego wszystko było w dużej mierze prywatne, zakłady krawieckie, szewskie, prywatne magle, warzywniaki. Bardzo dużo tak zwanej prywatnej inicjatywy i to było o tyle dobre, że wytwarzało to specyficzną aurę ulicy, że wszyscy się znali: z magła, ze sklepu, od szewca. To wytwarzało pewną nić braterstwa. Tu trochę wiejskim zwyczajem było naturalne wysiadywanie przed domem, dzisiaj dominuje wystawanie, kiedyś wysiadywanie⁸¹.

I właściwie do dzisiaj [REDACTED] jawi się jako ulica pełna małych sklepików, butików i rzemieślniczych warsztatów, choć rzemiosło wypierają ostatnio wszechobecne lumpeksy, w których o wiele taniej można kupić „nowe” ubrania, buty i torby niż naprawić te „stare” u krawca, szewca lub kaletnika. Nastąpiło zatem coś, co można by ująć jako odwrotność sytuacji, o której pisze Foucault – funkcja ulicy tętniącej życiem handlowym pozostała ta sama, choć rozwój historycznych wydarzeń, w wyniku których zabrakło ludzi kreujących tę funkcję, wskazywałby raczej na zupełną jej zmianę. Tyle że przed wojną to Żydzi swoim byciem, rozmowami, spacerami, staniem w bramach tworzyli gwar i klimat ulicy [REDACTED], a teraz ich rolę przejęli okoliczni pijaczkowie, którzy co dnia stoją w bramach i przy skrzyżowaniach, omawiając codzienne sprawy i swoje, już nie drobne, lecz raczej bardzo drobne, interesy, również te szemrane.

Pozostaje jeszcze tylko zastanowić się nad przyszłym losem ulicy [REDACTED] i całej reszty zaniedbanego śródmieścia. Łódź należy bowiem do grona tych nietypowych już w skali europejskiej miast, których centrum zamiast prezentować przepiękną, odnowioną architekturę, napawa przygnębieniem swoich mieszkańców oraz skutecznie odstrasza ewentualnych turystów i inwestorów. Jeżeli jednak kiedyś powiodłaby się rewitalizacja ulicy [REDACTED], to pojawi się bez wątpienia problem, co zrobić z tymi, którzy stanowią dziś najliczniejszą grupę jej

81 [REDACTED]

mieszkańców. Ludzie ubodzy, ludzie-odpady, lumpy i kryminaliści – wszyscy oni nie będą pożądanymi w świeżo wykreowanym i uporządkowanym świecie. Trzeba więc będzie pozbyć się tych „jedynych skaz na eleganckim, pogodnym krajobrazie”⁸². Być może zatem historia zatoczy koło i tak jak w czasie wojny uosabiający „Innych” Żydzi zostali zamknięci w Getcie Litzmannstadt, tak teraz wszyscy ci żyjący na marginesie „normalności” trafią do społecznych gett, zbudowanych od podstaw specjalnie dla nich gdzieś na obrzeżach Łodzi. O tego rodzaju miejscach zwanych za Loikiem Wacquantem „hipergettami”, Bauman pisze, że [...] są sztucznymi i rażąco niekompletnymi zbiorowościami odrzuconych; zbiorowościami, a nie społecznościami; topograficznym zagęszczeniem niezdolnych do samodzielnego przetrwania⁸³.

Dziś jednak trudno wyobrazić sobie nowy wizerunek ulicy [REDAKTOWANE] który oznaczałby również zmianę jej funkcji. Zwłaszcza że „oczyszczenie” [REDAKTOWANE] byłoby jednoznaczne z końcem jej heterotopicznego charakteru.

Trzecia zasada heterotopologii mówi, że „heterotopia jest zdolna zestawiać ze sobą w pojedynczym rzeczywistym miejscu różne przestrzenie, różne rodzaje umiejscowienia, których normalnie nie daje się pogodzić”⁸⁴. Takim miejscem, w którym z pozoru niekompatybilne ze sobą przestrzenie przenikają się, tworząc swoistą całość, może być, według Foucaulta, teatr, gdzie na scenie pojawiają się kolejne scenografie odwołujące się do miejsc niezwykle różnych. Ich sprzeczność wynika choćby z tego, że poszczególne sceny mogą rozgrywać się w zupełnie różnych zakątkach świata, o różnych porach dnia, roku i przy innym wystroju wnętrza. Jeszcze bardziej „heterotopiczne” zdaje się więc być kino, w którym dochodzi do kilkupoziomowego pomieszczenia przestrzeni – sala kinowa jest sama w sobie prostokątnym pomieszczeniem, ale zakończonym z jednej strony dwuwymiarowym ekranem, na którym widz ogląda świat trój-, a niekiedy również czterowymiarowy. Jednak jako najstarszy przykład tego typu heterotopii podaje Foucault ogród, będący swego rodzaju mikrokosmosem tworzonym na podobieństwo świata, w którym wyraźne granice wyznaczają świętą przestrzeń z centralnie położonym źródłem życia.

Ulica [REDAKTOWANE] jako pewna całość rzeczywiście zgromadziła w sobie miejsca dziwne, niewspółgrające ze sobą, należące z pozoru do różnych światów, choć razem tworzą one właśnie specyfikę tej ulicy. Widoczne jest to tym bardziej, że [REDAKTOWANE] to ulica dosyć krótka, obecnie

[REDAKTOWANE]

Mamy więc na [REDAKTOWANE] ogromną wprost ilość sklepów z używaną odzieżą, z którymi przez długi czas sąsiadowało kilka sklepów z drogimi sukniami ślubnymi.

82 Z. Bauman, *Życie na...*, s. 51.

83 Tegoż, *Płynne czasy...*, s. 67.

84 M. Foucault, dz.c., s. 11.

Interesującym połączeniem było także do niedawna bliskie sąsiedztwo sklepu [REDAKTOWANE]. Prowadząca ją w ostatnich latach ([REDAKTOWANE] roku jako kelnerka) [REDAKTOWANE], zwana przez stałych bywalców [REDAKTOWANE], osobiście serwowała gościom [REDAKTOWANE]. W czasach PRL-u stołował się [REDAKTOWANE] cały przekrój społeczeństwa – począwszy od artystów i aktorów poprzez lekarzy, dziennikarzy, urzędników i studentów, a na robotnikach kończąc. I choć lata, gdy dziennie „wychodziło” z kuchni nawet kilkaset [REDAKTOWANE] minęły bezpowrotnie, to [REDAKTOWANE] długo udawało się zachować ten charakterystyczny klimat dawnych lokali, w których kelnerki znały swoich klientów i bez obecnego dziś trendu sztucznej uprzejmości nie obawiały się z nimi spoufalać. Mogliśmy więc spodziewać się, że pani [REDAKTOWANE] przysiądzie się do naszego stolika, a nawet wybierze za nas najlepsze danie, zamykając nam przed nosem menu. Mimo iż dzisiaj ta kultowa knajpa już nie istnieje (zamknięta w 20 [REDAKTOWANE] roku), to jednak dla mnie stanowi żywy element tej [REDAKTOWANE], którą opisuję, [REDAKTOWANE] sprzed kilku lat, kiedy to bywałam u mojego taty. W ostatnich latach istnienia [REDAKTOWANE] jej najbliższym sąsiadem był sklep [REDAKTOWANE], którego obecna właścicielka, [REDAKTOWANE], lubiła podkreślać to dziwne sąsiedztwo: „Gdy zapraszam do mojego sklepu, chętnie mówię, że znajduje się koło legendarnego [REDAKTOWANE]. Sklep [REDAKTOWANE] koło [REDAKTOWANE] brzmi ładnie i nieco przekornie. Tak jak nieco przekorna jest [REDAKTOWANE]...”⁸⁵.

Kolejne dziwne zestawienie na [REDAKTOWANE] to przemieszanie kultury lumpiarskiej uważanej powszechnie za stojącą poniżej przyjętych norm z tak zwaną kulturą wyższą, elitarną, która ma na tej ulicy kilku mocnych reprezentantów. Od lat istnieje bowiem [REDAKTOWANE] będąca jednocześnie mieszkaniem, galerią i miejscem spotkań towarzyskich łódzkiego środowiska artystycznego. Jak piszą [REDAKTOWANE]

85 [REDAKTOWANE]

86 Zob. [REDAKTOWANE]



Poruszając kwestię miejsc na ulicy [redacted] tętniących tak zwaną kulturą elitarną, chciałabym wspomnieć także o [redacted] jego sławnym zwłaszcza w czasach PRL-u





Świat moich ludzi ze [REDACTED], świat mojego taty i jego współmieszkańców, a więc świat wszystkich tych ludzi, którzy z różnych przyczyn znaleźli się gdzieś na samym dole społecznej drabiny czy też na marginesie „normalności”, powinien zatem stanowić sprzeczność nie dającą się pogodzić z tymi miejscami tętnącymi kulturą i sztuką, stawianymi powszechnie powyżej „normalnego” życia. W heterotopii jednak kontrast jest pożądany i umożliwia współgranie sprzeczności. Kultura ludzi z marginesu koresponduje tutaj z kulturą wysoką, przenikają się one i dopiero we wzajemnej relacji tworzą specyficzny klimat i niszę wydrążoną w dominującej kulturze konsumpcyjnej.

Jeszcze innym przykładem zmiksowania różnych światów jest odcinek ulicy [REDACTED]. Tam właśnie pomiędzy całodobowym sklepem, w którym kupuje się głównie artykuły pierwszej pomocy, czyli papierosy, piwo, ewentualnie chleb, a bramą, gdzie jest aż kilka melin (w jednej sprzedaje się spirytus, w drugiej skręcane domowym sposobem papierosy) mieści się malutka zielarnia. Powierzchniowo niepozorna, lecz bardzo dobrze zaopatrzona. Taka prozdrowotna kropla w morzu używek, royału i papierosowego dymu.

Czwarta zasada wiąże heterotopie z wycinkami czasu czyli z czymś, co Foucault określa jako heterochronie, gdyż, jak zauważa, „dla pełnego funkcjonowania heterotopii konieczne jest absolutne zerwanie z tradycyjnym czasem ludzi”⁹⁰. Otwieranie się heterotopii na niecodzienne formy czasu może się objawiać na dwa sposoby. Istnieją więc heterotopie nieskończonego akumulowania czasu oraz heterotopie „związane z czasem w jego najbardziej powierzchownej, przejściowej i nietrwałej postaci”⁹¹ właściwej dla świąt i karnawału. Przykładem tych pierwszych są muzea i biblioteki, w których czas wciąż się nagromadza poprzez kumulowanie w jednym miejscu eksponatów z wszystkich epok i stylów oraz próbę uchronienia ich przed

89 Zob. <http://www.bialekawrony.org/page.php?cms=2>.

90 M. Foucault, dz.c., s. 11.

91 Tamże, s.12.

spustoszeniami upływającego czasu. Ten drugi rodzaj heterotopii reprezentują zaś u Foucaulta jarmarki i wakacyjne miejscowości wypoczynkowe, które „nie są zorientowane na wieczność”, lecz wręcz przeciwnie – na „absolutną czasowość”. Miejsca przeznaczone na jarmarki to zazwyczaj puste pola gdzieś na obrzeżach obszaru miasta lub miejskiej dzielnicy, które jedynie parę razy w roku zapełniają się na chwilę mnóstwem dziwnych ludzi, przedmiotów i namiotowych stoisk. Z kolei miejscowości, które w sezonie wakacyjnym oferują siebie turystom, uznaje Foucault za formę nie tylko heterotopii karnawału, ale także heterotopii czasu akumulującego się, gdyż proponując swoją kulturę i doświadczenie, porzucają tradycyjny czas i podają go – odkryty na nowo – w skumulowanej formie.

Ulica [REDAKTOWANE] wraz z wszechobecną tam kulturą lumpiarską emanuje specyficznym podejściem do kwestii czasu. Z pewnością ludzie ze świata mojego taty żyli (i żyją) poza tradycyjnym czasem ogółu społeczeństwa. Niekiedy odnosiłam wręcz wrażenie, że w ogóle funkcjonowali poza czasem, tym odmierzanym i wskazywanym przez zegary i kalendarze, poza czasem, o którym informują nas na bieżąco wiadomości radiowe i telewizyjne oraz wyświetlacze naszych telefonów komórkowych. Podobne spostrzeżenie czyni Mendel, pisząc o heterotopii ludzi bezdomnych:

W swoim miejscu na marginesie, abstrahują głównie od jego mierzalnego wymiaru, który unifikuje, ale raczej nie uwspólnia ludzi w grupującej ich nie wspólnocie, lecz dyscyplinie, panującej w świecie podporządkowanym rytmowi kalendarza i zegara, miesiący, dni, godzin, ostatnio [...] – jakby w wyrazie potęgującego się szaleństwa racjonalności i apoteozie pomiaru – ułamków sekund, które mają odmierzać nasze „bycie-w-świecie”⁹².

Refleksja ta mogłaby równie dobrze dotyczyć tych wszystkich ubogich i pijących ludzi ze [REDAKTOWANE], których życie zdaje się być czymś trwającym wbrew rozwijającej się racjonalizacji i modernizacji świata. Wielokrotnie podczas moich bywań na [REDAKTOWANE] doświadczałam pozaczasowości życia taty i jego towarzyszy. Przejawiało się to choćby w używaniu nieistniejących nazw ulic oraz operowaniu w rozmowach nominalami pieniędzy sprzed denominacji. Tata zatem zawsze znajdował tysiące, a z opieki dostawał miliony. Tysiące też wydawał. Trudno więc było się w czasie takich rozmów zorientować, o jakich realnych kwotach on mówi. W gruncie rzeczy i tacie, i jego współmieszkańcom było to zupełnie obojętne, gdyż i tak najczęściej mieli w kieszeni parę, dosłownie parę groszy. W stylu życia, jaki prowadzili,

92 M. Mendel, dz.c., s. 79.

chodziło prawie zawsze o grosze. Ile groszy kosztuje puszka na złomie. Ile groszy dostanie za ten kawałek miedzianego kabla. Ile groszy brakuje jeszcze do ćwiartki. Grosze były walutą rzeczywistą, którą każdy z nich nawet przy niewielkim wysiłku mógł każdego dnia posiadać. Złotówki też się jeszcze zaliczały do świata pieniędzy przystępnych. A zatem grosze i złotówki miały swoją współczesną nazwę. Natomiast wszystko powyżej dziesięciu złotych było już drogie, najczęściej zbyt drogie, by stać się przedmiotem osiągalnym. Dlatego mogło zostać określone nazwą z przeszłości. Nowe sto czy dwieście złotych, a stare tysiące lub miliony przedstawiały tak samą odległą krainę. Oto wzięta z życia historia o wartości drobiazków: Pewnego razu moja mama przyniosła tacie i Jackowi paczkę czarnej herbaty. Sto sztuk torebek w środku, a więc niemało, a koszt również nieduży, bo jedynie kilka złotych. Jackowi jednak cena herbaty, gdy o nią zapytał, wydała się strasznie wysoka. Przecież gdzieś w którymś sklepie na Legionów jest dwadzieścia groszy tańsza. Mama aż się zaśmiała, gdyż nikt by jej nie nakłonił, by iść tak daleko po tę tańszą wersję czarnej herbaty paczkowanej po sto sztuk. Jacek z pewnością by poszedł.

Podobnie wyglądała kwestia nazywania ulic podczas rozmów w mieszkaniu u taty. Dużo łatwiej przychodziło im używanie tych poprzednich nazw, sprzed zmiany związanej z upadkiem ustroju komunistycznego. Gdy w czasie odwiedzin u taty powiedziałam, że na Kamińskiego jest duża lodówka do wzięcia na złom, to czterech z pięciu siedzących na kanapie mężczyzn miało zdziwione miny, jakby pierwszy raz o takiej ulicy słyszeli. Tylko jeden znał tę nazwę i wytłumaczył pozostałym: „Na Buczka”. „Aaa, na Buczka” – i dopiero wtedy sprawa się wyjaśniła. Te sytuacje uświadamiały mi, że oni żyli w jakimś innym czasie. Z jednej strony tkwili bardzo mocno uziemieni w trudnej do ogarnięcia teraźniejszości, w której każdy dzień był podobny do poprzedniego i wciąż trzeba było starać się go jakoś wypełnić oraz zdobyć to, co niezbędne do przeżycia. Ta teraźniejszość działała się jednak już w kulturze konsumpcyjnej, dla nich nie oznaczającej nic dobrego, i to nie teraźniejszość była barwna, to nie ona sprawiała, że mieli lepsze samopoczucie i więcej możliwości. Przyszłość też nie niosła ze sobą wielkich nadziei, przyszłości w świecie taty raczej się nie planowało, a jeśli już – to tylko tę najbliższą. Z drugiej więc strony mimo ciągłego życia chwilą wydawali się być ludźmi z przeszłości. Nie tylko dlatego, że w obecnym świecie nie ma dla takich jak oni zbyt wiele miejsca, ale też dlatego, że to właśnie przeszłość jawiła im się jako wspaniała księga, w której opisane zostały lata dzieciństwa, niekiedy bardzo beztroskiego, czasy spędzone w szkołach, pierwsze przyjaźnie i pierwsze randki, poznanie przyszłej żony, słowem wszystkie te opowieści, które wraz z upływem lat zdawały się wcale nie tracić na kolorze.

Jak już wspomniałam, świat mojego taty nie podporządkował się dyscyplinie wyznaczonej przez rytm zegarów i kalendarzy. Heterotopia lubi jednak objawiać się poprzez różnego rodzaju dysonanse z pozoru burzące harmonię miejsca. I choć tata rzeczywiście żył jakby obok godzin, dni i miesięcy, to jednak lubił gromadzić przedmioty, będące żywymi symbolami czasu „normalności”. W jego drugim mieszkaniu, tym jednoizbowym, najczęściej powtarzającym się elementem wystroju były właśnie kalendarze i zegary, wyszukane zapewne na klejbie. Estetyka kalendarzy bywała bardzo różna, niejednokrotnie ocierała się o kicz. Zdarzało się, że na jednej ścianie wisiał kalendarz z reprodukcjami van Gogha, przeciwną natomiast ozdabiała uśmiechnięte i skąpo ubrane dziewczyny w kalendarzu zatytułowanym *Kociaki*. Najważniejsza funkcja tych przedmiotów, czyli obrazowanie dni w miesiącu, była przez tatę zupełnie ignorowana, gdyż kalendarze, jak można się domyślić, nie były aktualne. Z kolei wśród zegarów dominowały ściennie, choć w szufladach można też było znaleźć małe, plastikowe budziki. Te na ścianach były największą bolączką taty, bo wskazywały zazwyczaj niewłaściwą godzinę. Baterie z klejby nie działały wcale albo jedynie słabo, więc wskazówki stały w miejscu lub też nie nadążały za „prawdziwym” czasem. Mimo to tata nie rezygnował z tych opóźniaczy i co jakiś czas wiernie nastawiał je od nowa. Bywając u niego, nie jeden raz zdarzyło mi się spytać o godzinę przy odruchowym spojrzeniu na któryś z zegarów. „Ach, ten to ostatnio spóźnia się, chyba trzeba wymienić baterie”. Zawsze mogłam usłyszeć podobne stwierdzenie, jak gdyby było to coś najbardziej oczywistego, że zegary też mają prawo się spóźniać. Tata okazywał wszystkim swoim zegarom dużą wyrozumiałość, ale jeden był mu szczególnie bliski. Stary rolex na rękę z metalowym paskiem. Dostał go kiedyś od przyjaciela ze starych czasów, z czasów, gdy należał jeszcze do tak zwanej normalnej części społeczeństwa. Ale w tym czasie, gdy przyjaciel podarował mu rolexa, tata żył już częściowo poza „normalnością”. Początkowo zegarek towarzyszył mu cały czas na przegubie dłoni. Tata, zazwyczaj tak zupełnie obojętny na drogie przedmioty, ten sam tata, który zawsze cenił sobie proste życie, najlepiej blisko natury, tata, który kochał las, namioty, góry, rzeki, a unikał pozornych oznak lepszego życia, ten właśnie tata dał się uwieść magii rolexa. Wyraźnie lubił sprawdzać na nim czas i zawsze chętnie to robił, jeśli rozmowa szła w kierunku pytania o godzinę. I choć z czasem metalowy pasek zaczął odpinać się bez wiedzy właściciela, to jednak tacie nie zdarzyło się zgubić ulubionego zegarka. Później rolex został przeniesiony do kieszeni, gdzie w dalszym ciągu wiernie mu towarzyszył. Jednak niezależnie od tego, czy na ręku, czy w kieszeni, czy w mieszkaniu na półce, zegarek ten w połączeniu z tatą stanowił owo dziwaczne zestawienie tak typowe dla heterotopii. Wszystko to, co kojarzyć się może z zegarkiem tej marki, w żaden sposób nie kojarzy się ze światem taty.

Szwajcaria, prestiż, precyzja występują w tej heterotopii jako kontrast i jednocześnie uzupełnienie ulicy [REDACTED], jej biedy, poniżenia i chaosu.

Zastanówmy się jeszcze nad czasem życia ludzi z [REDACTED] w nawiązaniu do rozróżnienia, jakiego dokonał Foucault, pisząc o związku heterotopii i heterochronii. Z całą pewnością mogę stwierdzić, że czas typowy dla większości społeczeństwa nie dotyczył opisywanych przeze mnie ludzi wykluczonych – ubogich, meneli, zbieraczy złomu – żyjących na [REDACTED] i w jej okolicy. Nie docierały bowiem do nich raczej żadne naciski społeczne sugerujące, jak powinno się spędzać czas. Mam tu na myśli zarówno spędzanie codziennego czasu związanego z pracą (choć moi ludzie ze [REDACTED] nie pracowali w sposób typowy, to jednak zdobywali jedzenie i inne środki potrzebne im do codziennego życia), jak i czasu wolnego. Nie ograniczały ich z reguły żadne normy czasowe wynikające chociażby z pracy. Pracowali bowiem sami w ustalonym przez siebie czasie. Można więc z jednej strony odnieść wrażenie, że przynależeli raczej do czasu świętowania, zwłaszcza wówczas, gdy w czasie alkoholowych ciągów przestawali istnieć dla świata zewnętrznego i zamknięci sami przez siebie w mieszkaniu, pogrążali się w coraz większym każdego dnia chaosie. Lecz z drugiej strony ten brak ograniczeń czasowych przejawiający się na przykład w ciągłym staniu w bramach czy przed kamienicami stwarza przy bliższej obserwacji wrażenie skumulowania, wiecznego oczekiwania na coś bliżej nieokreślonego, być może na jakąś lepszą przyszłość, która zazwyczaj nie następuje. Choć niekiedy to stanie i czekanie przynosiło jakąś drobną zmianę. Ulicą przeszedł kolega i poczęstował fajką albo nieznajomy, lecz miły człowiek nie odmówił złotówki. Jednak te zdarzenia to tylko chwile przecinające długie okresy kumulującego się wystawiania przy bramach, wysiadywania na murkach i wyczekiwania na następny moment zawieszenia nieodwołalnej wieczności. Ten specyficzny sposób postrzegania i traktowania czasu przez przedstawicieli kultury lumpiarskiej skłania mnie, by przyporządkować świat ze [REDACTED] do mieszanego typu heterotopii, w którym łączą się dwie pozornie przeciwstawne tendencje: akumulowania czasu oraz chwytania czasu w jego najbardziej chwilowym przejawie.

Piąta zasada odwołuje się do kwestii przepuszczalności granic owych miejsc zwanych heterotopiami. Jak pisze Foucault, „heterotopie opierają się zawsze na systemie otwartości i zamknięcia, który jednocześnie je izoluje i czyni je dostępnymi”⁹³. Miejsca te są więc trudniej dostępne niż przestrzeń publiczna. Wejście do heterotopii odbywa się albo na drodze przymusu, jak w przypadku koszar lub więzienia, albo też osoba wchodząca musi poddać się określonym procedurom obrzędowym i oczyszczającym lub posiadać zezwolenie. Niektóre spośród tych heterotopii służą wyłącznie praktykom oczyszczania, na przykład tureckie łaźnie *hammam* albo

93 M. Foucault, dz.c., s. 12.

skandynawskie sauny. Istnieją również takie heterotopie, które sprawiają wrażenie otwartych, choć w rzeczywistości wejście do nich jest złudzeniem, gdyż samo przekroczenie ich granic wyklucza nas stamtąd w pewien osobliwy sposób. Jako przykład Foucault podaje południowoamerykańskie „sypialnie”, do których przez drzwi wejściowe mógł wejść każdy podróżnik, nie mając jednocześnie dostępu do prawdziwej części domu.

Spróbujmy teraz odnieść tę zasadę do świata [REDAKTOWANE]. Już sama ta ulica dla wielu ludzi, zwłaszcza tych mieszkających na obrzeżach Łodzi lub w podlódzkich miejscowościach, kojarzy się dosyć jednoznacznie jako miejsce skrajnie niebezpieczne, gdzie tylko piją, biją i mordują. Gdy ludzie w ten sposób myślący znajdą się w centrum Łodzi, to na pewno dobrowolnie tamtędy nie przejdą. Zwłaszcza, że „wiedzą” przecież, kto na [REDAKTOWANE] mieszka. Wyobrażenie miejsca łączy się bowiem z tworzeniem obrazu zamieszkujących je ludzi. [REDAKTOWANE] kreowana w „świadomości mitycznej” jawi się wyłącznie jednoaspektowo – to ulica społecznych wyrzutków, wyplutych przez świat „normalności” reprezentowany przez pobliską ulicę Piotrkowską i Manufakturę, wyrzutków, które „ani nie pasują, ani nie dają się dopasować do zaprojektowanej formy”, które „brukają jej czystość, pozbawiając ją w efekcie przejrzystości”⁹⁴. Nikt z tych tworzących w swoich głowach wizje [REDAKTOWANE] wykluczonej nie byłby raczej w stanie wymienić żadnego miejsca „alternatywnego”, jak na przykład: [REDAKTOWANE]. Są natomiast w stanie zgodnie twierdzić, że [REDAKTOWANE] to ulica zbyt brudna i zbyt niepewna, by porządni obywatele mogli się na niej pojawiać. Towarzyszącą [REDAKTOWANE] od lat złą famę podtrzymują swoiste miejscowe legendy. Jaskuła przytacza historię swojego sąsiada, który został w czasie jazdy tramwajem bez biletu złapany przez „kanara”. Gdy ten jednak przeczytał w dokumencie „adres zamieszkania: [REDAKTOWANE]”, to od razu podał dokument z powrotem właścicielowi, mówiąc „dziękuję”. [REDAKTOWANE] wydaje się być zatem takim miejscem heterotopycznym, do którego wejście byłoby dla ludzi spoza niej przymusem porównywalnym z pójściem do więzienia, mimo niepopelnienia żadnych zasługujących na tę karę wykroczeń przeciw prawu. I choć [REDAKTOWANE] nie jest otoczona realnym murem i zasiekami, to jednak dla wielu stanowi na podobieństwo społecznego getta przestrzeń dobrowolnie nieprzekraczalną przez ludzi z zewnątrz.

Jednak omawianą przez Foucaulta zasadę otwartości i zamknięcia heterotopii oddaje najlepiej nie ulica [REDAKTOWANE] jako całość, lecz poszczególne jej elementy, na przykład mieszkania, aczkolwiek widziane dopiero z bliska. Ta zasada przywodzi mi w szczególności na myśl mieszkanie pani [REDAKTOWANE], starszej kobiety handlującej royalem. Miejsce to mogłabym nazwać meliną, nawiązując do jednego z kilku znaczeń tego słowa. „Melina” może

94 Z. Bauman, *Życie na...*, s. 51.

oznaczać miejsce ukrywania się przestępców, albo miejsce, w którym odbywają się pijackie libacje, albo też miejsce nielegalnej sprzedaży alkoholu. I choć to ostatnie znaczenie odpowiada funkcji mieszkania pani [REDACTED] to jednak postaram się uniknąć używania tego słowa, gdyż – po pierwsze – niesie ono ze sobą dosyć negatywne skojarzenia, które zupełnie nie pasują do opisywanego miejsca, a – po drugie – tata również nigdy nie stosował tego słowa w odniesieniu do mieszkania pani [REDACTED]. Gdy szedł kupować wódkę i papierosy gdzieś indziej, to i owszem mówił, że idzie na melinę, ale gdy szedł kupować do pani [REDACTED], to mówił po prostu, że idzie do [REDACTED]. Słowo „melina” z powodu jego różnych znaczeń, które jednak ludzie często ze sobą łączą, przywołuje wizję miejsca straszego, w którym spodziewamy się zastać chaos, brud i moralne rozpasanie. Wystarczy jednak uprzytomnić sobie, że te różne znaczenia, z pozoru podobne, bo odwołujące się do świata marginesu społecznego, nie mogą funkcjonować jednocześnie. Ludzie uzależnieni od alkoholu, lubiący spotykać się w większym gronie i pić do upadłego, nie byłiby w stanie handlować royalem, a co najwyżej – bardzo krótko. Z kolei kryminaliści chcący mieć dobrą kryjówkę, w której mogliby trzymać przedmioty pochodzące z kradzieży, też nie byłiby raczej skłonni do sprzedawania dziesiątki razy dziennie „ćwiartek” i „połówek”. Zatem melina jako miejsce handlu nielegalną wódką musi być miejscem dobrze zorganizowanym. Tak właśnie wyglądało mieszkanie pani [REDACTED] w którym rządziła i pilnowała porządku starsza, lecz bardzo żywotna [REDACTED], seniorka rodziny. Royal rozlewała w kuchni, do której wchodziło się zaraz po przekroczeniu progu. W tej samej kuchni szykowała również obiady dla swojej rodziny. Mieszkanie to było (i być może wciąż jeszcze jest) w ciągu dnia zawsze otwarte, lecz komuś nieznanemu pani [REDACTED] nie przyszłoby przecież do głowy, żeby tam iść i po prostu wejść. Gdy wraz z tatą po raz pierwszy poszłam po royal do pani [REDACTED], czułam się niezręcznie, gdyż odniosłam wrażenie, że wkraczamy w prywatną sferę jej rodziny. Naprzeciwko drzwi wejściowych, na końcu długiego korytarza był bowiem pokój, w którym siedziało wówczas na kanapie kilka osób oglądających telewizję. Dopiero później zrozumiałam, że ten nieustający ruch w ich mieszkaniu nie robi na nich żadnego wrażenia. Ludzie przychodzący po ćwiartkę, połówkę czy też kieliszek royalu nie byłiby w stanie wkroczyć w przestrzeń ich intymnego życia, gdyż nie są przez nich w ogóle zauważani. Zatem mieszkanie pani [REDACTED] uosabia opisywany przez Foucaulta rodzaj heterotopii, która jest po prostu otwarta, a jednocześnie osobiwie wykluczająca. Każdy wędrujący do tej starszej kobiety w celu kupienia wódki, a czasem również natychmiastowego jej wypicia, przekracza co prawda bez żadnych kłopotów próg jej drzwi wejściowych i skręca od razu do kuchni, ale nie staje się prawdziwym gościem, gdyż dalsza część jej mieszkania zdaje się być odgradzona niewidzialną zasłoną. Dwa światy połączone osobą pani [REDACTED] mają nie mieć ze sobą zbyt wiele wspólnego. Ani ci przychodzący nie mieszają

się w osobiste życie pani [REDAKTOWANO] i jej rodziny, ani rodzina nie ingeruje w interesy babci, z których jest choć w części utrzymywana finansowo. O ile jednak ludzie kupujący royal są w pewien osobliwy sposób wykluczeni z mieszkania pani [REDAKTOWANO], ale dopiero z tej jego części, która przeznaczona jest na życie rodzinne, o tyle w jeszcze inny sposób wykluczają się samoistnie z tej heterotopii ci, którzy pochodzą z zewnątrz i nie znają świata ulicy [REDAKTOWANO]. Dla wyjaśnienia chciałabym w tym miejscu opisać pewną historyjkę. Otóż po kilku latach od pierwszej wizyty w mieszkaniu pani [REDAKTOWANO], ponownie się tam wybrałam, tym razem jednak już nie z tatą, lecz sama, i nie w celu zakupu wódki, lecz w poszukiwaniu jej byłego zięcia [REDAKTOWANO], który był ostatnim towarzyszem taty mieszkającym z nim aż do dnia, gdy tata odszedł z tego świata. Popełniłam wówczas pewien błąd przy przekraczaniu granicy oddzielającej mieszkanie od reszty kamienicy. Wydawało mi się sprawą oczywistą, że należy pukać do drzwi i czekać, aż ktoś je otworzy. Tak też zrobiłam: pukałam i stałam pod drzwiami w oczekiwaniu na jakiś ruch po drugiej ich stronie. Były to jednak zasady przyniesione z mojego świata, które zupełnie miały się nijak do funkcjonowania tamtego mieszkania, a zatem nie było to standardowe zachowanie, do którego przyzwyczajona byłaby pani [REDAKTOWANO] i jej otoczenie. Pukanie można by jeszcze zaakceptować. Tyle że po zapukaniu należało śmiało wejść i się przywitać, a nie czekać, aż starsza kobieta przyczłapie się z kuchni tylko po to, by pociągnąć w swoją stronę drzwi. Tym samym coś, co mogłoby wydawać się oczywistym zachowaniem, postawiło mnie od razu poza granicami kultury ulicy [REDAKTOWANO], gdyż nie znałam podstawowych zasad tam rządzących.

Kwestia swoistej otwartości mieszkań nie dotyczy zresztą wyłącznie pani [REDAKTOWANO] prowadzącej specyficzną działalność gospodarczą, ale również wielu innych mieszkańców [REDAKTOWANO] i ulic z nią sąsiadujących. W dobie narastania społecznych lęków, gdy ludzie chcą się od siebie odgradzać i nie ufają nawet najbliższym sąsiadom, czymś niezwykłym wydaje się fakt, że ludzie na [REDAKTOWANO] nie zamykają drzwi na klucz. Nie oddzielają oni swoich mieszkań od pozostałych członków kamienicznych wspólnot, nie bojąc się włamań i okazując sobie tym samym pełne zaufanie. Rozważając ten zwyczaj pozostawiania mieszkań otwartych, Jaskuła wspomina:

Wiesz, ja miałem tutaj raz włamanie w latach 70., wkrótce po wprowadzeniu się, bo ktoś z mieszkańców wrócił z więzienia i nie zdążył mnie poznać, choć i tak to było wbrew zasadom. Wystarczyło, że poskarżyłem się tym od alkoholu na dole i po pół godzinie złodziej odniósł wszystko i jeszcze pół litra kupił w geście przeprosin. [...] Takie incydenty mogą się zdarzyć na każdej ulicy, w blokowiskach nawet więcej. Tu mamy

silne mechanizmy obronne, sąsiedzi tworzą rodzaj straży w dużo większym stopniu niż w blokach czy gdzie indziej⁹⁵.

Również w innych fragmentach swojej wypowiedzi Jaskuła zwraca uwagę na czujność sąsiadów pełniących rolę swego rodzaju strażników, i to dbających nie tylko o porządek wewnątrz własnej wspólnoty, ale również o bezpieczeństwo ludzi z zewnątrz, którzy pojawiali się na [REDAKT] w celu zakupu wódki. „Spokój wynikał z zasad handlowych. Tym, co prowadzili ten nielegalny handel alkoholem zależało na spokoju i porządku. Każdy, kto przyjeżdżał tu, musiał bezpiecznie stąd odjechać. Zła opinia szkodziłaby handlowi. W tym sensie była to ulica bardzo bezpieczna”⁹⁶.

Przykłady te dobrze obrazują specyficzny system otwartości i zamknięcia tak charakterystyczny dla heterotopii. Ulica [REDAKT] chętnie otwiera się przed ludźmi nie obawiającymi się bliższych kontaktów ze światem innym od widzianego w reklamach i centrach handlowych. Jednocześnie dzięki swojej złej sławie towarzyszącej jej już od wielu lat skutecznie odstrasza wszystkich tych, którzy zdecydowanie nie pasują do jej klimatu. Można by rzec, że [REDAKT] posiada niezwykle inteligentny system przepuszczalności granic, do tego nie opierający się na technologicznych nowościach, lecz na starych sprawdzonych metodach.

Szosta zasada heterotopologii odnosi się do ostatniej już zdiagnozowanej przez Foucaulta cechy heterotopii – do funkcji, „jaką pełnią one w relacji do wszystkich innych przestrzeni”⁹⁷, funkcji rozciągającej się pomiędzy dwoma skrajnościami. Na jednym biegunie umiejscawia Foucault heterotopie iluzji, które odsłaniają „jeszcze większą iluzoryczność każdej innej rzeczywistej przestrzeni, wszystkich miejsc, na które podzielone jest ludzkie życie”⁹⁸. Foucault uznaje, że taką właśnie rolę pełniły dawniej burdele. Na drugim krańcu znajdują się natomiast heterotopie kompensacji, które tworzą „inną przestrzeń, inną przestrzeń rzeczywistą, równie doskonałą, równie drobiazgową, uporządkowaną w tym stopniu, w jakim nasza jest nieporządna, źle skonstruowana i chaotyczna”⁹⁹. Ich przykładem mogłyby być, zdaniem Foucaulta, purytańskie kolonie zakładane przez Anglików w XVII-wiecznej Ameryce albo jezuickie wioski tworzone w Ameryce Południowej, w których w absolutnie uporządkowanych warunkach, w przestrzeni zbudowanej na podobieństwo krzyża kreowano ludzką perfekcję.

Foucault określa te dwie role heterotopii, tworzenie iluzji i tworzenie kompensacji, jako skrajnie odmienne, jednak w niektórych przypadkach wydają się one ze sobą ściśle połączone.

95 Z. Jaskuła, dz.c., s. 10.

96 Tamże.

97 M. Foucault, dz.c., s. 13.

98 Tamże.

99 Tamże.

Powiązanie iluzji i kompensacji jako cech getta dostrzega Karpińska¹⁰⁰, natomiast Mendel, analizując ambiwalentną przestrzeń szkoły, uznaje, że te dwie funkcje heterotopii stanowią jakby dwie strony tego samego medalu¹⁰¹. Podobne wrażenie odnoszę, analizując przestrzeń ulicy [REDAKTOWANE] jako przestrzeń heterotopiczną. Wykreowany przez wiele czynników charakter tej ulicy, prawdziwość toczącego się na [REDAKTOWANE] życia, odsłania niejako i czyni wyraźniejszym iluzoryczną postać współcześnie promowanego konsumpcyjnego stylu życia. Obecny świat, w którym najistotniejszą kwestią jest kreowanie siebie, zarówno w sferze fizycznej, jak i psychicznej, stwarza w pierwszym momencie przyjemne niekiedy wrażenie bycia światem wielobarwnym, w którym każdy może znaleźć coś dla siebie. Czy jednak „coś dla siebie” nie oznacza ostatecznie chęci posiadania dla siebie wszystkiego? A czy już sama taka możliwość nie wieszczy towarzyszącej dziś prawie każdemu konsumentowi nudy? Nudy przekraczającej swym rozmiarem wszystkie wcześniejsze bolączki tego świata wynikające najczęściej z niedosytu. Jak zauważa Bauman przy okazji refleksji o nowoczesnej utopii:

Ból, który był niegdyś spowodowany nadmiernie ograniczonym wyborem, został dziś zastąpiony bólem niemiejszym – tym razem jednak powodowany jest obowiązkiem podejmowania wyboru przy jednoczesnym braku przekonania o jego trafności i bez ufności, że kolejne wybory zbliżą nas jakkolwiek do upragnionego celu¹⁰².

Jak widać zatem przy wnikliwszym spojrzeniu, nowoczesne społeczeństwo wraz z jego nieodłączną cechą kreowania i projektowania rzeczywistości, jest społeczeństwem opartym na iluzji. Iluzji życia ciekawego, modnego, interesującego, w którym nie ma miejsca na bezczynne oczekiwanie. I choć iluzji tej stara się nie dostrzegać uczestnicząca w konsumpcyjnych zapędach większość nowoczesnego społeczeństwa, nie zmienia to faktu, że iluzja życia ma się całkiem nieźle. Miejsca takie jak [REDAKTOWANE] nie wpływają co prawda na jej rozmiar, ale wyraźnie go uwypuklają. Ulica [REDAKTOWANE] mimo brudu, ubóstwa i naznaczenia alkoholowym nałogiem, pokazuje swoją prawdziwą twarz, bez podejmowania choćby próby jej upiększania. Zapelniający ją ludzie, ludzie ze społecznego marginesu, żyją własnym, niewykreowanym przez nikogo życiem i nie aspirują wcale do stania się kimś innym. Po prostu przyjmują to własne życie, co prawda, nie jako doskonałe, lecz całkiem dobre, bo przecież najlepiej poznane. Nie dążą przy tym do wprowadzania sztucznych zmian we własnej codzienności, a także we własnej osobowości, by przykryć ich ewentualne słabości. Jednak mimo charakterystycznej

100 G.E. Karpińska, *Lato w getcie...*, s. 98.

101 M. Mendel, dz.c., s. 81

102 Z. Bauman, *Płynne czasy...*, s. 146.

autentyczności życie ludzi wykluczonych nie jest tak zupełnie pozbawione elementu iluzorycznego. Dla nich tę iluzję życia stanowi nałóg – uzależnienie od alkoholu. Alkoholizm to ich słabość, której notorycznie ulegają, często bez podejmowania wysiłku, by ją pokonać, ale jednocześnie to istotna część ich prawdziwości. [REDAKTOWANE] będąc przestrzenią heterotopii iluzji, iluzji tworzonej w alkoholowych oparach, demaskuje jeszcze większą iluzoryczność życia nowoczesnego, której symbolem może być znajdująca się nieopodal Manufaktura. Czyż wystawowe okna prezentujące drogie ubrania, buty, kosmetyki, biżuterię, wyposażenie domu, sprzęt sportowy, słowem – wszystko, co wydaje się obecnie niezbędne do zaspokojenia konsumenckich zachcianek, nie służą tylko oszukaniu samych siebie? Czyż konsumenci, wędrując wzdłuż tych wystaw w rytm sączącej się z głośników muzyki, nie próbują zagłuszyć w ten sposób wewnętrznych lęków co do obecnego życia, tak innego od tego sprzed epoki wirtualnej, oraz nieodgadnionej przyszłości zarówno własnej, jak i całej ludzkości? Zapewne choć po części tak. Pomyślmy zatem, jak przeogromną iluzją jest życie, w którym trendy nakazują nam wciąż biec w poszukiwaniu tego, co akurat jest na topie, i to biec na tyle szybko, by nie słyszeć własnych myśli, by nie odczuwać emocji, uczuć i obaw. Konsekwencją promowanego obecnie stylu życia, w którym dużą rolę odgrywa ciągle kreowanie siebie od nowa połączone z wypełnianiem obowiązków każdego konsumenta, są stany depresyjne, które dotyczą coraz większą ilość osób. Uczestnictwo w kulturze konsumpcjonizmu cieszy bowiem tylko do czasu, ale zawsze przecież musi nadejść moment refleksji o życiu, refleksji tak znamiennej dla ludzkiego bycia w świecie. Ulica [REDAKTOWANE] daje szansę, by przybliżyć ten moment, dla wielu zresztą wcale nieupragniony. Poprzez przynależne jej tworzenie własnej przestrzeni iluzji, związanej z „zapijaniem” rzeczywistości, można wyraźniej dostrzec dużo znaczniejszą w efekcie iluzję świata „normalności”, w którym tak zwani porządni obywatele są jedynie trybami maszyny konsumpcjonizmu.

Zastanówmy się również nad inną rolą heterotopii, którą Foucault lokuje na końcu skali przeciwległym do stwarzania iluzji. Heterotopie mogą także stanowić przestrzeń doskonale skonstruowaną i uporządkowaną w stopniu proporcjonalnym do chaotyczności innych przestrzeni. Karpińska, rozważając tę dwubiegunowość heterotopii na przykładzie łódzkiego getta, pisze:

Z jednej strony była w getcie iluzja odsłaniająca realną przestrzeń braku możliwości, w praktyce i w przenośni, normalnego życia i przeżycia, obnażająca odwrotną, piekielną stronę gettowego świata stworzonego po to, by poniżyć i mordować tych, którzy stali się zbędni przy budowaniu nowego porządku w Europie. Z drugiej strony getto trwało

i rozwijało się w związku z istniejącą w jego przestrzeni kompensacją: przestrzeni pracy, rozrywki, kultury, nauki, związanych ze zdrowiem i chorobami¹⁰³.

Odnosząc się do refleksji Karpińskiej, mogę stwierdzić, że analogicznie funkcjonuje przestrzeń ulicy [REDAKTOWANE], w niej jakim rozciągnięciu pomiędzy przenikającą się iluzją i kompensacją. [REDAKTOWANE] trwa i pozostaje wciąż aktywna, mimo wrażenia chylenia się ku upadkowi, właśnie dzięki istnieniu w jej przestrzeni kompensacji. Pozorna beczynność i schyłkowość, właściwa dla reprezentantów kultury lumpiarskiej, jest kompensowana dużą aktywnością ludzi handlu prowadzących na [REDAKTOWANE] swoje mniejsze i większe biznesy, a ocenę ulicy w oczach społeczeństwa podnoszą ludzie kultury i sztuki. Przestrzeń tej ulicy można by uznać za świadomy projekt przestrzeni samowystarczalnej, w obrębie której da się prowadzić życie bez wypraw do świata zewnętrznego. Na [REDAKTOWANE] możemy przecież zaopatrzyć się w żywność, odzież, możemy skrócić spodnie, zrobić meble, naprawić stary zegar z wahadłem, podbić buty, odwiedzić lekarza, zajrzeć do jednej z dwóch galerii, wypożyczyć książkę z biblioteki i udać się z nią od razu do pobliskiej herbaciarni, a stamtąd natchnieni wizjonerskim pomysłem ruszyć prosto do siedziby [REDAKTOWANE], by omówić z nimi kolejne święto ulicy, po drodze częstując jeszcze złotówką autochtona pchającego wypełniony różnościami wózek złomiarSKI – nieodłączny element krajobrazu tej ulicy. Innymi słowy – niezależnie od dnia i pory roku, na [REDAKTOWANE] możemy poczuć jej ambiwalentną naturę, ujawniającą się niczym w swobodnie prowadzonym dialogu, gdzie wiodący głos należy czasem do pierwszego rozmówcy – iluzji, jednak po chwili cichnie i dopuszcza do głosu drugiego rozmówcę – kompensację.

Na tym stwierdzeniu chciałabym zakończyć rozważania oparte na stworzonym przez Foucaulta pojęciu „heterotopii”, które dało mi możliwość uporządkowania w ramach sześciu zasad specyficznych, choć tak typowych dla heterotopii, cech ulicy [REDAKTOWANE] i opisanie jej właśnie jako Foucaultowskiej „innej przestrzeni”. Bo czyż nie jest idealnym uosobieniem owej „innej przestrzeni” ulica pozbawiona pierwszych numerów – ulica bez topograficznego początku, wyrastająca gdzieś pomiędzy parkowymi drzewami?

103 G.E. Karpińska, *Lato w getcie...*, s. 98-99.



Śpiący





Tata, [REDACTED]



Wersalka



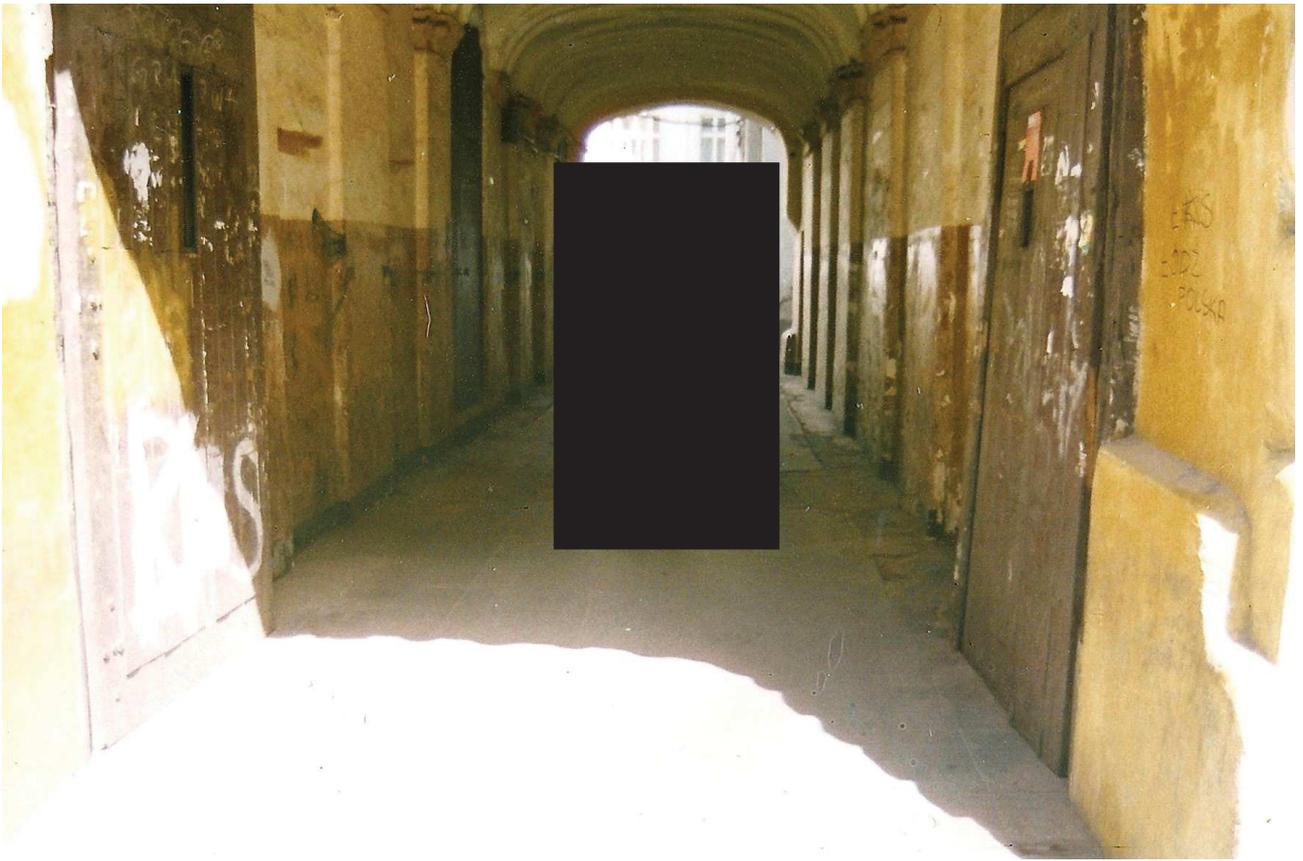
Tata



Kuchnia



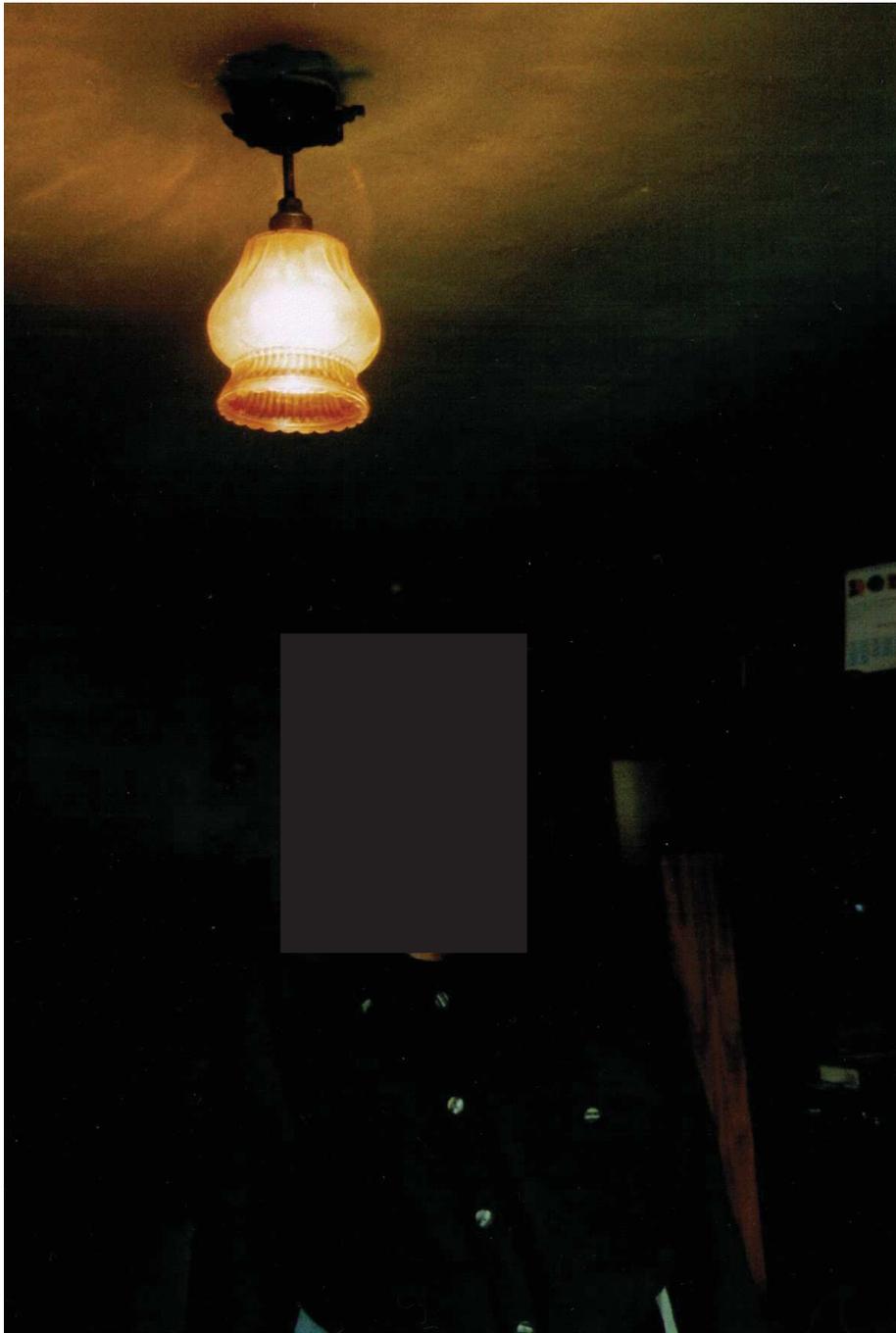




Tata na klejbie



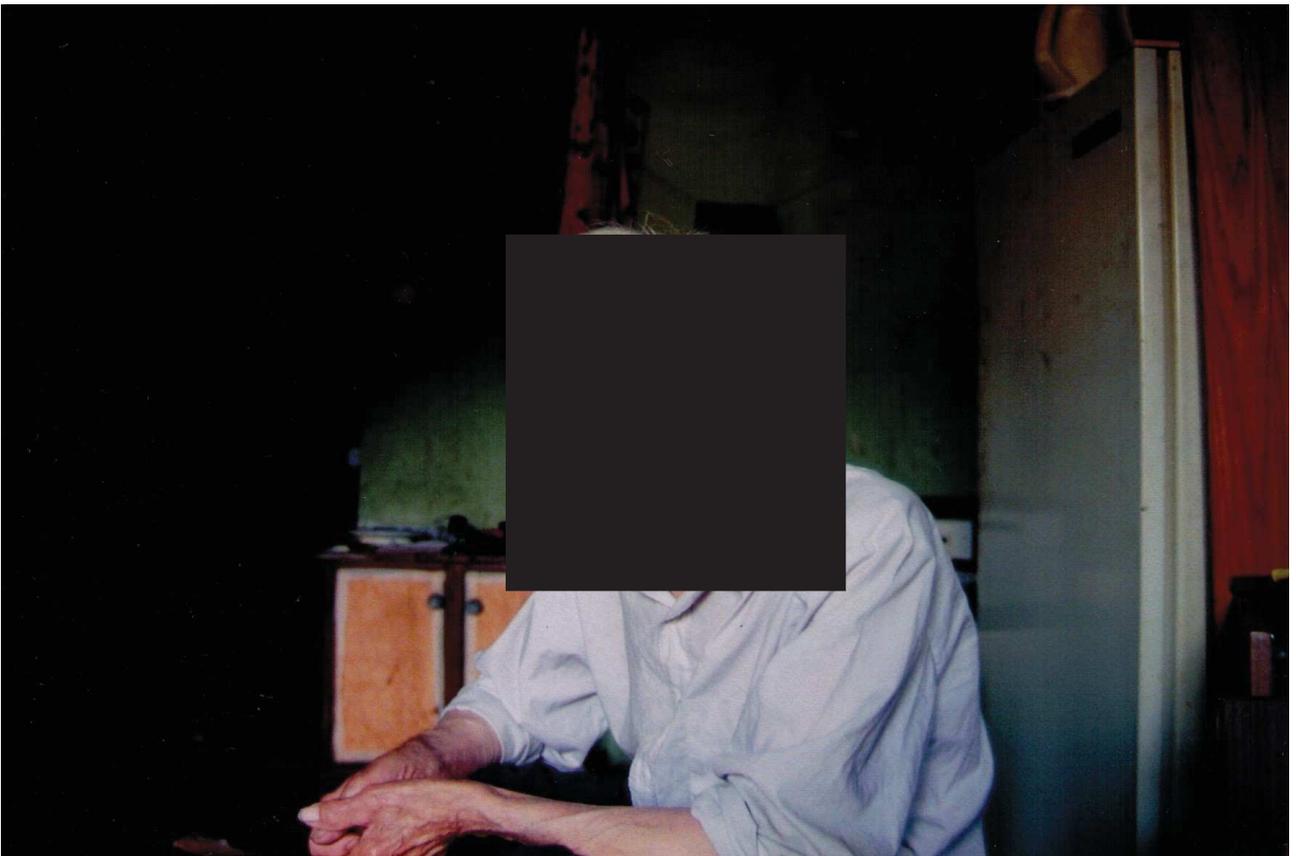
Tata



Tata w nowym mieszkaniu



Tata



█ i pan █

Rozdział V

Na [REDACTED] u taty

Początek

Początku tego domu na [REDACTED] nie pamiętam. Ani tego, jak tata przyjął swoją przeprowadzkę z malutkiej kawalerki na osiedlu do tego wielkiego mieszkania w centrum miasta. A przeniósł się tam razem ze swoją mamą, czyli moją babcią [REDACTED] oraz z ich psem o imieniu [REDACTED]. Ten początek na [REDACTED] naznaczyły trwałym śladem dwa wydarzenia. Po pierwsze – wkrótce po przeprowadzce ta piękna, mądra psina o wyglądzie basseta urodziła dziewięć równie ładnych szczeniaków z długimi, klapiącymi uszami oraz jedną czarną owcę, a właściwie białą w czarne łaty. Tata chyba potraktował to jako znak, bo wydał wszystkie pieski z wyjątkiem tego łaciatego. A po drugie – niedługo po narodzinach [REDACTED] odeszła z tego świata babcia [REDACTED]. Tata został więc sam z dwoma psami w wielkim mieszkaniu. Ale na [REDACTED] ten stan nie mógł trwać zbyt długo.

Bieszczady

Mając osiemnaście lat, zrobiłam sobie pierwszy prawdziwy prezent urodzinowy – rzuciłam renomowane liceum, z którego tak dumna była moja mama. Może i nie było takie złe, tyle że mnie tam dusiło. A wkrótce potem zaczęłam więc pracować u mojego kumpla Stefana, dobrze znanego w łódzkim środowisku ekologów. Właściwie to nie była żadna praca. Po prostu siedziałam w malutkim pokoju na zapleczu sklepu ze zdrową żywnością i przyjmowałam zapisy na obóz wegetariański dla młodzieży i dorosłych. Pieniądzy nie miałam za to dostać, ale mogłam w zamian za pracę pojechać razem z [REDACTED] właśnie tam, na obóz organizowany przez Stefca w Bieszczadach. Nie znałam jeszcze wówczas tych gór, ale wewnętrznie bardzo mnie ciągnęło do dzikich bieszczadzskich przestrzeni.

Nastał dzień wyjazdu. Wszystkie rzeczy były już spakowane. Tyle że pojawiła się dziwna myśl, której nie udawało mi się uciszyć. Zabrać tatę ze sobą w te Bieszczady. Przecież to jest taty świat. Decyzja podjęła się sama, w dwie godziny przed odjazdem pociągu.

–Jadę po tatę – oświadczyłam to tak zniecka, że nawet [REDAKTOR] wydawał się zdziwiony. Mama tym bardziej. A chłopak mamy nic nie powiedział, tylko raz za razem dziwnie chrząkał. Zawsze tak robił, gdy sytuacja stawała się zbyt skomplikowana. Nie, nie o to chodziło, że lubiłam spóźniać się na pociągi. Wręcz przeciwnie. Sama się sobie dziwiłam, że wymyśliłam coś tak wbrew rozsądkowi. Niewiele było czasu, ale wiedziałam, że warto zaryzykować. Najpierw co sił w nogach do autobusu, a potem jeszcze szybciej z autobusu na [REDAKTOR]. Wpadłam do taty. Na szczęście chłopaki w świetnej formie. Tata i [REDAKTOR]. Sprawę przedstawiłam tacie może nieco chaotycznie, ale konkluzja była aż nadto klarowna: „Tato, pakuj się, nie możesz mi odmówić, pociąg odjeżdża za półtorej godziny”. I tata rzeczywiście się zgodził. Stawiał wprawdzie niewielki opór, ale było widać, że jest szczęśliwy. Zabawnie się pakował, jakby jechał na weekend pod Łódź, mimo że to przecież ponad pięćset kilometrów drogi, a pogoda w lipcu bywa niesprzyjająca. Tata wcale tego nie rozważał. Zabrał kubek, kilka ubrań, resztę włożył na siebie. Akurat zmieściło mu się to wszystko do dużej reklamówki. [REDAKTOR].

[REDAKTOR]. Jak to się stało, że tata chodził o kuli, dziś już trudno byłoby ustalić. Chyba popchnęły go na ulicy jakieś młode chłopaki, a tata upadł kolanem na krawężnik. Potem miał poważną operację.

Teraz to on będzie musiał przez najbliższy czas samotnie sprzedawać sztuczne kwiaty na rynku i zajmować się [REDAKTOR]. Lubiałam tego [REDAKTOR]. Gdy wychodząc, spojrzałam na kuchnię, stał właśnie przy blacie z piłą w rękę i piłował nią kości, wielkie, różowe kości, które zawsze przypadły w udziale najpierw tacie i [REDAKTOR] do obgryzania, a potem psu do ostatecznego wylizania.

Bieszczady okazały się nawet piękniejsze i bardziej wciągające, niż można się było spodziewać. Jedyne pogoda zawiodła, jak zawsze zresztą, kiedy oczekuje się słonecznych dni. Spadły pierwsze deszcze, a potem kolejne i kolejne. Lało całymi dniami. Już się nie schodziło do kuchni, tylko zjeżdżało na bieszczadzki błocie. Ale tata miał swoją wierną kulę, która pomagała mu utrzymać pion. Spaliśmy razem w namiocie. Tata czuł się świetnie, był w swoim żywiole, po prostu jakby zawsze tak żył. Bez słowa podporządkował się zasadzie, którą wyjaśniłam mu chyba jeszcze w mieszkaniu na [REDAKTOR] – na obozie nie można pić alkoholu i palić fajek, przynajmniej oficjalnie. I od razu wpisał się w bieszczadzki klimat. Wstawał

wcześnie rano i towarzyszył kucharce w robieniu herbaty dla całej obozowej ekipy. Co wieczór pomagał w rozpalaniu ogniska. Ani myślał o picciu, tylko po cichutku palił papierosy w namiocie lub w lesie razem z moją koleżanką [REDAKTOWANE], która jeszcze wówczas nie wyobrażała sobie dnia bez fajki. A potem tata wrócił do Łodzi, smutnej, nędznej i szarej, i zaczął znowu ciągnąć swój żywot między mieszkaniem na [REDAKTOWANE], rynkiem na [REDAKTOWANE] i punktem sprzedaży royalu u pani [REDAKTOWANE], w tej samej zresztą bramie, w której wciąż jeszcze mieszkał z [REDAKTOWANE]. Tata dość długo wspominał ten wypad w góry. A ja jeszcze kilka razy miałam ponowić propozycję wyjazdu, nigdy jednak nie miało to być już tak spontaniczne i nigdy więcej tata nie zdecydował się z niej skorzystać.

[REDAKTOWANE] już odszedł

Tego dnia myślałam ciągle o tacie. Kilka dni wcześniej zaniósłam im zakupy. Byli w dużym ciągu. Jedzenie już ich nie interesowało. [REDAKTOWANE] wyglądał bardzo źle. Tata jako jedyny miał jeszcze dość siły, by schodzić na dół do pani [REDAKTOWANE] po kolejne porcje royalu. Tak, czułam, że powinnam tam iść. Tak też zrobiłam. Poszliśmy razem, czyli ja i [REDAKTOWANE] i nasze dziecko ukryte jeszcze w moim brzuchu przed zawilościami tego świata. Tego dnia trzeba było długo pukać. Przez drzwi czuć już było ten zapach – pomieszanie brudu, gównien [REDAKTOWANE], wszelkich organicznych resztek z ludzkiego ciała i czegoś jeszcze, czegoś nowego i dotąd mi nieznanego. Nie wiem, dlaczego, ale zawsze bałam się tego zapachu z mieszkania taty, który przesiał przez różne dziury w drzwiach, informując, jak miewają się ci trzej mężczyźni spod [REDAKTOWANE]. Ten moment oczekiwania, aż ktoś otworzy, napawał lękiem. Myśli zaczynały nerwowo krążyć, umysł stawał się niespokojny. Może powinnam stąd uciec, myślałam często. A tego dnia tata w końcu otworzył. Tyle że nie tak zwyczajnie. To były resztki jego sił, ciało wygięte w pozycji windsurfiingowca, który walczył z żywiołem powietrza. Tak, środkowa część ciała uciekła gdzieś do tyłu, i tata wisiał jedną ręką na klamce, a drugą przytrzymywał się szafki w przedpokoju. Był wycieńczony dwu-, trzytygodniowym, a może nawet dłuższym picciem bez ograniczeń. Rozśmieszył mnie ten widok. [REDAKTOWANE] chyba też. Aż budziła się pokusa, by trochę tacie podokuczać, pożartować sobie z jego klubu royalistów. Powiedziałam więc z uśmiechem:

–Tato, to może my już sobie pójdziemy, bo widzę, że tobie ma się na umieranie.

–Mnie nie, ja mam się dobrze, ale kolega umarł – tata odpowiedział, jak gdyby tłumaczył się, czemu pije.

Ciągnęłam więc dalej ten dowcip:

–Ciekawe, [REDACTED] czy [REDACTED]?

–[REDACTED] – tata odpowiedział całkiem poważnie.

–Ooo, i co z tym zrobiliście?

I wtedy tata przez chwilę milczał, jakby lekko speszony, po czym rzekł:

–No właśnie jeszcze nic – a potem dodał po chwili – No wejdźcie.

W tym jednym momencie było już pewne, że nie możemy spod tych drzwi odejść, tak po prostu iść do domu. Pewne było też, że trzeba było tam wejść, przekroczyć próg, a potem otworzyć drzwi prowadzące do pokoju. I wtedy stało się dla mnie oczywiste, czym był ów tajemniczy zapach. Nieznane zjawisko zostało nazwane – to zapach trupa, smród gnijącego ciała ludzkiego, takie specyficzne słodko-kwaśne połączenie, którego choćby małe stężenie doprowadza do mdłości i wywraca na wierzch żołądek. A tu jeszcze była na dodatek cała reszta cuchnącego świata olfaktorycznego. Nie skończyło się jednak na zapachu. Obraz, który stanął mi tego dnia przed oczami, był równie bolesny i przerażający. Do pokoju nie można było w zasadzie wejść, bo wszędzie na podłodze leżały kupy [REDACTED]. Przy każdym łóżku stała miska, do której jej właściciel mógł rzygać i sikać. O odchodach na szczęście nie było mowy, bo zbyt długo już nie jedli. [REDACTED] też raczej pościła. Piła za to royalowe wymiociny i mocz swoich panów. W tym pokoju pogrążonym w chaosie, w atmosferze wciągającego w swą otchłań ciemnego bagna trzeba było działać bardzo racjonalnie. Najpierw pytania o śmierć [REDACTED]. Tata i [REDACTED] nie byli początkowo zgodni co do czasu, ale w końcu udało się ustalić, że [REDACTED] jest trupem już dwie doby. Potem uprzątnięcie z podłogi dywanu utkanego z psiego gówna, by pogotowie w ogóle zechciało wejść do mieszkania. [REDACTED] zabrał się do brudnej roboty, a ja poszłam zadzwonić. 999.

–Dzień dobry, znalazłam w mieszkaniu u znajomych ciało człowieka nieżyjącego od około dwóch dni. Czy ktoś mógłby po nie przyjechać?

–Przykro nam, ale przyjmujemy zgłoszenia tylko do godziny siedemnastej. O tej porze musi pani iść do przychodni rejonowej – pan odpowiedział mi nieco zbywająco.

–Nie, nie zamierzam nigdzie chodzić, a ludzie, którzy tam mieszkają raczej nie będą w stanie. W takim razie on będzie tam gnił – ta odpowiedź skłoniła ich do przemyślenia tej sprawy od nowa.

–Chwileczkę – czas na konsultację, słyhać szmery – Dobrze, proszę podać adres.

–Ile to będzie trwało, bo nie mogę zbyt długo czekać?

–Do dwóch godzin.

Ale czas właśnie przestał dla mnie istnieć. Dopiero później zrozumiałem, że spędziliśmy z trupem co najmniej pięć, sześć godzin. Po rozmowie wróciłam na [REDACTED], gdzie [REDACTED] wciąż

jeszcze sprzątał. Patrzyłam z podziwem, bo sama chyba bym się nie zdecydowała. I nagle eureka. Właśnie wtedy, tego dnia, gdy znalazłam u taty nieżywego [REDACTED], właśnie wówczas, nagle, po tylu latach dotarło do mnie, że w tym mieszkaniu żyje pies. Pies, który mimo swego rodzaju upokorzeń i fizyczno-psychicznych tortur, był wesoły i pragnął żyć dalej. Tak, mogę śmiało powiedzieć, że wtedy po raz pierwszy dostrzegłam [REDACTED], choć ona miała już sześć lat. Aż chciało się płakać. Z jaką radością ruszyłam do sklepu po jedzenie, a potem przygotowałam jej kanapki. Tak wdzięczny potrafi być tylko pies, a tak rozczulona potrafi być tylko kobieta w ciąży. Postanowiłam sobie w myślach, że [REDACTED] już tu dłużej nie zostanie. Zdecydowanie bardziej wolałam być wtedy z psem w kuchni niż z resztą ekipy w pokoju. Trudno było się przemóc, żeby siedzieć w pokoju, gdzie maraton trwał dalej. Maraton, w którym jeden uczestnik zrezygnował z udziału. I to na własne życzenie. [REDACTED] to nie był zbyt rozsądny człowiek. Zdawać się mogło, że cały czas myślał o piciu. Alkohol był jedynym pocieszeniem dla jego ciała i umysłu. Dla duszy chyba nie, bo która dusza chciałaby wypełniać wciąż swym tchnieniem otumanione ciało. Ale dla [REDACTED] w ciągu nic innego poza wódką nie miało znaczenia. Zapominał nawet o jedzeniu. A do tego jeszcze okazało się, że [REDACTED] był po prostu cwany i chciał przechytryć swoich współtowarzyszy. Uczciwość w tym domu polegała na równym rozlewaniu royału i równym przydziale papierosów. [REDACTED] natomiast chciał ulecieć w alkoholowej ekstazie jeszcze wyżej i jeszcze prędzej niż pozostali. Gdy tata i [REDACTED] wypijali kolejkę, to [REDACTED] wypijał jeszcze jedną, nieoficjalną, z butelki ukrytej pod kołdrą. I w ten sposób udało mu się wreszcie osiągnąć nieskończoności. Zostawił tylko swe ciało skulone w pozycji embrionu. Miałam wielką ochotę patrzeć w tamtą stronę, na to zapadnięte łóżko z utkwionym w nim zimnym już ciałem. Ale lęk przed nieznanym był zbyt duży, by spojrzeć na tę stronę życia zwaną śmiercią. Ciało fizyczne wydało mi się wówczas tak bardzo niezrozumiałe i tak niewiele znaczące. Bo przecież leżało tu obok, ale nie było już ciepłe, a [REDACTED] nie był już tym samym [REDACTED]. Z minuty na minutę coraz bardziej jednak oswajałam się z tą sytuacją. Podchodziłam bliżej. Nagle ktoś zapukał. Otworzyłam, a za drzwiami stał mężczyzna, który przedstawił się jako brat [REDACTED]. Właśnie przyszedł, bo chciał go odwiedzić. Była z nim jego żona i córka. Jakaś dziwna rodzinka, ale za to z wielkim wyczuciem chwili. Nie wyglądało zresztą, by wiadomość o zgonie [REDACTED] wywołała w nich jakiegokolwiek emocje czy refleksje. Na ich twarzach rysowała się pustka i głupota. Chcieli zaczekać na policję przed kamienicą. Tyle że już na schodach brat [REDACTED] zaproponował [REDACTED], by się napić z wiadomego powodu. Pierwsza odmowa. Ale on miał powrócić ze swoją propozycją jeszcze kilkakrotnie. Każdy powód może być dobry, żeby się napić, nawet śmierć brata. To oczekiwanie na przyjazd policjantów zaczynało nas nieco nużyć. Podłoga już uprzątnięta. Wreszcie zjawiała się pierwsza ekipa. Chcieli

zgrywać twardzieli, jak to zazwyczaj bywa, ale bardzo źle znosili smród w mieszkaniu. Oglądali to, co powinni, ale protokoły pisali ostentacyjnie na korytarzu. Oczywiście gra trwała dalej, więc musieli opowiadać straszne historie, jakich to oni już trupów nie widzieli. Tak, raczyli nas własną wersją *Opowieści z krypty*. Spisali zeznania i znowu zaczęło się czekanie, tym razem już w większym gronie, na kolejną ekipę policjantów. Te procedury nie do końca były dla mnie jasne. W każdym razie główną rolę w kolejnym akcie tego przedstawienia odgrywał policjant z latarką i aparatem. Chodził po mieszkaniu pewnym krokiem, świecił tą latarką w różne zakamarki, a potem zdjął kołdrę z [REDAKTOR]. Z ironią skomentował fakt, że po jego ciele przemykały jakieś robaki, chyba wszy. Pstrykał zdjęcia. Czy bystry, spostrzegawczy i w miarę inteligentny policjant nie zorientowałby się od razu, że [REDAKTOR] umarł sam, bez niczyjej pomocy? Może i tak. Ale tamci w mieszkaniu taty widocznie zbyt bystrzy nie byli, a może po prostu chcieli pokazać swoją władzę, bo zaczęli okazywać swoje wątpliwości. Podjęli w końcu decyzję, by zabrać na przesłuchanie obydwu podejrzanych o udział w zajściu, a zatem również w zejściu. Tata już nieźle wytrzeźwiał przez te kilka godzin, bo [REDAKTOR] donosił im tylko piwa. I właśnie teraz tata zaczął bezczelnie przygadywać i oświadczył, że nigdzie nie zamierza iść. Atmosfera lekko napięta, więc by załagodzić sytuację podałam buty [REDAKTOR]. Tyle że on z kolei był tak słaby, że nie mógł ich nawet założyć, o wstaniu i pójściu w ogóle nie mówiąc. Policjanci musieli zrezygnować. I znowu utknęliśmy w przedłużającym się oczekiwaniu. Tym razem na medyka sądowego. Zgłodniałam, [REDAKTOR] zresztą też, więc poszliśmy coś zjeść. Tak oto to, co na początku tej wizyty wydawało się niemożliwe, w kilka godzin później stało się zupełnie naturalne. Granica została przekroczona. Wróciliśmy i ze smakiem zjedliśmy zapiekanki w mieszkaniu taty. A potem wreszcie przyjechał lekarz sądowy, a właściwie lekarka. Cóż za zdziwienie – medyk sądowy to ładna, uśmiechnięta kobieta w średnim wieku. Zdawało się, że sytuacja zastana w taty mieszkaniu nie robiła na niej żadnego wrażenia. Odwróciła trupa na wznak. Fala gazów pośmiertnych przelała się zapachem aż na korytarz. Kobieta wciąż uśmiechnięta. Policjanci jak wszyscy prawdziwi twardziele musieli się ukradkiem wycofać, a ona bardzo szczegółowo i niespiesznie przystąpiła do podyktowania im swoich obserwacji. „Denat ubrany w slipy bawełniane koloru granatowego i syntetyczne skarpetki w paski z dziurą na prawej pięcie”. Sączyły się te zdania wraz ze słodkim zapachem entropii. Ale tata i [REDAKTOR] zdawali się być nieporuszeni. Tata wszczął nawet rozmowę z panią doktor, a ona jako jedyna spośród tego tłumu przedstawicieli różnych instytucji nie okazywała wyższości nad mieszkańcami tego domu. Nie było widać w jej zachowaniu i słowach choćby cienia wzgardy wobec tych ludzi uwikłanych w zgubny nałóg. Nie, ta pani już przywykła do podobnych sytuacji. Musiała się przecież znieczulić, zdystansować, by móc wykonywać tę niełatwą profesję, ale mimo to zachowała

szacunek do drugiego człowieka. A teraz wypełniła już swoje obowiązki i wyszła. Rozwiała przy tym wszystkie wątpliwości wężących kryminalną aferę policjantów. █████ zmarł bez udziału swoich towarzyszy. Atmosfera nie była już tak napięta. Wszystko wyjaśniono. Tajemnica, której tak naprawdę wcale nie było, została odsłonięta wraz z kołdrą, którą przykryty był █████. Wówczas wreszcie odważyłam się spojrzeć na to nieżywe ciało porzucone na polu walki. Nie przypominało ono █████, co więcej, w ogóle nie przypominało białego człowieka, tylko raczej Aborygena. Włosy kręcone, twarz ciemna brązowo-fioletowa, wielkie spuchnięte usta i powieki. Na ciele charakterystyczne wybroczyny i plamy. I nic poza tym. Poczulałam jakąś pustkę i smutek. Policjanci właśnie grzecznie nas pożegnali i odeszli, a my znów zostaliśmy w ym jakże dziwnym gronie: ja w ciąży, trzech mężczyzn, pies i jeden trup. No właśnie, gdzie ja powinnam zaliczyć tego trupa? Czy to jest jeszcze człowiek, czy już tylko kawałek mięsa? Gdzie przebiega ta granica? Czy w ogóle warto utożsamiać istotę ludzką z jej cielesną powłoką? Raczej nie, bo marne byłoby to człowieczeństwo. Tak, byłam już zmęczona nadmiarem przeżyć i cisnącymi się uparcie do głowy przemyśleniami. Ale trzeba było jeszcze wytrwać, bo nieżywe ciało wciąż znajdowało się na łóżku. Wyczekując na korytarzu, zobaczyłam wchodzących po schodach dwóch mężczyzn w czarnych strojach. Ci pracownicy zakładu pogrzebowego zwiastowali koniec naszej wizyty. Byli niczym makabryczne cyborgi. Żadnego „dzień dobry”, żadnego ludzkiego gestu. Wcale się nami nie zainteresowali. Mieli swój cel, swoją torbę na trupa, musieli tylko go znaleźć. Jak wielka jest ludzka ciekawość. Jeszcze przez chwilę patrzyliśmy na bohatera tego wieczoru. A potem ekspres został zasunięty. Po █████ pozostało już tylko wgłębienie na łóżku i jeszcze mocniejszy zapach, gdy czarni panowie wychodzili z pakunkiem. Tata po raz któryś mnie zadziwił, bo dopiero wówczas doleciał do niego smród. -Hmmm, faktycznie śmierdzi. No cóż... Jeszcze kilka minut rozmowy i trzeba zbierać się do wyjścia. Tata nic nie wiedział o naszych zamiarach wobec █████. To był dla niego największy cios od dawna, może nawet od czasu śmierci jego matki.

-Bierzemy █████ – musieliśmy powiedzieć to stanowczo, być może zbyt stanowczo, bo tata aż krzyknął – Nie! █████ zostaje. █████, połóż się na swoje miejsce!

W oczach taty widać było szczere przerażenie. Resztką sił był gotów walczyć o tę wierną psinę, jego najbliższą kumpelę. Przykro było patrzeć na szczery smutek taty, ale jeszcze bardziej przykro było patrzeć na zanedbaną █████. Tak, skłamałszy dla załagodzenia sytuacji.

-Tato, niech trochę u nas pomieszka, odżyje, wyleczy się, przecież możesz ją zawsze odebrać. Napięte mięśnie taty rozluźniły się. Ciało musiało odpocząć, a nie walczyć.

-Dobrze – ruchem ręki wskazał nam obrożę i smycz, którą zastępował jakiś kablosznurek, i tak zresztą nieużywany, bo █████ nie wychodziła na dwór już od wielu miesięcy.

Obiecaliśmy jeszcze tylko, że wrócimy następnego dnia. Oni teraz bardzo nas potrzebowali, by wyjść cało z tego ciągu. A więc dobrej nocy.

A potem wyszliśmy na uśpioną [REDAKTOWANA] dokładnie w środku nocy, gdy większość jej mieszkańców spała już mocnym, twardym snem. Nieliczne snujące się niczym cienie postacie były zbyt pijane, by móc przewidzieć ich tor posuwania się w bliżej nieokreślonym kierunku. Na brudnym, lepiącym się do dłoni sznurku prowadziłam nieco zaskoczoną [REDAKTOWANA], dla której bieganie po chodniku, a tym bardziej po trawniku, również nie było czymś łatwym i oczywistym. Ta psina miała się okazać jednym z lepszych nauczycieli życiowych, jakich miałam. Zwłaszcza do czasu, gdy zmiana sytuacji życiowej skłoniła mnie po ponad dwóch latach do dotrzymania obietnicy złożonej tacie i zwróceniu mu ukochanej [REDAKTOWANA]. Czy miała mi to za złe? Trudno powiedzieć. Zamerdała do taty ogonem, jak zawsze, gdy przychodziłyśmy razem go odwiedzić i spokojnie położyła się na swoim miejscu, jak gdyby nic przez te dwa lata nie zaszło.

Kino

Edi nie był może filmem świetnym, perfekcyjnie zrealizowanym, ale mimo to robił wrażenie. Fabuła momentami zbyt naiwna, aktorzy popełniali błędy, Gołębiewski chwilami przesadnie ogrywał rolę, zamiast po prostu być tytułowym Edim. Swoją drogą, dziwne koło zatoczyła jego kariera aktorska, od „Cegiełki” w filmie o Tolku Bananie do *Ediego*, będącego przedstawicielem złomiarskiego fachu, zresztą jednym spośród wielu w Łodzi. Gołębiewski stworzył właściwie tylko te dwie zapadające w pamięć role i to z dość długą przerwą pomiędzy nimi, bo prawie trzydziestoletnią. A co działo się z nim w czasie tych trzech dekad? Pewnie w sporym procencie to samo, co z bohaterami *Ediego* – alkoholowy nałóg przesłonił mu inne sprawy. Ale mimo tych niedociągnięć, film był mocny w odbiorze, zwłaszcza jeśli czuło się bliskość łódzkich realiów. Taka nieco naiwna przypowieść o złomiarzu, który mieszka w starej fabryce i żyje ze zbierania złomu, a w ramach własnych zainteresowań zbiera i czyta znalezione na śmietnikach książki. I jego życie toczyłoby się bez większych zmian, gdyby nie czytelnicza pasja. Z powodu tych książek dwaj drobni gangsterzy przydzielają mu pewnego dnia nietypową rolę – ma pilnować wieczorami ich urodziwej, nastoletniej siostry, wypytyjąc przy tym ze szkolnych lektur. Tyle że dziewczyna jest zakochana w pewnym Cyganie i nie zamierza siedzieć cicho pod kluczem, a dobroduszny *Edi* obdarza ją zaufaniem i pozwala wyjść z domu. I wciąż wszystko byłoby jak dawniej, bo ona wraca na czas powrotu, tyle że, jak się wkrótce okaże, nie wraca sama, lecz z dzieckiem w brzuchu. By ratować ukochanego przed zemstą swoich

okrutnych braci, wskazuje Ediego jako ojca dziecka. A Edi nie zaprzecza. Co prawda również nie potwierdza, lecz wymownie milczy. Kara wymierzona przez braci jest wyjątkowo surowa, ale mimo to Edi jej się poddaje. A później pozbawiony męskiego przyrodzenia Edi wyrusza wraz z wciśniętym mu niemowlakiem na wieś, by móc go w spokoju wychowywać. Wszystkie jego perypetie odbywają się zresztą przy udziale jego wiernego przyjaciela i towarzysza, Jureczka. Panowie lądują więc na wsi i realizują ojcowskie instynkty, ale do czasu. Bo sytuacja w rodzinie braci i ich młodocianej siostry wyjaśnia się po tym, gdy dziewczyna decyduje się popełnić samobójstwo, a po odratowaniu wyjawia prawdę o ojcu swego dziecka. Bracia nie chowają już urazy do Cygana, bo przecież zdążyli wyładować się na Edim. Oni również ruszają więc na wieś, by dziewczyna mogła prosić o oddanie jej malucha. A gdy następuje ta chwila, Edi ponownie godzi się ze swym losem i znów wymownie milczy. Tak w dużym uproszczeniu i z pominięciem wątków pobocznych przedstawiała się ta kinowa historia. Wówczas gdy zobaczyłam ją po raz pierwszy, poruszyła ona dość mocno moje emocje. Być może dlatego, że dotyczyła właśnie ludzi żyjących na społecznym marginesie, w dodatku jeszcze w Łodzi. Pokora Ediego wobec wydarzeń spadających na niego niczym grom z jasnego nieba rzeczywiście mogła wzruszyć nawet emocjonalnie chłodnych widzów. Ten film obejrzałam w „Cytrynie”, w której już od jakiegoś czasu ja i [REDAKTOR] mieliśmy darmowe wejścia. A czasem nawet przyprawialiśmy ze sobą jeszcze inne osoby. Oglądałam po kolei wszystkie filmy z kina europejskiego. Gdy uznawałam, że film mnie nie wciąga, po prostu wychodziłam. Pewnie gdybym zapłaciła za bilet, to wysiedziałybym do końca. A może po prostu gdybym miała wydać pieniądze na kino, to bym dłużej zastanawiała się, czy to właściwy film. Wtedy, gdy *Edi* wszedł na ekrany, [REDAKTOR] był niemowlakiem i razem ze mną zaliczał sesje w „Cytrynie”. *Ediego* również. A gdy już ten film zobaczyłam, to poczułam się dogłębnie wstrząśnięta, choć dzisiaj zupełnie nie potrafię wyjaśnić, dlaczego. W każdym razie ten emocjonalny wstrząs był z natury mało racjonalny, więc i nie byłoby sensu drążyć i wyjaśniać jego przyczyn. Krótko mówiąc, byłam pod tak dużym wrażeniem *Ediego*, co z pewnością miało związek z moją słabością do niszowych klimatów z ulicy [REDAKTOR], że wpadłam na pewien pomysł. Otóż uznałam, że kto jak kto, ale to właśnie tata ze swoją ferajną powinien ten film koniecznie zobaczyć. Inwestować w realizację tego spontanicznego konceptu wcale nie musiałam, bo miałam przecież zaprzyjaźnioną „Cytrynę”. Wystarczyło umówić się z tatą, [REDAKTOR] na konkretny dzień i godzinę. Tak też zrobiłam. Słuchajcie, pójdziemy razem do kina, jest taki fajny film o złomiarzu, nic się przejmujcie, wejście mam już załatwione. I tyle. Ekipa ze [REDAKTOR] była chętna i wszyscy żalowaliśmy tylko, że [REDAKTOR] z powodu niesprawnych nóg będzie musiał zostać w domu. W umówionym dniu o umówionej godzinie stawiałam się w mieszkaniu u taty,

gdzie wszyscy, o dziwo, już na mnie czekali. I ruszyliśmy do „Cytryny”. Daleko co prawda nie było, bo tylko kawałek [REDACTED], później do [REDACTED], gdzie mieszkał zresztą ten dziwaczny brat nieżyjącego [REDACTED], wychodząc już na [REDACTED]. A stamtąd to było rzut kamieniem. Tyle że droga wcale nie upłynęła nam zbyt szybko, bo tata z ekipą wlekli się typowo dla klimatu swojej ulicy, otuleni grubymi kurtkami i szalikami. [REDACTED] była chyba nawet w futrze. Jednak najbardziej spowalniał nasze tempo tata, który co rusz poprawiał a to kulę, a to zsuwającą się z głowy czapkę, a to musiał fajkę zapalić. Na seans dotarliśmy w momencie, gdy [REDACTED], właściciel kina, chciał właśnie zamknąć drzwi prowadzące na salę kinową. O tym, że zamierzamy wpaść na *Ediego* z moim tatą i jego znajomymi, był oczywiście poinformowany. Ale i tak zdziwił się nieco, gdy zobaczył zaproszonych przez nas gości. Tyle że zdziwił się dyskretnie, a potem „proszę na salę i miłego oglądania”. Film zleciał szybko i po wyjściu z zaciemnionej sali znowu znaleźliśmy się w jasno oświetlonym pomieszczeniu. Tata milczał, co nie było w jego przypadku niczym nowym, ale milczała też [REDACTED], i milczał [REDACTED]. Wydawali się poruszeni. Nie, powiem więcej – oni byli szczerze wzruszeni. Widać to było zwłaszcza po towarzyszach taty, bo sam tata jak zawsze po mistrzowsku skrywał emocje. Fajny film, fajny film, przyznawali głosem cichszym niż zwykle. Nie mam pojęcia, co czuło wówczas tych troje ludzi z [REDACTED] oglądając na dużym ekranie opowieść o łódzkich złomiarzach, opowieść tak bliską ich własnemu życiu. Zwłaszcza że tego zimnego wieczoru znaleźli się w kinie zapewne pierwszy raz od kilkunastu, a może nawet od kilkudziesięciu lat. A potem wyszli w swych grubych kurtkach i futrach na zimną ulicę [REDACTED] i wrócili niespiesznie do swojego świata, może nie tak dramatycznie powikłanego jak w filmie, choć podobnego w otaczającej go aurze.

Wigilia u taty

Dzień przed świętami spędziłam na [REDACTED] ponad dwie godziny. Czas zleciał nam na rozmowach, żartach i ubieraniu małej, sztucznej choinki. Zrobiłam parę zdjęć i obiecałam, że przyjdę następnego dnia – w Wigilię. Nazajutrz musiałam tylko poczekać na [REDACTED]. On też nie bardzo wiedział, co robić w ten dziwny dzień, który kojarzył się z rodzinną atmosferą i wymuszał zbieranie się w większym gronie. [REDACTED] postanowił więc dołączyć do mnie, [REDACTED] i mojej mamy, by razem zasiąść przy wigilijnym stole. Tyle że gdy przyszedł, to żadnych dań jeszcze nie było. Zresztą o potrawach wigilijnych wcale wówczas nie myślałam, tylko o pójściu na [REDACTED]. [REDACTED] nawet się z tej propozycji ucieszył, bo znał przecież mojego tatę

z bieszczadzkiego obozu. W ten zimny, grudniowy wieczór ruszyliśmy więc do mieszkania na [REDACTED].

Zastaliśmy tylko tatę i [REDACTED], bo reszta ekipy, czyli [REDACTED] wyprawiła się do swojej matki, mieszkającej zresztą na tej samej ulicy. Miła, spokojna atmosfera. [REDACTED] leżał w swoim łóżku, a tata krzątał się po mieszkaniu. Nawet mieli ugotowane jakieś ciepłe danie, chyba kapustę. Zasiadliśmy przy stole, na kanapie taty. Tata chciał poczęstować [REDACTED] wódką. [REDACTED] nie odmówił. Tyle że spodziewał się zapewne dostać kieliszek zwykłej gorzały, a dostał nieco brudny kubek napełniony do połowy royalem. Co prawda protestował, mówiąc „Już więcej nie, ja już bardzo dziękuję, [REDACTED], naprawdę już wystarczy”, ale zanim zdążył wypowiedzieć te słowa do końca, tata szczerze i od serca chlusnął mu świąteczną porcją. Sobie też nie pożałował. W końcu nie co dzień miał okazję wypić z sympatycznym [REDACTED]. Tak, wieczór był naprawdę miły. Bez napięć i zbędnych słów. Ale do czasu – bo oto mój stary, dobry kumpel zaczął zbyt badawczo przyglądać się swojej szklance i pewnie po to, by oddalić moment jej opróżnienia, zadał pytanie. Podobno wszystkie pytania są mądre, ale to nie wydawało się ani mądre, ani nawet zadane z ciekawości. To było jedno z głupich pytań nie na miejscu. [REDACTED] musiał się chyba mocno wysilić, żeby spytać z udawanym zainteresowaniem:

–Powiedz mi [REDACTED], a ten alkohol to jest dobry, no ten royal to ci smakuje?

Co powinien odpowiedzieć alkoholik na tak błyskotliwie zadane pytanie? Sama nie wiem. I tata chyba też nie wiedział, bo spojrzał nieco zdziwiony. A potem wychylił swoją porcję, jakby wczuwając się w smak, lecz wciąż nie będąc pewnym, czy to mu smakuje, odparł po prostu:

–No nie wiem, [REDACTED], spróbuj sam.

[REDACTED] aż lekko przełknął ślinę, bo własna mądrość obróciła się przeciwko niemu i stanął wobec czegoś, czego oddalić już się nie dało – musiał wreszcie skosztować nalany mu royal. Spodziewał się chyba najgorszego, ale zawartość przybrudzonego ze starości kubka okazała się nie do odróżnienia od zwykłej, sklepowej wódki.

–No i co, jak ci smakuje? – spytał tata rzeczywiście zaciekawiony odpowiedzią.

–Dobre, nawet dobre, jak normalna wódka – [REDACTED] odpowiedział, wciąż jeszcze zaskoczony.

–Pewnie że jak wódka – uśmiechnął się lekko tata.

I chyba właśnie wówczas [REDACTED] podniósł się z pozycji leżącej i usiadł na swoim łóżku. Cichy, spokojny [REDACTED]. Na tyle cichy, że musiałam aż przysiąść się do niego, by zrozumieć, co mówi. A widać było, że tego dnia miał ochotę z kimś porozmawiać. Właściwie to nic o jego życiu nie wiedziałam. Pierwszy raz zapytałam go więc o rodzinę. Najpierw wspomniał o siostrze. Ponoć była z powodu adopcji inaczej wychowywana, więc [REDACTED] uznał, że z tego powodu mają zupełnie inne widzenie świata. A potem powiedział jeszcze, że ma córkę urodzoną w 19[REDACTED] roku.

Tyle że on zaraz po jej narodzinach poszedł „siedzieć” na osiem lat, a potem żona znalazła sobie drugiego męża i [REDAKTOR] obiecał, że nie będzie się wpierdalał. I tak też zrobił. Aha, córka ma na imię [REDAKTOR].

– [REDAKTOR], a ty ją kochasz, skoro jej prawie nie znasz?

– Kocham ją, ale nie mogę wpierdalać się w cudze życie, które inni sobie ułożyli – [REDAKTOR] odpowiedział jak zawsze cicho i jak zawsze dopiero po chwili namysłu.

I tak jak siadałam przy [REDAKTOR], nic o nim w zasadzie nie wiedząc, tak teraz mimo tych kilku wiadomości, dotarło do mnie, że wiem jeszcze mniej. A [REDAKTOR] był na tyle skromny, że rzadko coś komentował, niepytany o zdanie. Nie, nie o to chodzi, że był nierozmowny. On po prostu nigdy nie wyrywał się ze swoimi opowieściami. Ale niezwykle przyjemnie było z nim rozmawiać, bo ważył słowa, co rzadko ludziom się zdarza. Siedząc tak na jego łóżku, poczułam dziwny klimat wigilijnego dzielenia się opłatkiem. Poczułam, że jest jeszcze jedna sprawa, o którą koniecznie muszę spytać:

– [REDAKTOR], a czego ty byś chciał, czego ty byś sobie życzył?

Gdy skończyłam to mówić, [REDAKTOR] znowu zapadł się we własne myśli. A jego twarz pozostawała niezmieniona, co wcale nie znaczy, że bez wyrazu. Wręcz przeciwnie – twarz miał piękną, bo myślącą, a przy tym wyrażała ona prawdziwość jego słów i pokorę wobec życia. [REDAKTOR] lekko drżał, jak zawsze – taką miał dziwną przypadłość. Jego mięśnie zanikały i [REDAKTOR] stawał się coraz słabszy fizycznie. Drzenie ciała ustawało jedynie podczas snu. Tak, [REDAKTOR] spał niezwykle spokojnie i bez ruchu. I dopiero gdy jego ciało zaczynało lekko trząść się, jeszcze zanim [REDAKTOR] otwierał oczy, to już wiadomo było, że zaraz wybudzi się ze snu. A wtedy, gdy zadałam to pytanie, on dłuższą chwilę milczał, a potem odpowiedział niespiesznie i z rozważą:

–Nic specjalnego. Pieniędzy to ja bym nie chciał, nie na pewno nie. Chciałbym być z kobietą.

Cisza. Ta odpowiedź mnie poraziła. Nie, muszę przyznać, że nie wpadłabym na to, że [REDAKTOR] marzy po prostu o życiu z kobietą. Niby całkiem zwyczajna sprawa, a mimo to zatkała mi usta. Tym razem to ja zapadłam się we własne myśli i tym razem to [REDAKTOR] przerwał ciszę:

–Myślisz, że to jest możliwe?

Gdyby nie fakt, że musiałam odpowiedzieć, pewnie znów nastąpiłaby cisza. Bo pytanie [REDAKTOR] wstrząsnęło mną jeszcze mocniej niż jego życzenie.

–No tak, pewnie, ale wiesz, że musiałbyś się wziąć w garść.

–Tak, wiem.

–Czy ty potrafisz żyć bez picia?

–Żyłem bez picia i było dobrze.

–No i nie możesz tu mieszkać. Oni cię zniszczą tutaj. Musisz ćwiczyć chodzenie.

–Tak, wiem.

–Ile ty dostajesz tych pieniędzy?

–Czteryście złotych.

–I to wszystko idzie na picie?

–Tak.

Czy naszą rozmowę ktoś słyszał? Nie, bo to wszystko odbyło się bardzo cicho, w stylu [REDACTED]. A tata i [REDACTED] zajęci byli własną pogawędką na kanapie po drugiej stronie stołu. Czułam się przytłoczona, a jednocześnie olśniona konwersacją z [REDACTED]. Wzięłam jeszcze [REDACTED] na spacer, a później pożegnałam tych dwoje najbliższych mi ludzi ze [REDACTED] i ruszyłam razem ze [REDACTED] z powrotem do mojego mieszkania, gdzie czekał na nas mały [REDACTED] i moja mama. Ale jeszcze przez wiele dni towarzyszyły mi myśli o [REDACTED]. Snułam wizję, że przeprowadzam go do siebie, że on ma wreszcie motywację i zaczyna chodzić, może nawet czasami pomaga mi w domu. I, co najważniejsze, wraca do życia w społeczeństwie, poznaje kobietę i nie musi już leżeć całym dniami na starym, śmierdzącym łóżku. Na tym samym zresztą, gdzie swoje fizyczne ciało opuścił dwa lata wcześniej [REDACTED]. Tak, w tamtym czasie myślałam całkiem poważnie o zamieszkaniu z [REDACTED], a moje plany wydawały się mieć sens. I tak jak zawsze, codzienna krzątania i zwykłe sprawy dnia codziennego coraz bardziej oddalały ode mnie te wyobrażenia. Aż z czasem, pewnego dnia w ogóle przestałam o tym rozmyślać.

Zdjęcia

Właśnie stałam na [REDACTED] i fotografowałam kamienicę taty, gdy on wrócił z maratonu po śmietnikach. Miał dwa wielkie sińce po oczami. Na pytanie, kto go tak pobił, tata wcale nie zamierzał odpowiedzieć. Przynajmniej nie zgodnie z prawdą. Najpierw wtrącił coś o zderzeniu z lokomotywą, a później rzucił nic nieznaczące zdanie: „Ach, wiesz, jaka jest młodzież”. I to wszystko. Próbowałam nieraz przypomnieć sobie jakąś sytuację, w której tata mówiłby o kimś źle albo był na kogoś zdenerwowany. Nie, musiałam stwierdzić, że nic takiego nie pamiętam. Co najwyżej, tata lubił się czasem poskarżyć na instytucje, poużalać na szpitale, przychodnie i urzędy. To była taka właściwość taty, która mnie niezwykle ciekawiła – to jego życzliwe nastawienie do wszystkich, niezależnie od tego, czy jest się jego córką, sąsiadem czy obcą osobą mijaną na ulicy. Tak więc moja postać przed jego domem nie cieszyła go wcale mniej lub bardziej niż gdyby to był ktoś inny. Pomyślałam sobie wówczas, stojąc tak przed tą wysoką

kamienicą, żeby trochę tatę wykorzystać. Bo na pewno on będzie chciał na fajki, a ja na pewno chciałabym mu zrobić zdjęcie. Tata odezwał się zgodnie z przewidywaniami:

–Karolinka, to co, kupisz mi papierosy?

–Och, tato, chyba nie bardzo, ja też nie mam za dużo pieniędzy – to wstępne zdanie było prawdą, ale miało go przede wszystkim skłonić do współpracy.

–No ale znajdź dla mnie.

–No nie wiem.

–Wiesz, tak się nałaziłem...

–Dobrze tato, ale zrobię ci zdjęcie – po tym zdaniu tata nawet się zaśmiał.

Poszłam do sklepu sama, choć zawsze jakoś dziwnie się czułam, gdy miałam komuś kupić fajki. Zwłaszcza takie – męskie bez filtra.

Wkrótce znowu zjawiłam się u taty. Tym razem chciałam zrobić ostatnie zdjęcia do zaliczenia zajęć z fotografii. W mieszkaniu zaszły małe zmiany. Na łóżku taty leżał [REDACTED]. W pierwszym momencie to nawet się wystraszyłam. Czyżby tata był w tak kiepskim stanie? Nie, to tylko standardowa forma [REDACTED]. Jego tapczan natomiast stał pusty. Pościel zdjęta, chyba częściowo została wyrzucona. Teraz dopiero zobaczyłam, jaki tam syf. Pośrodku wielka dziura wypełniona jakimiś brudnymi szmatami, tapicerka podarta, ze środka wylazła gąbka. I jeszcze dużo rozsypanego cukru. To była jedna z tych rzeczy, których nigdy do końca nie pojęłam. Jak [REDACTED] mógł spędzać całe dnie w łóżku, na którym leżały już dwa trupy – najpierw nieboszczka babcia, a potem [REDACTED]. Zwłaszcza że przecież [REDACTED] zaczął się już rozkładać, śmierdział i chodziły po nim robaki. A teraz [REDACTED] przejął to tragiczne łóżko. Nie wróżyło to nic dobrego. Tata siedział właśnie na krześle, a [REDACTED] na kanapie, gdy zaczęłam przekonywać ich do wyrzucenia tej wstrętnej wersalki. I o dziwo znalazłam częściowe poparcie. Tyle że nie ze strony taty, a to on miał przecież głos decydujący, bo był u siebie. Argument taty też był słuszny, że niby na czym [REDACTED] miałby spać. [REDACTED] była mocna wesolutka, co znaczyło, że jest pijana, ale nie za bardzo. Jak zresztą wszyscy pozostali. Nie miałam szans przekonać taty, więc zaczęłam robić zdjęcia. Tata myślał, że mam po prostu takiego hopla w ostatnim czasie, chyba wcale nie podejrzewając, że zrobię z nich jakiś użytek. A potem wdaliśmy się w rozmowę o zdjęciu [REDACTED] do dowodu i wówczas [REDACTED] wyjął z szuflady jego legitymację ubezpieczeniową. Przypatrując się tej fotografii, wprost nie mogłam uwierzyć, jak bardzo można się zmienić. Zdjęcie zrobione w 1998 roku, a na nim pogodna, uśmiechnięta twarz mężczyzny. Mężczyzny sympatycznego, ładnego, wcale nie tego wykończonego, zmęczonego życiem starszego człowieka, który leżał w łóżku tuż obok mnie. I ja znowu odzyskałam nadzieję, że [REDACTED] ma

w sobie wielki potencjał, że można jeszcze pociągnąć go do życia. [REDAKTOR] odkrył się akurat spod kołdry i ukazał się jego nagi tors. Do tej pory znałam tylko widok jego wychudzonych, coraz bardziej zanikających nóg.

A tego dnia, gdy tak stałam na środku pokoju, rzuciło mi się w oczy piękno jego ciała. To były tylko sekundy, ale dostrzegłam męską sylwetkę, umięśnioną i zgrabną, która zdawała się nie współgrać w tym momencie z jego twarzą – zarośniętą, zapadniętą i ze strupami.

–Co wy tacy pokaleczeni? Bijecie się tu czy co? Kto tacie nabił te sińce?

[REDAKTOR] wskazała na [REDAKTOR], ale raczej w formie żartu, bo przecież [REDAKTOR] ledwo mógł się ruszać. Podejrzewałam za to [REDAKTOR].

–No a [REDAKTOR], co taki pokaleczony?

[REDAKTOR] na to:

–Wypadek przy pracy.

Przy jakiej pracy – mogłam tylko wewnętrznie sama siebie zapytać. Nikt tam nie puścił pary z ust. Tata zaczął być zniecierpliwiony moimi dociekaniem. Powiedział, żebym już z tym skończyła. A więc musiałam skończyć. Poszłam z aparatem do kuchni, a [REDAKTOR] zaczęli podchody, by wyłudzić ode mnie na royal. Najpierw przyszła ona, gadając coś bez sensu i pytała na koniec, czy [REDAKTOR] może przyjść i ze mną porozmawiać. Rozśmieszył mnie ten teatrzyk. Ależ oczywiście, niech przyjdzie. I [REDAKTOR] przyszedł.

–Karolcia, czy możesz mi dać dwa złote?

U nich zawsze chodziło o dwa albo o cztery złote, w zależności od tego, czy marzyli o ćwiartce, czy o pół litra.

–Nie, na royal nie dam.

–No ja nie będę kłamał, na co chcę.

–Rozumiem, dlatego odmawiam.

–Ale to pożycz mi, ja ci pojutrze oddam.

–A ciekawe, z czego ty mi oddasz. Poza tym, na royal nie pożyczam.

–No najpóźniej do dwudziestego.

–Nie, ja już powiedziałam, [REDAKTOR], że nie.

–Ale ja naprawdę.. – tym razem nie dałam już mu dokończyć, bo przedstawienie zrobiło się zbyt przewidywalne.

–Ale to naprawdę było moje ostatnie słowo.

Wrócił do pokoju. Przekazał tę smutną informację pozostałym. Nie, nie przepadałam za tą parą, choć cieszyło mnie jednak, że oni mieszkali u taty. Dbali o porządek, gotowali, wnosili trochę normalnego rytmu życia. Bo tata i [REDAKTOR] byli bardziej destrukcyjni, łatwo wpadali w kanał

picia i niejedzenia, nie bardzo garnęli się do sprzątanía. Zazwyczaj byłam grzeczna i miła dla [REDAKTOWANE], bo jednak czułam wdzięczność, a także miałam w tym swój interes – chciałam, żeby oni byli dobrzy dla [REDAKTOWANE], żeby jej nie bili, żeby nie kłócili się z tatą i z [REDAKTOWANE], i tak dalej, i tak dalej. Taki ciąg wzajemnych zależności i wzajemnego bycia miłym. Ale nie czułam z nimi żadnego związku. Inaczej rzecz się miała z [REDAKTOWANE]. Czasem miałam wrażenie, że był moim drugim tatą. Oczywiście najbardziej bliski był mi własny tata, którego kochałam niezależnie od tego, co akurat o nim myślałam. Wówczas jeszcze wciąż wydawało mi się, że mogę mu pomóc, by żył normalnie, cokolwiek miało znaczyć to normalne życie. Widziałam to tak, że on nie pije, ma wyjęte druty z kolana i może wreszcie chodzić bez problemu, że szuka pracy, że odwiedza mnie i zabiera małego [REDAKTOWANE] na spacer z [REDAKTOWANE] że chodzimy razem do kina. I że trzeźwość umysłu poszerza mu obraz świata, który zawężył sobie na własne życzenie. Jak cudownie naiwna była ta utopijna wizja! Jak głupio, choć i miło czasami, było wierzyć w zwrot akcji, który właściwie nie miał szans nastąpić. A zarazem jak arogancki i bezsensowny był pomysł zmieniania ludziom życia na ponoć lepsze. To tylko szybkie refleksje, trwające ułamki sekund myśli, które pojawiały się i równie szybko odpływały. Wtedy, tego dnia, gdy oglądałam u taty zdjęcie [REDAKTOWANE], te myśli przerwał [REDAKTOWANE], który spytał nagle, czy byłam kiedyś na piątym piętrze. Nie, nigdy nie byłam. Więc poszliśmy. A tam wisiało coś, co porażało wprost swoim ogromem – wielki, żeliwny zbiornik na wodę, który w razie pożaru miał zalewać cały budynek swoją zawartością. Wyobraziłam sobie tę wodę, z hukiem i siłą lecącą po schodach. To zrobiło na mnie naprawdę duże wrażenie. I jeszcze fakt, że tam mieszkali ludzie, którzy przecież codziennie musieli pod zbiornikiem przechodzić. [REDAKTOWANE] koniecznie chcieli, żebym weszła z nimi do tych ludzi z piątego. W przedpokoju pełniącym też rolę kuchni leżał jakiś facet przykryty kurtką. Wystarczyło go po prostu ominąć. W pokoju na łóżku mocno skacowana kobieta i mężczyzna siedzący, wpatrzony w telewizor. A do tego piękne sklepienie sufitu, takie niewysokie mieszkanie zwieńczone od góry cudownym łukiem. Aha, był także syn, dwudziestokilkuletni, o dziwo, abstynent. Miły chłopak. Tyle że ja chciałam już wyjść.

Sąsiadka taty

W tej starej kamienicy taty na każdym piętrze były [REDAKTOWANE] mieszkania. [REDAKTOWANE] obok siebie [REDAKTOWANE] po bokach, w których lokatorzy mieli widok na [REDAKTOWANE]. Sąsiadów taty raczej nie widywałam. Wiedziałam tylko, że w tym mieszkaniu obok mieszka pewna kobieta, którą zdarzało mi się widywać w parku [REDAKTOWANE], gdy powoli

i majestatycznie krążyła po alejkach ze swoim dużym psem. Kobieta miała zawsze długi warkocz, który idealnie współgrał z emanującym z jej postawy spokojem. Taka hipisiara z dawnych lat. Ale pewnie nie zwróciłabym na nią szczególnej uwagi, gdyby któregoś dnia nie wspomniał o niej [REDAKTOR]. Tak, [REDAKTOR] byli rozbawieni faktem, że tata odwiedza tę kobietę, ale najbardziej śmieszyło ich to, w jakim celu. Bo tata chodził do pani z warkoczem słuchać muzyki. Nawet trochę mnie to zdziwiło, bo oboje wydawali się ludźmi z różnych światów. Przynajmniej pozornie. Całą tę historię tata skomentował jednym zdaniem. „Ach, no sąsiadka ma dużo Zeppelinów...”. I temat uznał za skończony, choć jego współlokatorzy wciąż jeszcze wyglądali na szczerze rozbawionych.

Gdy pewnego dnia wdrapałam się po schodach na trzecie piętro, gdzie mieszkał tata, po raz pierwszy od dawna nie byłam na korytarzu sama. Przed drzwiami sąsiadki od Zeppelinów stał młody chłopak z długimi włosami spiętymi w kitkę. A kiedy obejrzał się, słysząc kroki na schodach, dostrzegłam znajomą twarz. Twarz, którą widziałam swego czasu na obozie w Bieszczadach. [REDAKTOR]. Swoją drogą, niezbyt miły. A do tego jeszcze trochę zadufany. A teraz on stał pod drzwiami tej spokojnej kobiety z warkoczem i pukał. A ja stałam dokładnie obok i też pukałam. Wymieniliśmy krótkie „cześć”. Lekkie napięcie, bo nie było czuć żadnej wzajemnej sympatii. A może raczej wręcz przeciwnie. Nikt nie otwierał. Ani jednych, ani drugich drzwi. Zadałam więc jeszcze jedno pytanie:

–Tu mieszka twoja mama?

–Tak.

I to wszystko. Rozmowa nie zdążyła się rozwinąć, bo owa mama wreszcie otworzyła i chłopak zniknął w ciemnościach przedpokoju. Znowu krótkie „cześć” z jego i z mojej strony, a potem z kolei otworzył mój tata i mnie również udało się dostać do mieszkania. Wsunęłam się do świata taty, pozornie tak różnego od świata jego schludnej sąsiadki, choć, jak się okazało, zbieżnego w sferze muzycznych odczuć i upodobań. I tylko na krótką chwilę przyplłynęła do mnie pewna myśl. Czy ten młody, nieco przemądrzały [REDAKTOR] mógłby w ogóle przypuszczać, z kim słucha muzyki jego zacna, spokojna mama?

Odejście [REDAKTOR]

[REDAKTOR] miała na dniach urodzić szczeniaki. Dobra i niedobra to była wiadomość. Niedobra zwłaszcza dla taty i jego ekipy. Małe pieski to jeszcze nic, ale jak trochę podrosną, to wszędzie brud i bałagan. Poza tym, co oni z tymi szczeniakami mieliby później zrobić? Ale póki co pieski

były jeszcze w brzuchu u [REDACTED]. Były tam, gdy przyszedłam do taty poprzednim razem. A tego dnia już ich tam nie było. Poznałam to od razu po [REDACTED], która wybiegła mi na powitanie ze swego posłania. Znowu stała się szczupła i nie musiała już dyszeć ciężko przy każdym kroku. Stara, dobra [REDACTED]. Aż miło było pogłaskać tę pocziwą, wyliniała nieco psinę. Tata za to siedział na swojej wersalce. Trochę pijany i w niezbyt dobrym humorze. Ale nieważny był humor taty. Przyszedłam przecież obejrzeć małe pieski.

–Widzę, że [REDACTED] już urodziła – zagadnęłam.

–Ano urodziła – odpowiedział tata dość obojętnie.

–To gdzie są te małe pieski? – wraz z tym pytaniem zaczęłam rozglądać się po pokoju w poszukiwaniu jakiejś starej kołdry, na której spodziewałam się je znaleźć.

–Piesków nie ma – głos znowu jakby głuchy, niezaangażowany.

Nawet nie chciałam drażnić szczegółów, bo żal wezbrał we mnie nagle. Choć może raczej nie był to żal, tylko wściekłość. Sama byłam w ciąży, więc emocje związane z małymi dziećmi, małymi pieskami i pewnie wszelkiego rodzaju małymi stworzeniami nosiłam wówczas na wierzchu.

–Zabiliście pieski?! – wykrzyczałam swoją pierwszą myśl, czy zresztą słuszną, dowiedzieć się wcale nie miałam.

Tata od razu zaprzeczył.

–Nie, nie zabiliśmy, [REDACTED] je przygniotła.

Wyjaśnienie taty wydało mi się głupie. Brzmiało jakoś mało prawdopodobnie.

–[REDACTED] przygniotła naraz wszystkie szczeniaki? - zapytałam ze złością, bo odpowiedź była przecież oczywista.

–No nie naraz. Codziennie wynosiliśmy jednego albo dwa. Po prostu je przygniatała.

–Zabiliście je – krzyknęłam, ale już ciszej, z uporem małego dziecka, które wie swoje.

–Przestań, przecież mówię ci, że nie zabiliśmy.

Tata wydawał się już mocno zniecierpliwiony. W ogóle tego dnia poczułam z tatą brak porozumienia. Byliśmy sobie obcy. Przyszedłam do taty w dobrym nastroju, a wyszedłam w beznadziejnym. Tata natomiast już na wstępie miał zły humor, a moja wizyta wcale mu go nie poprawiła. Wciąż jeszcze siedział na tej wersalce, a ja nie zdążyłam nawet usiąść. Za to [REDACTED] jak gdyby nigdy nic merdała sobie ogonem.

Czy tata mógłby zabić małe pieski? Nie byłam tego pewna. Może i on nie wpadłby na to sam. Ale mieszkali przecież u niego [REDACTED], co do których miałam różne podejrzenia. Zwłaszcza, że [REDACTED] nigdy [REDACTED] nie lubiła. Swego czasu przyprowadziła sobie nawet konkurencyjną suczkę. Ale tego dnia [REDACTED] gdzieś wyszli. [REDACTED] też chyba w domu nie było. A może po prostu spał i dlatego go nie zauważyłam. W każdym razie nie było

nikogo, kogo mogłabym spytać o szczeniaki [REDACTED]. Pozostało mi więc wyjaśnienie taty, w które trudno było uwierzyć. Zanim wyszłam, powiedziałam jeszcze tacie, co myślę o jego postępowaniu wobec [REDACTED]. Nawet jeśli ta niemłoda już psina rzeczywiście zadusiła swoje małe pieski, to i tak całą winę przypisałam tacie, bo nie traktował jej w ostatnim czasie zbyt dobrze. Wszystkie te emocje gromadzące się jakoś podskórnice u taty, znajdowały ujście właśnie w krzyczeniu na [REDACTED]. Niby nic takiego. Krzyknąć na psa, uderzyć go smyczą. Zwłaszcza że [REDACTED] była takim psem działającym często na nerwy, ciągle się drapiącym, włączającym pod nogi, kradnącym jedzenie ze stołu. Z wyliniałym z powodu pcheł grzbietem i ślepnącymi oczami z zaćmą, które stawały się coraz bardziej niebieskie. Może więc nawet ta biedna [REDACTED] usiadła raz i drugi na szczeniakach, z zamysłem ich uduszenia lub nie. Może i tak było. Ale tata nie był dobrym opiekunem [REDACTED], więc miał na to pośredni wpływ. Swoją opinię wyraziłam na głos. Że tata oczekuje pomocy od innych, a sam nie jest pomocny dla swojego psa. Że to nie jest w porządku zabić małe pieski. Coś w relacjach zgrzytnęło. Nie miałam już chęci odwiedzać taty. Wydał mi się tego dnia kimś obcym, nieprzyjaznym. Postanowiłam sobie, że nie będę przychodzić w najbliższym czasie. Jedynie o [REDACTED] myślałam często i nawet trochę za nim tęskniłam, ale nie mogłam do niego wpaść, bo to było równoznaczne z odwiedzeniem taty.

Mijały dni, tygodnie i miesiące, a wraz z ich upływem rósł dzidzius w moim brzuchu. Mała istotka miała się urodzić w styczniu, a ja bardzo chciałam przed porodem zobaczyć jeszcze morze. Postanowiliśmy więc wyjechać pod koniec listopada na krótką wycieczkę do Gdańska. Morze wydało mi się najtrafniejszą metaforą porodu. Fala za falą jak skurcz za skurczem. Gdy poddasz się ich rytmowi, nie ma już fal, nie ma już skurczy, jest tylko całość – morze i narodziny. Morze mogłoby niczym dobra doula koić niepokoje kobiet w ciąży, dawać im poczucie pełni i siły.

Dom, w którym mieszkaliśmy, należał do [REDACTED] koleżanki, a położony był w spokojnej dzielnicy Gdańska, w towarzystwie wielu tak samo wyglądających domów. [REDACTED] świetnie się tam bawił. W dziecięcym pokoju było sporo zabawek, w salonie duży telewizor, a do tego wszędzie dużo schodów i zakamarków. Spaliśmy na strychu, gdzie stało łóżko przeznaczone dla gości. I właśnie na tym strychu, gdy obudziłam się któregoś ranka, przypomniał mi się sen z ostatniej nocy. Sen był świeży, wręcz namacalny, więc od razu opowiedziałam go [REDACTED]. Śnił mi się [REDACTED]. Przestał jeść, nie pił już wódki. Musieli go karmić łyżeczką. A on chciał tylko coś do picia. I umarł. To było wszystko, co mi się z tego snu przypomniało. Sen był spokojny. Spokojny jak morze. Pięknie [REDACTED] odszedł w tym śnie.

–To musisz koniecznie iść po powrocie do taty i sprawdzić, jak tam się [REDACTED] miewa – [REDACTED] powiedział to, gdy tylko skończyłam ten sen opowiadać.

Cała ta historia ze snem była zresztą bardzo krótka, tak jak krótki był sam sen. Bez dramaturgii, bez akcji. Raczej ulotne wrażenie. Szybko o nim zapomniałam, bo do taty i tak się nie wybierałam. [REDAKTOR] co prawda nakłaniał mnie do odwiedzin. Zbliżały się przecież święta Bożego Narodzenia. Nie zamierzałam jednak łamać postanowienia. Wciąż miałam w sobie pretensje do taty o złą opiekę nad [REDAKTOR]. Brak odwiedzin z naszej strony uznałam za dobrą nauczkę. Niech nie wie, co u nas. Niech nie wie, że będziemy mieć dzidziusia. Ale cały mój plan przestał mieć sens kilka dni przed Wigilią, gdy [REDAKTOR] pojechał po choinkę na [REDAKTOR] rynek. Wrócił bowiem rzeczywiście z piękną choinką w ręku, a do tego z pozdrowieniami od ekipy ze [REDAKTOR] j. Spotkał ich gdzieś po drodze. Szli razem. Tata, [REDAKTOR]. A jak tam [REDAKTOR]? [REDAKTOR] umarł. Przestał jeść, nie pił już wódki. Musieli go karmić łyżeczką. A on chciał tylko coś do picia. I umarł. Kiedy dokładnie, nie pamiętali. Minęły już przecież ze trzy tygodnie. Ale to było jakoś pod koniec listopada. Na pogrzebie nie byli. Pochowała go opieka społeczna. Daleko gdzieś, na [REDAKTOR]. I gdy tak [REDAKTOR] relacjonował mi to spotkanie, płakałam nad [REDAKTOR] i nad tym, że nikt nie poszedł na jego pogrzeb. Jeszcze wtedy nie dotarło do mnie, że na [REDAKTOR] to pewnie rzadko chodzi się na pogrzeby. Życie płynie z dnia na dzień. Ciągłe trzeba starać się przeżyć kolejny dzień. Zdobyć jedzenie, papierosy, royal. Kto by miał czas, żeby iść do opieki i dowiedzieć się o pogrzeb. Nad tym chyba najbardziej płakałam, bo tak trudno było wyobrazić sobie, jak tę trumnę wkładają do ziemi, a dookoła nie stoi nikt oprócz grabarzy.

–Płacz, płacz, pewnie jesteś jedyną osobą, która płacze po [REDAKTOR] – [REDAKTOR] powiedział to raczej wesoło.

Bo właściwie nad czym tu płakać? Przecież umarł spokojnie. Oczyszczył ciało z wódki i z jedzenia. Odszedł tak, jak i żył w ostatnich latach. Skromnie i z pokorą. Tata dowiedział się więc, że niedługo urodzi się nam dzidzius, a myśmy dowiedzieli się, jak odszedł jego najlepszy i najwierniejszy współlokator.

Wszy

Tego dnia tata przyszedł jak gdyby nigdy nic. Wyglądał całkiem przyjemnie. Włosy dłuższe, niezbyt przepity. Siedzieliśmy, rozmawialiśmy. Spotkanie ciekawe, bo przyszła też akurat moja mama. Śliczna i zawsze zadbana ekszona. I nigdy niepijąca. Atmosfera wydawała się przyjemna, choć jak się potem miało okazać, nie dla wszystkich. Tata rzeczywiście dosyć małomówny tego dnia, jakby w lekkim przyczajeniu. Pewne zachowania ludzi stają się dla nas wyraziste dopiero po czasie. To przyczajenie, takie lekko wyczuwalne napięcie dostrzeżliśmy

wieczorem, po południu ta małomówność była najoczywistszą sprawą, jeśli chodzi o tatę. Niby nierozmowny jakiś, ale jeden temat to chętnie poruszał. Pierwszy raz zapytał krótko po przyjściu.

– [REDAKTOR] a mógłbyś mnie ostrzec?

– Jasne, nie ma sprawy. W wojsku strzygłem całą kompanię.

Tata uśmiechnął się. Też był przecież w wojsku. Podobne wspomnienia łączą, a chłopaki lubią opowiadać sobie wojskowe historie. Niby wojsko to kiepska sprawa, ale jako wspomnienia zyskuje na wartości i staje się barwnym okresem w młodzieńczym życiu. To zresztą właśnie wtedy, gdy tata był w armii, moja babcia [REDAKTOR], przeżywając zapewne to symboliczne odejście swego jedyne dziecko w dorosły świat, wyjęła w trakcie przysięgi piersiówkę i wydudniła jednym łykiem. Może to był ten pierwszy raz, gdy wypiała nie w trakcie przyjęcia lub rodzinnego spotkania, kiedy wesołość chwili, jej beztrudne trwanie sprzyja wspólnemu wypiciu kieliszka, lecz wobec silnych emocji. Co czuje matka, której jednak zostawia za sobą rodzinny dom i matczyną opiekuńczość, by ruszyć na poznanie świata mężczyzn. Targały pewnie babcia przeróżne uczucia. Zresztą to nie tak ważne, by wiedzieć, kiedy po raz pierwszy zalała ona wódką swój smutek i lęk, zwłaszcza, gdy wie się, kiedy zrobiła to po raz ostatni. Rozmowa o wojsku oddaliła jednak strzyżenie.

– Tak, całą kompanię...

I zależnie od humoru [REDAKTOR] chodziła ta kompania różnie przystrzyżona. Jedni krócej, inni dłużej. Niektórzy bardziej fantazyjnie, na przykład z minirokezem. Sami zainteresowani woleliby raczej bardziej tradycyjnie – na zero. Długo tak nie chodzili. Łapali zaraz za żyłki i dostrzygali się sami w kiblu. Wchodzą w ucho te wojskowe historyjki. Choć samo wojsko wydaje się być idiotyzmem, to opowieści o nim nie są wcale takie głupie. Oczywiście trzeba trafić na kogoś z talentem opowiadania. Zazwyczaj słyszy się ciągle to samo – o szorowaniu kibla szczoteczką do zębów albo zbieraniu sznurówką wody z podłogi. A są i historie niesztampowe. Dajmy na to o specjalistach od połykania dziwnych przedmiotów. Taka opowieść od razu skłania do refleksji. Determinacja to czy najzwyczajsza w świecie głupota, żeby samemu zadawać sobie ból i okaleczać swe ciało tylko po to, by dostać się do wojskowego szpitala? Owszem, przebywa się przez jakiś czas w lepszych warunkach, lepsze jedzenie dostaje, ale cała taka akcja kończy się sądem wojskowym. Połykają więc ci specjaliści różne przedmioty, najczęściej te ostre i niebezpieczne, które trzeba potem wyciągać operacyjnie. [REDAKTOR] też się trafił taki jeden, któremu zlecił umycie podłogi. Gdy po kilku minutach wrócił na kontrolę, wiadro nie miało już uchwytu. Specjalista poradził sobie z nim bez trudu. Pochłoniął pałak niczym wąż połykający w całości swe ofiary. I tak jak wąż po posiłku musi odpocząć, by strawić zjedzoną właśnie

zdobycz, a jego ciało rozszerza się elastycznie, uwidaczniając kształt przełykanego pokarmu, tak samo i nasz specjalista potrzebował natychmiast odpoczynku, gdy uchwyt od wiadra uwypuklił się wyraźnie w jego brzuchu. Historie snują się prawie same, dobrze się ich słucha, dobrze opowiada, ale i czas napełnić kieliszek taty. Gdy tata do nas przychodził, to od razu stawało się jasne, że trzeba by razem czegoś się napić. ■■■■■ kupował więc jakąś dobrą wódkę. Jak wódka się kończyła, to wyciągaliśmy z szafko-spiżarni nalewkę propolisową. Zrobiliśmy kiedyś kilka małych buteleczek tego specjału, gdy w nasze ręce wpadł słoiczek propolisu. Miały być używane po rozcieńczeniu w celach zdrowotnych. Ostatecznie wszystkie nasze propolisówki zainwestowaliśmy w zdrowie taty. Te nalewki to była straszna siekiera – czysty spirytus i czysty propolis. Tata wspaniale po tym pachniał. Jakby właśnie wyszedł po dniówce w zielarni. Zawsze gdy mu to serwowaliśmy, wyobrażałam sobie, jak ta mikstura oczyszcza go z wszystkich chorób. I może rzeczywiście oczyszczała. Z wszystkich z wyjątkiem alkoholizmu. Ale tamtego dnia tata pił sam i to chyba wcale nie nasz domowy wyrób. A wraz z kolejnym kieliszkiem powróciła sprawa strzyżenia.

–To co, ■■■■■, ostrzyżesz mnie?

–No ostrzygę, ostrzygę... Ale już teraz?

Tata nie zdążył odpowiedzieć, choć pewnie marzył o tym „już teraz”. Nie zdążył, bo postanowiłam stanąć w obronie jego włosów.

–Tata, ale po co ty w ogóle chcesz się strzyc? Masz naprawdę ładną fryzurę. Dobrze ci w takich dłuższych włosach. – Mówiąc to, zaczęłam gładzić go po głowie. Rzeczywiście ładnie mu się układały. W dotyku trochę cienkie, ale przyjemne, spływały delikatnie na szyję. Nie mogłam zrozumieć, po co je obcinać. Chciałam jeszcze tylko przekonać o tym ich właściciela: –Tato, nie rób tego. Głupio będziesz wyglądał w przystrzyżonych włosach.

Do rozmowy wtrąciła się mama: –■■■■■, posłuchaj nas, nie ścinaj się. W krótkich źle wyglądasz, bo ty taki chudy i wysoki jesteś. Takie dłuższe lepiej ci pasują. Jakiś wygląd przyzwoity masz. ■■■■■ też nas poparł, więc sądziłam, że jesteśmy coraz bliżej skłonienia taty do zmiany decyzji. Przedwcześnie się ucieszyłam, dotykając mu jego włosów, układając, prezentując wszystkim i zachwalając ich jakość, gdy nagle odepchnął moją rękę i uciął całą rozmowę jednym zdaniem: –Zostaw, chcę mieć obcięte i już. Jak tata się uparł, to nie było już o czym rozmawiać. Trudno, chce widocznie głupio wyglądać, w końcu to jego sprawa. Pogadaliśmy jeszcze trochę. Tata siedział wciąż w niezmienionej pozycji, w tym lekkim napięciu, dopóki ■■■■■ nie zaproponował mu strzyżenia.

–To idziemy do łazienki się strzyc?

–O tak, tak – tata trochę się ożywił.

Łazienka w tamtym mieszkaniu była raczej nieduża, ale taboret zmieścił się dokładnie na jej środku, pomiędzy toaletą, pralką i wanną, dokładnie pod żarówką. ■■■■■ spokojnie przygotowywał swoje fryzjerskie narzędzia. Nożyczki, maszynka do strzyżenia.

–Jak mam ciąć? Zupełnie na krótko?

–Na krótko – odpowiedział tata, a po chwili dodał jeszcze: – ■■■■■, ale załóż może rękawiczki. Pewnie wtedy uszło z niego część napięcia.

–Rękawiczki do strzyżenia? – ■■■■■ był wyraźnie zdziwiony – No to głowa do przodu.

Maszynka zaczęła jechać od tyłu głowy, ścinając po drodze włosy, a wraz z nią, a raczej przed nią, rozpoczęła się ucieczka małych, czarnych stworzeń. Wyglądało to niczym wędrówka ludów w dużym pomniejszeniu, a jednocześnie dużym przyspieszeniu. Taka komputerowa wizualizacja. Niesprzyjające czynniki nadchodzą z południa, więc wszystkie osobniki w pełni sił witalnych przemieszczają się na północ. Ludzie robili to zazwyczaj trochę wolniej, bo i powody migracji w dziejach ludzkości nie były tak nagłe. A elektryczna maszynka pojawiła się w ciągu paru chwil na karku, tam, gdzie skóra jest najbardziej miękka, gdzie wszom żyje się najlepiej. I rzeczywiście żyło im się do tamtego momentu bardzo dobrze. Wędrowały sobie, zakładały gniazda, tata nie sprawiał im kłopotu, bo włosów nie miał gdzie zbyt często myć. Mogły więc hulać do woli i powiększać swoje szeregi. W ogóle udało im się osiągnąć spore rozmiary, zarówno pojedynczych osobników, jak i całej swej gromady. Co prawda kosztem samopoczucia taty, ale tym to one raczej się nie zajmowały. Aż do owego wieczoru, gdy z powodu jednego ruchu maszynką na głowie taty rozpoczęła się niespodziewana walka o przetrwanie. Nie pierwszy raz spoglądał ■■■■■ na zawszoną głowę, jednak nawet jego widok ten zszokował. To już nie była zwykła wszawica, kiedy to małe stworzonka łązą po skórze, składają jajka i wypijają trochę krwi człowieka, u którego koczują. U taty wszy rozpasły się do monstualnych rozmiarów, a spore ich zagęszczenie na centymetrze kwadratowym głowy sprawiło, że gnieździły się w wielkich skupiskach, okaleczając przy tym swego żywiciela. Nic dziwnego, że gdy ■■■■■ je zobaczył, to wyrwało mu się z ust najpowszechniejsze polskie słowo, choć w jego wydaniu brzmiące bardzo rzadko.

–Kurwa, przecież to są wszy?!

–Cicho, nie mów może Karolinie... – tata chciał jak najszybciej uciszyć ■■■■■, żeby ta kłopotliwa sprawa nie wyszła poza tę małą łazienkę i rozegrała się ostatecznie pomiędzy nimi dwoma, maszynką do strzyżenia i oczywiście całym zastępem wszy. Jednak do moich uszu doleciało już owo banalne słowo „kurwa”, o ile swojsko brzmiące wśród pobratymców taty, o tyle zadziwiające w ustach ■■■■■. Tym prędzej otworzyłam więc bez pukania drzwi łazienki. Tata siedział przygarbiony na taborecie, taki skruszony. Głupia sprawa. Z jednej strony wiedział,

że tylko na nas może liczyć i my z pewnością pomożemy mu pozbyć się nieproszonych towarzyszy. A z drugiej strony nie miał jednak odwagi, żeby już przy wejściu przyznać się do ich posiadania. Gdybyśmy wtedy mu odmówili, to już nie miałby na kogo liczyć. Zaryzykował więc. Głupia sprawa i dla niego, i dla nas też. Pozostało takie cierpkie uczucie, że tata jednak nie do końca nam zaufał i przy okazji zawiódł również nasze zaufanie. Ale widząc pole bitwy rozgrywającej się na jego głowie, nie sposób właściwie było się mu dziwić. I gdy tak spojrzałam na tatę siedzącego na tym taborecie dokładnie pod świecą jasno żarówką, to od razu poczułam swędzenie na głowie. Nie tylko zresztą ja. Poczuli też moja mama i poczuł [REDAKTOR]. Mama nawet nie próbowała tego ukryć i od razu zaczęła się drapać. Wyobraźnia podawała każdemu z nas obrazy tych chwil, gdy siedząc lub stojąc przy tacie, znaleźliśmy się być może zbyt blisko jego głowy. A biorąc pod uwagę, że myśli w ludzkim umyśle niejednokrotnie zdają się być żywsze niż codzienna rzeczywistość, założyć mogę, że w tamtym momencie każdy z nas choć przez chwilę skupił uwagę tylko na swojej głowie. Nikt z nas jeszcze wtedy nie wypowiedział tego na głos, bo póki co trzeba było działać i pozbyć się wszy z głowy taty. [REDAKTOR] wycinał maszynką kolejne rzędy włosów, a wraz z nimi ich natrętnych mieszkańców. Mama pobiegła do apteki i wróciła z szamponem i gęstym grzebieniem, który okazał się co prawda nieprzydatny, bo w ciągu paru minut za sprawą [REDAKTOR] tata zmienił wygląd. I to niestety zmienił radykalnie – z romantycznego poety alkoholika na typowego łódzkiego chachara. Odetchnął jednak z ulgą, choć świecił łysą jak kolano i do tego nieźle poharataną głową. Patrząc na jego pokaleczoną skórę, nietrudno było domyślić się, jak duża musiała to być ulga. Tata przeprosił nas i poszedł do siebie uspokojony. My zaś zostaliśmy z tym niewypowiedzianym wcześniej niepokojem. Właściwie przestaliśmy już skrywać te myśli, by móc wreszcie porządnie się podrapać.

Następnego dnia mama i [REDAKTOR] zastosowali jakieś chemiczne szampony, a ja postanowiłam poczekać. Po dwóch dniach i kilku przeglądach mojej głowy zrozumiałam, że wszy nie mam. Mogłam wreszcie wyjść z domu. Wybrałam się więc do najbliższej mieszkających znajomych. Przyjemny, krótki spacer, potem przyjemna, krótka wizyta. O przygodzie z wszami nie wspomniałam. Gdy wychodziłam, [REDAKTOR] postanowili mnie odprowadzić. Głowa mnie już nie swędziła. Aż miło się szło bez potencjalnych wszy. Byliśmy już prawie przy wejściu do mojej klatki schodowej, gdy [REDAKTOR] spytała:

–Karolina, czy ty wiesz, jakie wielkie mogą być wszy?

Poczułam nagle znieruchomienie. A więc jednak je mam i teraz [REDAKTOR] widzi tę wielką wesz na mojej głowie. Ale już po chwili przyszła refleksja, że przecież [REDAKTOR] wcale nie patrzy jakoś badawczo na moje włosy.

–Nie, nie wiem. Jakie? – sama zdziwiłam się własną odpowiedzią, bo uważałam się dotąd za osobę prawdomówną.

–██████████, opowiedz jej...–██████████ zwróciła się do swojego chłopaka.

██████████ pracował wówczas jako ratownik medyczny w łódzkim pogotowiu. Zaczął więc snuć opowieść o swojej pracy w karetce, gdy każdego dnia musi jeździć do bezdomnych, u których aż widać kłębiące się pomiędzy rzadkimi włosami tabuny wszy.

–Straszne są te wszy, wielkie, wypasione. Nie wiem, po co my wsadzamy tych pijaczków do karetki. Ludzie dzwonią na pogotowie, bo jakiś menel się przewróci i leży zakrwawiony. A potem oni zostawiają po sobie to robactwo.

██████████ prezentował pewnie typową postawę medyków pracujących wśród łódzkiej biedoty. Wtedy jednak zupełnie mnie to nie rozdrażniło. Zaciekawiała mnie raczej sprawa samych wszy.

–I nie boisz się, że one przejdą na ciebie? – zapytałam z najszczerzym zainteresowaniem.

–No właśnie trochę się boję. Po każdej takiej akcji mam później wrażenie, że wszystko mnie swędzi.

W pełni go rozumiałam. Jeszcze chwila rozmowy i pożegnaliśmy się przy drzwiach do klatki. Pomachałam im zresztą z radością, bo już od kilku minut myślałam tylko o natrętnym swędzeniu. Biegąc po schodach, drapałam się z ulgą po głowie.

Wizyty

Tata odwiedzał nas na ██████████ dość nieprzewidywalnie. Czasem nie przychodził przez pół roku, a potem wpadał co tydzień, zawsze zresztą bez zapowiedzi. Domofon.

–Halo?

–██████████.

I tata wchodził. A wchodził w różnym stanie. Pewnego dnia przyszedł z taką twarzą, że prawie go nie poznałam. Krew lała się po czole, nosie, i spływała aż do brody. Nawet nie miał sympatycznego wyrazu twarzy. Choć z reguły tata był do wszystkich przyjaźnie nastawiony, to tego dnia raczej nie. A tu akurat siedziała znajoma z dziećmi. ██████████ patrzyli na niego ze zdziwionymi i lekko wystraszonymi minami. ██████████ natomiast dziadek przerażał niezależnie od tego, czy sączyła mu się po twarzy krew. Jedynie ██████████, jak każdy zanurzony w swoim świecie kilutygodniowy człowiek, nie wykazała żadnego zainteresowania twarzą mojego taty. Przesunęłam więc gości do jednego pokoju, a tatę do kuchni. Chyba nawet nie chciałam z nim wtedy rozmawiać. Uznałam, że taka twarz to jednak przesada. A tata był

zmęczony, rozdrażniony i pewnie gdzieś w środku upokorzony. [REDAKTOR] przywaliła mu w głowę [REDAKTOR]. Tata zresztą niechętnie o tym opowiadał.. Trzeba to było z niego wyciągać. A kto? A jak? A gdzie? On tylko machał ręką. W ogóle tata nie należał do rozmownych. Nie ujawniał też swoich emocji. Tamtego dnia wydawał się wyjątkowo nieprzystępny.

Innym razem przyszedł w kapciach. Te kapcie nas trochę zdziwiły.

–Tato, nie założyłeś butów.

A tata, jak gdyby nigdy nic: – Och, wyszedłem w kapciach, bo tak się zdenerwowałem, że musiałem aż wyjść.

Dziwna ta odpowiedź, bo tata nie miał w sobie takiej porywczosci, która zmuszałaby człowieka do trzaśnięcia drzwiami i natychmiastowego wyjścia, by uniknąć ataku szału. Może po prostu trudno mu było się przyznać, że on do tego wyjścia został zmuszony. Upokarzające jest przecież dla faceta ujawnienie, że terroryzuje go baba. Wszystko brzmiało dużo lepiej w takiej wersji: „[REDAKTOR] coś tam marudziła, wkurzyłem się i wyszedłem”. I tak to tata w kapciach wylądował u nas.

–Tato, a ty coś chcesz, czy tylko tak przyszedłeś?

–Tylko tak wpadłem... – odpowiedź taty wydała mi się nieszczerą, po jakimś czasie ponowiłam więc moje pytanie. Po którymś razie tata wreszcie odezwał się szczerze:

–Wiecie co, ja bym bardzo chciał się u was położyć.

Odpowiedź najbardziej zadziwiająca z możliwych. Podejrzywałam, że będzie chciał się napić, albo że poprosi o drobne na papierosy i royal. Nie sądziłam jednak, że przyszedł do nas, żeby móc się w spokoju wypaść.

–Chcesz iść spać? – zapytałam z lekkim niedowierzaniem.

–Mogę się położyć nawet na podłodze.

Tacie najwyraźniej bardzo zależało na chwili odpoczynku. [REDAKTOR] zabrał się za dmuchanie materaca. Na podłodze nie kazałabym mu spać, ale do łóżka to bym go raczej nie położyła. Zresztą tata był z materaca bardzo zadowolony. Do tego koc, zasłonięte zasłony, zamknięty pokój. Pewnie już od dawna tata nie spał tak spokojnie. Wreszcie bez współtowarzyszy, z [REDAKTOR] na czele.

Tata spał już od jakiejś godziny, gdy do drugiego pokoju dotarł dym z papierosa. Spojrzeliśmy na siebie zdziwieni. Tata u nas pali? Przecież wie, że można tylko na balkonie. Gdy weszliśmy do sypialni, dostrzegliśmy tatę leżącego na materacu, który nie do końca powróciwszy ze świata snu do świata jawy, strząsał właśnie popiół na nasze łóżko. Tata obudził się w ciemnym pokoju i sądząc, że jest u siebie, zrobił to, co zawsze po przebudzeniu – zapalił

papierosa. Na wyciągnięcie ręki powinien być stół. A tam ani stołu, ani własnego łóżka. Za to my staliśmy w drzwiach i z pretensją gasiliśmy mu fajkę.

Mydło

Od czasu przygody z wszami ostrożniej podchodziliśmy do goszczenia taty. Zmęczyły mnie te niespodziewane wizyty. Zamiast odbierać domofon, szłam na balkon, by sprawdzić, kto dzwoni. Chyba nawet raz postanowiłam go nie wpuszczać. Gdy tata zjawił się za którymś kolejnym razem, był w dobrej formie, do tego jeszcze trzeźwy. Targał ze sobą jakąś reklamówkę. Posadziliśmy go tradycyjnie w kuchni. Miła rozmowa, picie herbaty. Nie mogłam się jednak powstrzymać, by nie zadać stałego już w ostatnim czasie pytania o cel wizyty.

–Tato, a potrzebujesz czegoś, czy tylko tak wpadłeś?

–Nic nie potrzebuję – tata odpowiedział lekko zirytowany.

–Na pewno? – trudno było mi w to uwierzyć, choć tata brzmiał dosyć szczerze.

–Tak, no przecież mówię.

Wróciliśmy więc do naszej miłej rozmowy, która jakoś tak się potoczyła, że niezbędna stała się tacie jego reklamówka. Sięgnęłam ją więc, by mu podać, i dostrzegłam w niej mydło. Nie takie zwyczajne, współczesne mydło. Było ono co prawda w prostokątnym opakowaniu, z papieru, jak to mydła. A skoro w opakowaniu, to nieużyte, jeszcze nowe, choć od razu dostrzec było można to, że było ono po prostu stare. Chwyciłam je prawie z zachwytem. Mydło tatarowo-chmielowe. Rok produkcji 1977. Przecież to prawie muzealny rekwizyt.

–Co to jest, tato? – krzyknęłam, wcale nie interesując się tym, w jakim celu tata przyszedł do nas z mydłem.

A tata wystraszył się, że odkryłam jego plan. Machnął ręką, lekko zakłopotany.

–Ach, chciałem się u was wykąpać. Ale nic nie potrzebuję. Mydło mam, coś do wytarcia też – tata usiłował się jakoś wytłumaczyć.

Mydło tata miał. I to jakie! Zapomniałam nawet o tym, że tata po raz kolejny nas okłamał. Moje myśli omotało to wiekowe mydło.

–Tato, to mydło ma 30 lat. I ty chcesz je zużyć? – nie dawała mi spokoju sprawa tego mydła.

–Dlaczego miałbym nie zużyć? – tata nie mógł pojąć mojego zaaferowania.

–Może sprzedaj je do muzeum.

Tata uśmiechnął się.

–Dobrze, dobrze, sprzedam później, bo mam jeszcze w domu ileś takich samych, a tym to chciałyby się umyć. To co, mógłbym?

–Możesz się wykąpać, ale powiedz jeszcze, skąd ty je masz.

–No skąd? Z klejby – tata odpowiedział, jakby było to zupełnie oczywiste.

A więc z klejby. Aż kusilo, by stworzyć w głowie wyobrażeniowy ciąg wydarzeń. Kto wyrzucił te mydła? I dlaczego trzymał je przez 30 lat? Tata natomiast podszedł do sprawy bardziej pragmatycznie. Znalazł mydła. A mydła, jak powszechnie wiadomo, służą między innymi do mycia ciała. Postanowił więc wykorzystać je zgodnie z przeznaczeniem. Wcale nie zamierzaliśmy mu odmawiać tej przyjemności kąpania się w ciepłej wannie. Tata wyszedł z wody taki czysty i odnowiony, że aż przykro było patrzeć na jego stare ubrania. Mirek odstąpił mu więc swoje zielone spodnie ogrodniczek i czysty podkoszulek. Tata wyraźnie odmłodził. Jeżeli spotkałby wszędobylską panią [REDACTED] mieszkającą na tym samym piętrze naprzeciwko naszego mieszkania, zagadką pozostałoby dla niej, dlaczego w ciągu dosyć krótkiego czasu odwiedziło nas dwóch mężczyzn w różnym wieku [REDACTED]

Chłopak [REDACTED]

Po jakimś dłuższym czasie niewidzenia tata znowu wpadł do nas. Chociaż może „wpadł” to nie jest dobre słowo w przypadku taty. Wpada się szybko, czy raczej żwawo, z werwą. A tata to raczej się toczył, powolutku, [REDACTED]
[REDACTED]. Spacer z tatą był prawdziwym spacerem w starym stylu. Powoli, niespiesznie. Był czas na refleksję i na rozmowę. Tata przystawał, przeszukiwał swoje kieszenie. Najczęściej szukał kiepów. Z reguły miał ukryte w kieszeniach jakieś resztki fajek. I dobrze, że ukrywał. W domu była przecież konkurencja. [REDACTED], różni przewijający się ludzie, trzeba było się dzielić. A w kieszeni zawsze czekał na niego jakiś papieros, albo przynajmniej pół. Wyrzebał, zapalił. Od razu lepiej się paliło, gdy inni nie wrywali z ręki. Przystawał tata nie tylko na papierosa, ale i na rozmowę. Szliśmy niby razem, ale wystarczyło, bym go o coś spytała, a on już się zatrzymywał, zaczynał odpowiadać, tłumaczyć, poprawiać kulę. Wspaniałe przyzwyczajenie ludzi żyjących w swoim własnym czasie. Do pracy nie trzeba się spieszyć, ani po zakupy, ani nawet do domu. Taki spacer z tatą uspokajał, zwalniał moje tempo. Szliśmy [REDACTED] jedną albo dwie przecznice, ale dla taty to już było daleko. A przyście do nas na [REDACTED] była wyprawa. Najpierw trzeba było

dojść do tramwaju, a stopnie w tramwaju wysokie, więc ciężko wejść. Człowiekowi [REDACTED] zawsze ktoś miejsca ustąpił. Tylko jak tu usiąść, [REDACTED]. Ale jak się już tacie udało z domu wyprawić, to wtedy do nas wpadał. Jak już przyszedł, to zawsze siadał na tym samym taborecie z daleko wyciągniętą nogą. A na tej drugiej od razu siadała [REDACTED]. Mogli tak siedzieć razem dość długo. Tata był w ostatnim czasie taki zmęczony, utrudzony brakiem spokoju we własnym mieszkaniu. Chcieliśmy ten temat trochę podrażnić, choć tata zwyczajowo o swoim życiu mówił niechętnie.

–Tato, a ta [REDACTED] to dalej taka agresywna? – zaczęłam moje dochodzenie.

–Oj, ty znowu z tymi pytaniami... – tata zawsze reagował zniecierpliwieniem na pytania dotyczące jego domu.

–Powiedz, tato, my ci pomożemy. [REDACTED] też cię bije?

–[REDACTED] to przecież dawno nie żyje.

–[REDACTED] nie żyje? – i mnie, i [REDACTED] zszokowała ta rzucona ot tak sobie odpowiedź taty.

[REDACTED], chłop z wyglądu zdrowy i żywotny. Trochę grubszy, o pogodnym wyrazie twarzy. Typ wesołego misia. Często budził się wczesnym rankiem i, nie mając nic lepszego do roboty, sprzątał mieszkanie. Szorował szafki w kuchni i wielką wannę. Putzwahn. Takie trochę nałogowe sprzątanie. W tym drugim pokoju, gdzie mieszkali [REDACTED], było wszystko poukładane, wyczyszczone. [REDACTED] zawsze o to dbał. Długo podejrzewałam go, że to właśnie on bije tatę i [REDACTED]. Podejrzewałam go właściwie do tej chwili, gdy tata odpowiedział, że [REDACTED] nie żyje. Taki byczek, myślałam, to pewnie próbuje na nich rozładować nadwyżki energii. A później tylko na tacie, bo [REDACTED] już nie żył od jakiegoś czasu. A teraz nie żył też [REDACTED]. I co dziwne, tata w dalszym ciągu chodził umęczony i poobijany.

–Co się stało [REDACTED]? – pytanie to padło bez watpienia, choć nie do końca jestem pewna, czy z [REDACTED], czy z moich ust.

–Zawał jakiś albo wylew. A dokładnie to nawet nie powiedzieli – tata wyjaśnił dosyć obojętnie i dodał jeszcze, że [REDACTED] zmarł w nocy, więc jak rano się obudzili, to on już po prostu nie żył. Pomyślałam ze współczuciem o [REDACTED]. Tyle lat byli razem, to pewnie przeżyła to mocno.

–A [REDACTED] jak? Ciężko jej było?

–Eh...– tata tylko jęknął – ona już dawno nowego chłopaka ma.

–[REDACTED] już ma nowego chłopaka? – znowu mocno się zdziwiliśmy.

Teraz pomyślałam ze współczuciem o [REDACTED]. Tyle lat spędził z tą kobietą, a ona tak szybko o nim zapomniała.

–Co to za chłopak?

–Taki młody...

Kolejne zdziwienie, chyba jeszcze większe niż poprzednie. ■■■, kobieta raczej mało atrakcyjna i fizycznie, i umysłowo, prująca się o byle co, za kołnierz nie wylewająca, ma nowego chłopaka – młodego.

–To on chyba dużo pije – raczej stwierdziłam niż zapytałam.

–W ogóle nie pije.

To ostatnie zdanie taty sprawiło, że już było trudno tego chłopaka sobie wyobrazić. Młody, nie pije i jest z ■■■.

–To on musi być pierdolnięty – wyrzuciłam z siebie rozwiązanie tej zagadki.

–Oj, przesadzasz, normalny jest – tata jednak stanął w obronie chłopaka, a tym samym uciął moje dociekania.

Kilka dni później postanowiliśmy odwiedzić tatę. Mieliśmy dla niego trochę ubrań. Pewnie kupiliśmy mu też coś do jedzenia, jak prawie zawsze. Będąc już blisko kamienicy pod numerem ■■■, usłyszeliśmy dochodzące stamtąd krzyki. Niosły się gdzieś z wysokości. Odruchowo zadarliśmy głowy do góry. Fajtały nad nami nogi mężczyzny siedzącego dość wysoko na okiennej framudze. Z głębi mieszkania dolatywał zdarty, kobiecy głos, choć może należałoby powiedzieć zdarty, babski głos.

–Chcesz, kurwa, to skacz!

Szybkie przeliczenie pięt i wszystko stało się jasne. Facet miał skakać z mieszkania taty. Młody był rzeczywiście. Ci starsi ze ■■■ nie przerzuciliby tak nóg za okno. Prawie wszyscy albo kuśtykają, albo kuleją, albo mają nogi zsiniałe i sztywne. Musiał więc być młody. Ten nowy chłopak. Chłopak ■■■.

Tego dnia nie weszłam na górę do taty. Nie chciałam poznać chłopaka siedzącego na framudze. „Chcesz, kurwa, to skacz!” – brzmiało mi jeszcze w głowie.

Kłopoty taty

Tata był coraz bardziej zmęczony. Fizycznie i psychicznie. ■■■ sprowadzała do mieszkania jakichś młodocianych, zapijaczonych dresiarzy. A tacy młodzi to zawsze gorsi niż starzy porządni pijaczkowie. Tamci to mieli swoje zasady, moralny kodeks, którego się trzymali. Nie okradało się swoich. Nie zaczepiało sąsiadów. Młode wyrostki nie znają już starych reguł. Nawet nie wiem, czy ci młodzi z tatą rozmawiali. Może tylko wchodzili do pokoju ■■■, a taty

po prostu nie zauważali. Jedno było pewne – tata nie czuł się dobrze we własnym mieszkaniu. Nie było już jego starej ekipy. Wcześniej, jeszcze z [REDAKT], to żyli sobie powoli. Powoli pili. A potem [REDAKT] umarł. [REDAKT] umarł. [REDAKT] też. Teraz [REDAKT] przejęła pałeczkę, zaczęła spraszać swoich ludzi. U taty w mieszkaniu zrobił się tramwaj. Ciągłe ktoś wchodził i wychodził. Chaos. [REDAKT] krzyczała i puszczała głośną muzykę. Cała ta atmosfera nie była w stylu taty. Postanowiliśmy więc mu pomóc. Pojawił się nawet zarys planu działania. Tatę mieliśmy oddelegować do szpitala na odwyk. Żeby choć trochę przestał pić, zrobił przerwę, odpoczął, najadł się i nie myślał już więcej o swoich współlokatorach. A my w tym czasie chcieliśmy wyrzucić [REDAKT] z jej hałastrą z mieszkania taty. Grzecznie, ale zdecydowanie. Mieliśmy nawet przygotowane wyjaśnienie dla [REDAKT]. Tata wyjechał, my teraz będziemy to mieszkanie remontować. Adieu. Plan przedstawiliśmy tacie do zatwierdzenia. Gdy usłyszał o naszym pomysle, od razu ściszył głos. Z przerażenia, że [REDAKT] mogłaby się dowiedzieć. Widać było też, co prawda, zadowolenie, że może na nas liczyć, ale górę wziął lęk i brak wiary w naszą skuteczność eksmitowania nieprzyjaznych typów. Cała sprawa przycichła więc na jakiś czas. Jednak za każdym razem, gdy spotykaliśmy tatę, widzieliśmy na jego twarzy wyrażenie rysujące się zmęczenie. W domu taty źle się działo, a nam nie dawało to spokoju. Wciąż rozmyślaliśmy nad różnymi sposobami uwolnienia taty od [REDAKT]. Sprawa się przeciągała. Głównie z tego powodu, że nie mieszkaliśmy już w Łodzi. Przyjeżdżaliśmy tu średnio raz na miesiąc, półtora i zostawaliśmy przez jakiś tydzień, co nie pozwalało nam zbyt wiele czasu poświęcić na problemy taty. Aż wreszcie tata otrzymał nakaz eksmisji. Miał się wynieść z tego dużego mieszkania do jakiegoś lokalu socjalnego, czyli małej klity bez wygód. Dowiedzieliśmy się o tym chyba od mojej mamy, która od czasu do czasu odwiedzała swojego byłego męża. Częściowo z własnej chęci, częściowo w zastępstwie nas. Choć początkowo wydała nam się ta wiadomość przybijająca, to dość szybko uznaliśmy, że zwiastuje ona ratunek dla taty. Miał się przecież przenieść do jakiejś małej dziupli, więc oczywiste wydało nam się, że [REDAKT] nie przeprowadzi się tam wraz z nim. Na wypadek gdyby sama na to nie wpadła, zamierzaliśmy jej to uświadomić. Przy kolejnym pobycie w Łodzi chcieliśmy tę sprawę wreszcie zakończyć. Odwiedziliśmy więc tatę, który siedział jak zwykle na swoim łóżku i jak zwykle niechętnie odpowiadał na nasze dociekliwe pytania. A pytania aż cisnęły się na usta, bo tata miał straszliwie zgruchotaną rękę. Pewnie nawet złamaną. Musiała [REDAKT] dość mocno uderzać w nią [REDAKT]. To ciekawe, że ten sam przedmiot – [REDAKT] – mógł mieć tak różne zastosowania. [REDAKT]. W rękach [REDAKT] zaś zamieniała się w narzędzie kata. Raz więc tata używał jej czynnie, a raz biernie. Bierność okazywała się zresztą dużo bardziej męcząca. Nasza nasilająca się w ostatnim czasie niechęć do [REDAKT] osiągnęła

wówczas punkt krytyczny. Sprawa była dla nas oczywista. Musimy [REDACTED] wywalić przy okazji przeprowadzki. Znowu przystąpiliśmy do przekonywania taty.

–Tato, nie bój się, musisz się pozbyć [REDACTED].

Jednak tata aż kulił się w sobie.

–Tylko nic jej nie mówcie, bo będzie jeszcze gorzej – odpowiadał ściszym głosem.

Z wizyty na wizytę tata coraz bardziej przypominał zastraszone zwierzę. Przerazały go nawet nasze pomysły. Wciąż próbował nas uciszać. Również wtedy, gdy [REDACTED] nie było w mieszkaniu.

Smutny to był widok. A im bardziej stawał się tata zaszczuty, tym mocniej chcieliśmy go wyratować z tej sytuacji. Tego dnia tata poprosił jedynie [REDACTED], by przyszedł za kilka dni i opatrzył mu nogi, na których powstały sączące się rany. Nogi, jak wiadomo, słaby punkt u alkoholików. Przez te parę dni wciąż rozważaliśmy sytuację taty. Tak, zaczęliśmy wtedy uważać [REDACTED] za wroga. Skoro nie udawało mi się przekonać o tym taty osobiście, pozostał jeszcze [REDACTED]. Do taty poszedł więc kolejnym razem sam. Miał mu to przedstawić po męsku.

Trafił jednak nie tylko na tatę, ale także na [REDACTED] do której nastawiony był raczej wojowniczo.

[REDACTED] już na początku musiała wyczuć jego nastrój, bo powiedziała grzecznie, wręcz uniżenie „Dzień dobry, panie [REDACTED]”. Pozostało zresztą to „dzień dobry” bez odpowiedzi, bo [REDACTED] uznał ostracyzm za świetny sposób na tego typu osobę – gadatliwą, krzykliwą, natarczywą i dążącą za wszelką cenę do towarzystwa. Nie odezwał się więc do [REDACTED] ani słowem przez całą wizytę. Zabawne było również to „panie [REDACTED]”. [REDACTED], mając tyle za uszami, postanowiła okazywać [REDACTED] pełen szacunek. I tak z formy „na ty” przeszła od razu do „pana [REDACTED]”. W ogóle zachowywała się jakoś nietypowo. Usłużna, miłutka, grzeczna. Minęła [REDACTED] i pomknęła z talerzem w stronę taty, który siedział na swoim łóżku, zwrócony w stronę stołu.

–[REDACTED], proszę, paróweczki...

Tata zabrał się czym prędzej do jedzenia. A [REDACTED] biegała między pokojem a kuchnią, usługując mu nienaturalnie grzecznie. [REDACTED], czy chciałbyś jeszcze chleba? [REDACTED], może to? [REDACTED] może tamto? [REDACTED] aż zaniemówił. Cały nasz plan tracił z każdą chwilą na ostrości. Począł, aż tata skończy jeść. [REDACTED] bezbłędnie wyczuła atmosferę.

–To może ja pójde do drugiego pokoju. Nie będę wam przeszkadzać – powiedziała [REDACTED] i zrobiła to, co zapowiedziała. Grzecznie zamknęła za sobą drzwi.

[REDACTED] mógł wreszcie przystąpić do przedstawienia tacie argumentów za pozbyciem się sprawiającej coraz większe kłopoty [REDACTED]. Argumenty te nie miały jednak wystarczającej siły, by przebić się przez miłe wrażenia pozostawione po ciepłych paróweczkach podanych z pełnym oddaniem przez sympatyczną współlokatorkę. Tata machnął ręką w swoim stylu.

–Ach, nie jest ta [REDACTED] taka zła. A przecież i tak nie mogę jej wyrzucić na ulicę.

nie musiał już kontynuować swojego wywodu. Sprawa została przesądzona. Tata był przeciwny wyrzuceniu . pozostało więc tylko opatrzenie mu nóg.

Tylko przez chwilę byłam zaskoczona przebiegiem zdarzeń w domu taty. Już po chwili dotarło do mnie, że sprawa ta właściwie nie mogła się inaczej potoczyć. Tata nie wyrzuciłby przecież ze swojego mieszkania żadnego człowieka. Żadnego, więc też nie. Pomijam już to, jakiego typu relacje łączyły tatę z . Pewnie i miał z niej czasem inny pożytek niż posprzątanie mieszkania i przygotowanie czegoś do jedzenia. Nie byli oni nigdy parą, ale wiadomo, że w takich wspólnotach różnie splatają się losy poszczególnych mieszkańców. I gdyby nawet założyć, że była wyjątkowo namiętną kochanką, nie byłby to zapewne powód decyzji taty. Bo i tata psem na baby raczej nie był. Zdecydował się jednak zabrać ze sobą do jednopokojowego, a właściwie jednoizbowego mieszkania wciąż wrzeszczącą na niego i ślepą już prawie, wiecznie drapiącą się . Zresztą nie pierwszy to raz tata nie odmawiał. Tak pojawiali się kolejno . Każdy miał pomieszkać przez jakiś krótki czas, góra parę tygodni. Zostawali na lata. aż do końca swoich dni na tym świecie. Każdy odszedł w swoim łóżku. Swoim, nie swoim, bo właściwie to przejętym od taty. Czy była więc możliwość, żeby tata odmówił teraz ?

Nowe mieszkanie

Gdy kolejnym razem zjawiliśmy się w Łodzi, tata mieszkał już w nowym mieszkaniu. Może i „mieszkał” to zbyt wiele powiedziane. Próbował mieszkać, oswoić tę małą przestrzeń mieszkalną, rozłożyć gdzieś rzeczy, na które trudno było znaleźć właściwe miejsce. W ogóle chodziło o miejsce. Bo przecież tata wyprowadził się z ogromnego, liczącego pewnie powyżej osiemdziesięciu metrów kwadratowych mieszkania do kilkunastometrowego pomieszczenia. Tam była przestrzeń. Wielkie pokoje, wielka kuchnia z długą na dwa metry wanną przykrywaną blatem mogącym służyć jako stół. Do tego tamto mieszkanie było wyjątkowo wysokie. Mały był jedynie kibel, od lat zresztą nieużywany. Sami nie potrafili go przepchać, a na fachowca nie było ich stać. To nowe mieszkanie było tylko dwie bramy dalej, pod . Nie musiał więc tata przyzwyczajać się do nowej okolicy. Była to, co prawda, mała klita, ale na pierwszy rzut nie wydawała się aż taka zła. Okno jedno, nieduże, ale wychodzące na zachód, więc w mieszkaniu było jasno i słonecznie. Nawet ściany wyglądały na świeżo pomalowane, choć niezbyt udanym odcieniem zieleni. Piec miał zostać dostarczony przez opiekę socjalną. Zimna woda z kranu na

później, choć ono było tam zawsze. Ale wtedy uwagę zwracało się na nowe mieszkanie taty. Tę małą klitkę z widokiem na kawałek podwórka z trzepakiem, trawnikiem, śmietnikami pod ścianą budynku, a w dalszym planie na [REDACTED]. Z trzepakiem, na którym, jak się później miało okazać, z werwą trzepał swój dywanik sąsiad taty zza ściany, dziadek [REDACTED].

[REDACTED] i pożar

[REDACTED] musiał zamieszkać u taty krótko przed pożarem, choć my poznaliśmy go dopiero potem, kiedy wiadomo już było, że [REDACTED] nie żyje. W ogóle tata i [REDACTED] krótko mieszkali razem w tym nowym mieszkaniu. Może dwa miesiące, a może mniej. Skąd się tam wziął [REDACTED] i gdzie poznał [REDACTED], nie wiedzieliśmy. Jasne było natomiast, że nie wyglądał i nie zachowywał się jak inni współtowarzysze taty. Grzeczny, uporządkowany, trochę jakby nieśmiały. Wódka nie była jego życiem. Odzywał się kulturalnie. Błuźnił raczej rzadko. Początkowo wydało mi się to podejrzane. Zwłaszcza, że moją uwagę przykuły jego uszy. Były wyraźnie za duże, co w połączeniu z jego grzecznością uznałam za przejaw jakiejś dewiacji. Z czasem o tym zapomniałam, bo już wkrótce pan [REDACTED] miał okazać się najlepszą żoną pana [REDACTED]. Tak go sobie nazwaliśmy, bo umiał ugotować, posprzątać, wyprać ręcznie ubrania w plastikowej wanience, porąbać drewno i stare meble do palenia. Umiał zatem zrobić wszystko to, co najczęściej robią na [REDACTED] dobre żony swoich pijących mężów.

O tym, że [REDACTED] się spaliła, dowiedzieliśmy się telefonicznie od mojej mamy, która podczas odwiedzin u swego byłego męża poznała pana [REDACTED] – ostatniego już chłopaka [REDACTED]. Z powodu tej jego nieśmiałości my też początkowo mówiliśmy do niego tak bardziej oficjalnie – pan [REDACTED]. A może to onieśmielenie wynikało częściowo z tego, że był u taty po prostu nowy i jako nowy musiał się bardziej starać, częściowo zaś z tego, że był jeszcze w szoku po tym pożarze. Bo [REDACTED] przeżył ten pożar jako jedyny. To było jakoś krótko przed Bożym Narodzeniem. Mieli jeszcze zrobić zakupy, żeby ugotować coś na święta. Pan [REDACTED] tak uważał, bo on rzeczywiście miał w sobie coś z kobiety. Najpierw obowiązki – znaleźć jakieś tanie jedzenie, przygotować ciepły posiłek, narąbać mebli do spalenia, a dopiero potem napić się wódki, jak już będzie do czego popijać. Ale [REDACTED] miała zupełnie inny pomysł. Najpierw skoczyć do tych spod [REDACTED] co mieszkają na strychu, bo zapraszali na wspólne wypicie. O zakupach chciała pomyśleć następnego dnia, tyle że jutro miało dla niej już nie nadejść, bo pan [REDACTED] przychylił się w końcu do jej pomysłu. Owszem, następny dzień był jak każdy inny i nadawał się z pewnością na robienie zakupów, ale [REDACTED] już nie miała go powitać. Pan [REDACTED] nie szukał byle

pretekstu do wypicia, więc plan [REDACTED] nie był mu wcale na rękę. Jako człowiek spokojny i ugodowy zgodził się jednak na jego realizację. Wódka nie zaprzętała jego myśli. Wypił może i kieliszek albo dwa, ale na więcej wcale nie miał ochoty. Wolał się położyć w pokoju obok. Spał, podczas gdy [REDACTED] i dwoje jej znajomych pili dalej, pogrążając swoje umysły w coraz większym otumanieniu. Spał też wtedy, gdy pewien młody człowiek wszedł na strych i niezauważony przez nikogo przystąpił do podpalania starych szmat i obłanych benzyną drzwi. Może i spał jeszcze wówczas, gdy ten sam mężczyzna zadzwonił po straż pożarną. Choć może tym razem to wcale nie on poinformował o buchającym ogniu na ostatnim piętrze kamienicy przy [REDACTED]. A może [REDACTED] już nie spał i właśnie wtedy zerwał się z kanapy, czując dziwny zapach. Odruchowo wszedł do drugiego pokoju, w którym zostawił biesiadujących współtowarzyszy wieczoru. Pokój był czarny, co trudno wyobrazić sobie komuś, kto nie przeżył w swym życiu pożaru. Pan [REDACTED] instynktownie rzucił się w stronę balkonu, choć nie było już widać drzwi do niego prowadzących ani żadnych innych okien. [REDACTED] i dwojga jej znajomych też już pan [REDACTED] nie mógł zobaczyć. I tak jak spał w samych majtkach na kanapie w ciepłym pokoju na strychu, tak teraz leżał w tych majtkach na zimnym balkonie. Udało mu się wyrwać ze szpon ognia, ale smród dosięgał go i tam. A jeszcze gorszy od zapachu palonego mieszkania i palących się ludzi był lęk. Instynktowny, zwierzęcy lęk, który nakazywał uciekać jak najdalej od ognia i dymu. Ten sam zresztą lęk w połączeniu z silnym szokiem przekłamał panu [REDACTED] właściwe postrzeżenie świata. To chwilowe zakłamanie obrazu rzeczywistości sprawiło, że dostrzegł on drzewo, które rosło już od lat na trawniku po przeciwnej stronie ulicy. Ale w tamtym momencie drzewo zdawało się rosnąć tuż za oknami, właściwie na wyciągnięcie ręki. Na drzewie byłby znowu bezpieczny, płomienie nie mogłyby go tam dosięgnąć. Postanowił więc skoczyć, tyle że zabrakło mu sił. A może po prostu nie zdążył, bo usłyszał nadjeżdżający wóz strażacki z wysięgnikiem, na który zdjęto pana [REDACTED] z zimnego balkonu. Wyszedł z tego pożaru dziwną drogą, przez okno, ale przeżył. Zwęglone ciała [REDACTED] i jej kompanów wyniesiono już po ugaszeniu ognia. Trudne zadanie mieli strażacy, bo byli już mocno nadpalone. Może to nawet [REDACTED] spaliła się na siedząco. A wraz z ciałem [REDACTED] spaliło się też to dwieście złotych, choć może już wówczas niecałe. Historię pieniędzy skradzionych tacie ostatni raz przez [REDACTED] poznać miałam wiele miesięcy później u pani [REDACTED], która sprzedaje royal w tej spalonej częściowo kamienicy. Dwieście złotych przyniosła pani z opieki socjalnej właśnie tamtego dnia, gdy [REDACTED] i [REDACTED] zdecydowali się iść do tych pod [REDACTED]. Pieniądze były dla taty na opał. Ale w tym czasie, gdy pani z opieki zapukała do ich drzwi, tata był pewnie na klejbie. I choć pani nie powinna wręczać ich nikomu innemu, to jednak zrobiła to. Może [REDACTED] grzecznie zapewniła, że mieszkają razem i pieniądze przekaze tacie. A może było tego dnia zimno, jak to często bywa

w grudniu, i pani nie miała ochoty na ponowną wizytę na [REDACTED]. Dwieście złotych znalazło się w każdym razie w rękach [REDACTED], która wcale nie miała zamiaru przeznaczać ich na opał. I choć pani [REDACTED] postanowiła nie sprzedawać [REDACTED] royalu za pieniądze skradzione tacie, który był jednym z jej ulubionych klientów, to [REDACTED] i tak go zdobyła, tyle że gdzie indziej. Siła wyższa sprawiła, że pieniądze, z których kupiony miał być węgiel do palenia w piecu, same uległy spaleniowi wraz z ich nową posiadaczką.

Wtedy, gdy mama usłyszała od pana [REDACTED] historię o pożarze, zadzwoniła też od razu do nas, do [REDACTED]. Może nawet jeszcze z mieszkania taty. Czasem tak robiła. Dawała mi wówczas tatę do telefonu. Cześć tato. Cześć kochanie. Potem krótka pogawędka. A potem znowu mama. Tego dnia mówiła tak entuzjastycznie. Przecież [REDACTED] się spaliła. Ta [REDACTED], od której tak bardzo chcieliśmy tatę uwolnić. [REDACTED], której po prostu chcieliśmy jakoś się pozbyć. Pozbyć z mieszkania taty, a nie tak w ogóle się pozbyć. Mama chyba nie potrafiła ukryć zadowolenia, choć później zrobiło jej się przykro, ze względu na pana [REDACTED]. My też początkowo odczuliśmy zadowolenie czy może raczej ulgę. Sprawę z [REDACTED], nad którą głowiliśmy się miesiącami, rozwiązała siła wyższa. Poczucie winy nas nie dopadło, bo przecież nie życzyliśmy [REDACTED] źle. Próbowaliśmy tylko skreślić ją z listy współlokatorów taty. Nieskutecznie zresztą. A teraz wyższa energia skreśliła ją sama. To, co myślał na ten temat tata, pozostało niewypowiedziane, bo tata nie powiedział w zasadzie nic. Ani się nie smucił, ani nie cieszył. Po prostu przyjął to jak każdą inną wiadomość. Na zewnątrz – obojętnie. Jak to tata. Ulgę na pewno odczuł, bo zaczął znowu zachowywać się jak u siebie. Strach przed ciosami ze strony [REDACTED] minął równie szybko, jak i szybko rozprzestrzeniły się po strychu płomienie, które spaliły zarówno stropy kamienicy, jak i troje ludzi. Tata był więc znowu panem na włościach w swoim kilkunastometrowym mieszkaniu.

Spokojny czas

Dla taty zaczął się spokojny czas. Na stałe mieszkał u niego tylko pan [REDACTED] choć czasowo pomieszkiwali również inni ludzie. Wielką kanapę [REDACTED] wyrzucili i każdy z nich miał teraz do spania wąską nierozkładaną sofę. Tata po lewej stronie, [REDACTED] po prawej. Pomędzy ich łózkami stał stół. A może wcale nie był to prawdziwy stół, tylko deska położona na dwóch pufach. W każdym razie spełniała ta deska funkcję najprawdziwszego stołu. Przy nim się jadło, o czym na bieżąco świadczyły stojące tam prawie zawsze, choć nie wciąż te same, talerze z resztkami jedzenia. Przy nim się paliło, bo stała na stole jedna albo i dwie popielniczki. Na stół w ogóle

kładło się dużo przedmiotów. Był przecież na wyciągnięcie ręki zarówno z kanapy taty, jak i z wersalki [REDACTED]. W prawym rogu mieszkania, na tej ścianie, gdzie mieściło się okno, pan [REDACTED] urządził miejsce dla [REDACTED]. Miała teraz dla siebie całkiem porządną materacyk przyciągnięty zapewne ze śmietnika. W tym samym rogu farba na ścianie już od jakiegoś czasu nie była zielona, bo pokrywała ją warstwa ściennego grzyba. Ta część mieszkania zaczęła się zagrzybiać wkrótce po wprowadzeniu się taty. Widocznie grzyb był już wcześniej, przy poprzednich lokatorach, a administracja chcąc zaoszczędzić na drogich środkach do jego usuwania, postanowiła jedynie odmalować ściany krótko przed oddaniem mieszkania w ręce kolejnych osób. Grzyb rozpanoszył się więc bardzo szybko, zdobiąc czarnymi plamami zwłaszcza tę najchłodniejszą ścianę, od północnej strony.

Pan [REDACTED] okazał się w tamtym czasie dobrym i wiernym towarzyszem, który niczym oddana żona usługiwał swemu koledze [REDACTED]. Do tego potrafił obrócić to usługiwanie w żart. Nieraz opowiadał nam, jak mijały im kolejne dni. Pan [REDACTED] chciał coś tam, więc mu podałem. Pan [REDACTED] wstał w środku nocy zły i głodny, więc mu zrobiłem coś do jedzenia. A mówił to wszystko z dużą dawką humoru i lekką ironią zarówno wobec taty, jak i wobec siebie samego. Było to rzeczywiście trochę humorystyczne – to, że [REDACTED] tak krzątał się po domu i potrafił tak sprawnie wykonywać wszystkie zadania domowe. Za każdym razem, gdy przychodziliśmy, to albo właśnie kończył pranie, albo rąbał stare meble, albo rozpalał w piecu, żeby coś ugotować. Rąbanie drewna odbywało się w komórkach, do których prowadziło niepozorne wejście. Metalowa kłapa przy jednej ze ścian kamienicy, tej nieopodal trzepaka, skrywała otwór ze stromymi schodkami. Tam właśnie, przy tych schodkach zastaliśmy pewnego dnia [REDACTED] z siekierą w dłoni. O tacie wyraził się jak zawsze dowcipnie. „No, muszę trochę tu narąbać, bo pan [REDACTED] odpoczywa w swoim majątku i czeka na obiad”. [REDACTED] traktował z dużą wyrozumiałością wilczy apetyt taty, który pozwalał mu, a wręcz nakazywał spożywać wielokrotnie w ciągu dnia. Szybko go polubiliśmy i przestał być tym dziwnym panem [REDACTED] odratowanym z pożaru. Mieliśmy poczucie, że tata wreszcie trafił na właściwego kompana. Zresztą może to właśnie w tamtym okresie, a może trochę wcześniej zaczęłam nazywać tatę dziadkiem [REDACTED], choć był nim oficjalnie już od kilku lat, od czasu, gdy urodził się [REDACTED]. Sprawa przekwalifikowania taty na dziadka wiązała się raczej z jego kondycją psychiczną i fizyczną. Tata dalej był tatą, choć coraz bardziej przypominał dziadka. „Jadę do dziadka [REDACTED]”, „Spotkałem, spotkałam dziadka [REDACTED]” zaczęło z czasem brzmieć prawdziwiej. Te zmiany następowały powoli i choć nie od razu były one widoczne, to przy dłuższej rozmowie stawało się jasne, że tata ma kłopoty z pamięcią. Fizyczne zmiany były u taty pewną stałą. Nie tylko zresztą u niego, ale i całej reszty jego pijących towarzyszy. Raz się było starszym, raz młodszym

z wyglądu. Raz bardziej zarośniętym, a raz ładnie ogolonym. Czasem w starych, pomiętych ciuchach, a czasem w świeżo upranej koszulce i prawie nowych spodniach z klejby. Głos ochrypnięty z przepicia albo całkiem zwyczajny. Wszystko to zależało od tego, jak dużo piło się w ostatnim czasie. Jeśli przez dwa, trzy tygodnie prawie nic albo tylko kieliszek do kolacji, to i wygląd wyraźnie się poprawiał. Jeśli pili umiarkowanie, czyli starczało im jeszcze czasu na gotowanie i jedzenie, to wyglądali jak cała reszta pijącej [REDACTED]. Po prostu przeciętnie jak na tę ulicę. Jeśli natomiast pili na całego, bez dbania o wszelkie inne sprawy, to ich wygląd zdecydowanie się pogarszał. Ale to, że czasami tata sprawiał wrażenie, jak gdyby nagle postarzał się o kilkanaście lub nawet kilkadziesiąt lat, nie znaczyło wcale, że za jakiś czas nie wróci do swego uśrednionego wyglądu. Te fizyczne zmiany u taty i jego ekipy należało przyjąć jako najoczywistszą rzecz na świecie. Do tego zresztą rzecz przydatną. Niekiedy wystarczyło spojrzeć na twarz osoby otwierającej drzwi i już wiadomo było, czy w ogóle warto wchodzić dalej. Tacy zupełnie schlani, walczący o przeżycie najbliższych godzin, nie byli wcale chętni do przyjmowania gości, a i pogawędka z nimi nie należała wówczas do twórczych zajęć. Jeśli więc twarz była opuchnięta, głos zachrypnięty i niezbyt miły, a do tego z mieszkania dochodził wieloskładnikowy zapach pijaństwa, to lepiej było życzyć wszystkim miłego dnia, wręczyć „piątkę” i czmychnąć.

Wygląd zresztą nie był dla mnie tak znaczący, jak właśnie zapach. Po zapachu wiele można było się domyślić. Jak się miewają domownicy, czy dużo ostatnio piją, czy gotują jakiś obiad. Czasami przebijało się jedzenie. Gotowane mięso albo jakaś zupa. Nie były to co prawda zapachy wykwintnych dań, raczej zwykłych potraw kuchni polskiej przygotowywanych z tanich i niezbyt wyszukanych składników, ale i tak zapach jedzenia był zawsze pozytywny, bo oznaczał, że tata i jego współlokatorzy mają się całkiem nieźle. Do tego dochodziło wiele innych nut zapachowych. Niektóre przyjemniejsze dla nosa, inne bardziej męczące. W ogóle cała ulica [REDACTED] z jej biedą i pijaństwem to miejsce mocno pachnące, pachnące wyrazistymi, przyziemnymi zapachami. Zapachami brudu, długo niepranych spodni, alkoholu parującego z ubrań i twarzy okolicznych pijaczków, rozdeptanych psich odchodów, którymi usłane są chodniki przed kamienicami. Podobnie wyraziście pod względem aromatów bywało i u taty. O ile można wytrzymać woń starych łóżek z niewymienianą od miesięcy pościelą połączoną z aromatami resztek jedzenia parującego na rozgrzanym piecu, o tyle drażniące staje się wymieszanie ich z kolejnymi składnikami. Zwłaszcza jeśli mają one związek z przemianami zachodzącymi w ludzkim ciele. Skala zapachowa z mieszkania taty była bardzo szeroka. To, w którym jej miejscu znajdziemy się przy kolejnej wizycie, pozostawało zagadką aż do momentu otwarcia drzwi. Dotyczyła ta zasada przede wszystkim drugiego mieszkania taty, które

miało szczelne drzwi, więc aromaty, względnie smrody nie wzywały tak chętnie na korytarz pozostający i tak niedościgniony w śmierdzeniu. Korytarz bowiem śmierdział na całej swej wysokości, włączając w to schody od parteru aż po drugie piętro taty. Za to w tej starej kamienicy, tej pod [REDAKTOWANE], klatka schodowa była przestronna, z dużymi oknami i szerokimi schodami, więc jej zapach był raczej neutralny. Tym większe było zderzenie światów już przy drzwiach taty, które chętnie przepuszczały na zewnątrz przeróżne nuty zapachowe. Im bliżej trzeciego piętra, tym większy odczuwałam niepokój spowodowany domysłami na temat woni. Żadna inna wizja nie wpływała na mnie tak przejmująco i jedynie obawa przed dobiegającymi z mieszkania taty zapachami wprowadzała dziwny stan rozedrgania, stan dla niczego niepodważających świadków właściwie niezauważalny. Ani obrazy, ani dźwięki nie sprawiały mi aż takiego kłopotu, za to zapachy lub choćby ich wyczekiwanie rozbudzały moją wyobraźnię, lecz nie w sposób przyjazny i twórczy. Zwłaszcza że w tych drzwiach mieszkania taty była kilkucentymetrowa dziura. Przez dziurę można było zobaczyć fragment kuchni za przedpokojem i zamknięte zazwyczaj drzwi prowadzące do pokoju. Przez dziurę wzywały także wszelkie kłębiące się w środku zapachy. Jeśli tata i jego współlokatorzy byli w gorszym stanie, nie dbając wówczas o sprzątanie, wietrzenie i wynoszenie z mieszkania wszelkiego rodzaju nieczystości, to ta dziura informowała nas o tym już na schodach blisko trzeciego piętra. Jeśli natomiast smród nie dochodził aż tam, to był to dobry znak, znak, że warto podejść do drzwi i zapukać bez niepokojów. Tak to właśnie prawie zawsze zerkałam najpierw przez tę dziurę znajdującą się gdzieś na wysokości klamki, wciągając jednocześnie dochodzące stamtąd ulotności. Potem pozostawało już tylko załomotać dość mocno do drzwi, najlepiej czymś metalowym, żeby przebić się dźwiękiem stukania przez głośno brzęczący telewizor, a niekiedy i wbić się do snów przysypiającego taty i jego ludzi. Choć czasami lepiej było wcale nie pukać i odejść spod drzwi zaraz po zerknięciu w tę kilkucentymetrową dziurę wyżłobioną gdzieś nieopodal klamki, dziurę, przez którą można było zajrzeć do innego świata.

Zmiany

Te zmiany następowały w tacie powoli wraz z każdą wypitą butelką royalu. Wódka pita w sposób umiarkowany nie musi wcale zniszczyć organizmu używającej ją osoby, a wręcz przeciwnie – może nawet dobrze na niego wpłynąć. Tyle że tata już od lat nie pił porządnej wódki, tylko royal, i to wcale nie w ilościach umiarkowanych, lecz zdecydowanie dużych. Zmiany musiały się więc pojawić. I choć z czasem zaczęły one wpływać na sferę psychiczną, to

musiały mieć swój początek zwyczajnie w tkankach fizycznych. O ile mylenie w opowieściach imion krewnych i znajomych uznać można jeszcze za ludzką rzecz, o tyle nieumiejętność odnalezienia w końcu we własnej pamięci tego właściwego była coraz bardziej niepokojąca. Z czasem te nazwy ludzi, rzeczy i relacji pomiędzy nimi zaczęły tracić znaczenie. Wiesz, ██████, poszedł i to załatwił. Wiem, ██████ znałam już przecież od jakiegoś czasu, bo wprowadził się do taty krótko po tym, gdy ██████ w poszukiwaniu większych wygod życiowych od taty z kolei się wyprowadził. Tata z pewnością opowiadałby dalej tę historię, gdybym nie przerwała, zaniepokojona nagłym zwrotem akcji, bo oto w opowieści pojawił się ██████, a ██████ z nikim konkretnym nie kojarzyłam. Jaki ██████? No, ██████, no jaki ██████. Denerwował tatę ten ██████, bo i on go chyba nie kojarzył. No ██████, wnuk ██████. Znowu poskładałam więc fakty z tej historii w jedną całość i znowu coś mi się nie zgadzało, bo tamten ██████ był zięciem pani ██████, a właściwie to już byłym zięciem, choć pani ██████ wciąż traktowała go jak rodzinę, troszcząc się o niego i dokarmiając go w swojej kuchni, gdzie każdego dnia rozlewała do kieliszków i butelek litry royalu. Może tu chodzi o jakiegoś innego ██████. Wnuk pani ██████? To on jest wnukiem czy zięciem? Niecierpliwiły tatę te głupie pytania, bo i po co drążyć takie szczegóły. Wnuk, zięć, to nieważne. Dla taty ważne było sedno historii, a jej poszczególne elementy z miesiąca na miesiąc odgrywały coraz mniejsze role. A im mniejsze one były, tym większe miałam przeczucie, że taty mózg przestaje działać prawidłowo.

Strzyżenie

Raz na jakiś czas tata prosił ██████ o strzyżenie włosów maszynką. Bo posiadanie dobrej maszynki było na ██████ zjawiskiem rzadkim, do tego jeszcze okrytym pewną tajemnicą. A wiesz, no mógłbym się ostrzyć, bo ten powiedział, że może pożyczyć maszynkę od tamtego, ale tamten dał ją teraz innemu, i jeszcze do tego nie jest pewne, czy ona w ogóle działa. Słowem, historie z maszynką miały zazwyczaj przewidywalną akcję, ale za to dużo bohaterów, z których części w ogóle nie znaleźmy. Zdecydowanie łatwiej było nie prosić się bliższych i dalszych kolegów, lecz ██████. Tego dnia, gdy wybraliśmy się do taty z maszynką w plecaku, tata nie był ani sam, ani z ██████. Na kanapie po prawej stronie mieszkania siedziało jeszcze pięciu facetów. Tata siedział sam na swoim łóżku, dokładnie naprzeciwko swoich gości. A oni tacy ściśnięci jakby czekali w poczekalni na pogotowiu. Twarze zresztą mieli tak typowe dla ██████, poorane, pokaleczone, jakby rzeczywiście byli pacjentami oddziału ratunkowego. Tylko jeden miał facjatę nietypową. Niby bez bruzd i bez skaleczeń, ale za to o dziwnym

odcieniu szarości. O ile jednak te twarze naznaczone przejściami, małymi wypadkami i atmosferą życia na [REDACTED] tylko w pierwszym momencie wydawać się mogły twarzami ludzi niebezpiecznych, o tyle szara twarz tego młodego, wychudłego mężczyzny dopiero po chwili, po bliższym jej przyjrzeniu się, rozsiewała niewyjaśniony niepokój. Ten szary siedział najbliżej okna, taki skulony. Pozostali faceci może i też nie mieli wcale przyjaznego wyglądu, ale byli otwarci, chętni do rozmowy i do żartów. Ich twarze dobrze oddawały charakter ulicy, na której się znaleźli. Skóra przeorana bruzdami, szerokie nosy, często czerwonawe, typowe dla ludzi nieodmawiających wypicia, zęby mocno przetrzebione, włosy w nieładzie. I siedzieli ci kompani taty jeden przy drugim, jedna twarz obok następnej, ciało przy ciele ściśnięci na kanapie. Szary minę miał niewesołą, trzymał się za bolącą rękę i postękiwał za każdym razem, gdy sąsiadujący z nim na kanapie szturchał go w ramię. Ale przesiąść się z tego ścisku wcale nie zamierzał. Przesiadł się za to tata, jak tylko usłyszał o strzyżeniu. Ochoczo przeniósł się na pufę postawioną przed kanapą z siedzącymi kumplami. Ciężar w mieszkaniu teraz już wyraźnie przesunął się w prawą stronę. Nie dosyć, że mieszkanie małe jak na prawie dziesięć osób, to jeszcze wszyscy usadowieni w jednym jego miejscu. Ale nikomu zdawało się to nie przeszkadzać. [REDACTED] przystąpił do pracy. Tata mógł znowu wejść w rolę pana swojego domu. Oto usłużny [REDACTED] pojawia się ze sprzętem godnym fryzjera, by ostrzyć [REDACTED]. Tak, tata był szczerze zadowolony i chętnie poddał się zabiegom. A ja znalazłam się w zupełnie męskim towarzystwie. Z jednej strony tata i jego towarzysze musieli odgrywać samcze teatryk, i potwierdzając swoją męskość. Ty psie, klękaj tu przede mną, kurwa, pierdolone. Z drugiej strony usiłowali pokazać mi się – jedynej w tym towarzystwie kobiecie – od nieco grzeczniejszej strony. Szturchali się, poprawiali nawzajem swoje słownictwo. Ale bez bluźg może, bo tu pani słucha. No tak, tak – kiwali głowami. Ale już po chwili znowu „kurwa, ale mówiłem ci” i „o przepraszam”. Hamuj się, kurwa, uważaj na słowa, bo przy kobiecie tak nie wypada. Towarzysze taty bardzo się starali, ale bez bluźnienia rozmawiać się po prostu nie dało. Tata też dobrze wszedł w rolę. Ten tata, który jeszcze do niedawna nie bluźnił prawie wcale, mimo że na [REDACTED] mieszkał już od tylu lat. Ale tego dnia trzeba było dobrze grać, bo i widownia była niemała. W świat męskich rozmów nie miałam po co się pchać, więc zajęłam się swoim hobby i wyjęłam z torby aparat. Najpierw wycelowalam w tatę, żeby nikt się za bardzo nie przestraszył, zwłaszcza że ta stara Practica wydawała dość głośny dźwięk przy pstryknięciu. Tata zresztą już się z tym fotografowaniem oswoił i nie protestował zazwyczaj w ogóle. Po dłuższej chwili ustawiania ostrości na tacie przystąpiłam spokojnie do złapania w kadr tych pięciu facetów siedzących na kanapie. I wówczas po raz pierwszy w mojej fotograficznej karierze na [REDACTED] pojawił się głos sprzeciwu. Głos należał właśnie do tego o szarej twarzy, który dalej

kulił się na lewym boku kanapy, dość blisko ściany z oknem. Szary nie zgadzał się na żadne zdjęcia, co trochę mnie spłoszyło. Nie chciałam przecież zagęszczać nieprzyjemnie atmosfery. Ale myśl, że to tylko jeden facet, bo reszta nie przyłączyła się do protestu, jakoś dodała mi odwagi. Byłam przecież u taty, u mojego taty, więc mogłam sobie pstrykać zdjęcia. Tak też sprawę mu przedstawiłam. Człowiek o szarym obliczu nic więcej już nie powiedział. Z miejsca też się nie ruszył. Tkwił dalej na kanapie, rozsiewając to bliżej nieokreślone wrażenie niepokoju. Przestałam na jakiś czas kierować obiektyw w ich stronę. Bez straty zresztą, bo dużo ciekawsza była wówczas zmieniająca się fryzura taty, za sprawą której w ciągu paru minut upodobił się do jednego z czarnych charakterów czeskiego serialu dla młodzieży o księżniczce Arabeli. Na hasło „Blekota, Pekota” panowie na kanapie ruszyli wyobraźnią. Swoją drogą, był jeszcze trzeci – Mlekota. Tak, rzeczywiście, tata miał z nimi coś wspólnego. Ale jedno było pewne – z taką fryzurą po [REDAKTOWANO] nie mógłby chodzić. Całe szczęście, że to przylizanie było jedynie wstępem do strzyżenia. [REDAKTOWANO] ciał kolejne pasma włosów, gdy dostrzegłam stojący na wysokim regale dzban. Ceramiczny dzban koloru zielonego, typowy wyrób cepeliowski.

–Tato, a ten dzban to skąd masz?

–A skąd mogę mieć? Znalazłem na klejbie – tata udzielił dosyć oczywistej odpowiedzi.

Bo niby skąd miał tata mieć dzbanek. Przecież go nie kupił. Mógł go co prawda dostać od kogoś w prezencie, na przykład od pani [REDAKTOWANO], która tatę lubiła. Ale nie, pani [REDAKTOWANO] raczej nie pozbyłaby się takiego solidnego dzbana. Moje pytanie było zatem naiwne. Zresztą nie tylko to jedno.

–Taki ładny dzbanek ktoś wyrzucił?

–Ach, nie takie rzeczy ludzie wyrzucają – tata wypowiedział się ze swego rodzaju znawstwem, a po chwili dodał jeszcze : – Możesz go wziąć, jak ci się podoba.

Jeden z mężczyzn siedzących na kanapie podniósł się czym prędzej i od razu ruszył po dzbanek. Jak się miało okazać, był to [REDAKTOWANO], późniejszy współlokator taty. Duży, masywny chłop. W przeszłości utalentowany zapaśnik. A teraz siedział na [REDAKTOWANO], na starej kanapie swego kumpla [REDAKTOWANO] i pakował zielony dzbanek z ceramiki. I dobrze, bo przynajmniej był jakiś przepływ energii i dóbr. Tata miał satysfakcję, że jego znaleziska mogą się przydać, a nam rzeczywiście spodobała się ta cepeliadka. Taka nieformalna zapłata za usługi fryzjerskie. Oczywiście nieobowiązkowa.

Ale za co

Nie zawsze było tak, że było się u taty mile widzianym. Bo po co komu goście, kiedy ten ktoś ledwo żyje. A tego dnia tata nie wyglądał najlepiej i pewnie też nie najlepiej się czuł. Zapukałam jak zawsze i jak zawsze usłyszałam głos krzyczący z mieszkania. „Otwarte!” Tyle że tego dnia głos był wyjątkowo chrapliwy. I wcale nie zachęcał do wejścia. Uchyliłam drzwi i od razu straciłam ochotę choćby na przekroczenie progu. Zaduch typowy dla alkoholowej libacji – opary wódki trawionej właśnie przez troje obecnych w tym małym jednoizbowym mieszkaniu ludzi połączone z brudem i dymem najtańszych papierosów. Tata usiadł na łóżku, choć chyba z trudem. Niecierpliwiło go to moje stanie przed drzwiami. I choć powiedział „No wejdz”, to ani trochę mnie tym nie zachęcił. Bo widok miał w mieszkaniu nieciekawym. W poprzek pokoju spał na podłodze, a może na jakiejś kołdrze, mężczyzna. Chyba był to [REDAKT], bo na jego łóżku z kolei leżała jakaś nieznana mi kobieta, która zresztą właśnie się obudziła.

–Nie, nie będę wchodzić – próbowałam się bronić – ty, tata, wyjdź na korytarz.

Chyba nie mogłam tacie zaproponować nic gorszego. Przepity, skacowany człowiek ma się podnieść z łóżka, na którym całkiem niezłe mu się leżało. I to tylko dlatego, że jego córka twierdzi, że mieszkanie jest zadymione. O nie, to już tatę lekko rozdrażniło. „Gdzie jest nadymione? Przecież nikt nie pali. No wejdz wreszcie”. Ten głupi dialog zupełnie rozbudził wciąż jeszcze leżącą kobietę, która poczuła się w obowiązku, by przeprosić za to wszystko. Za bałagan, który rzeczywiście był wówczas niemały, i jeszcze raz za to, że jest bałagan, i naprawdę my przepraszamy i zaraz tu posprzątam. Sytuacja jakoś utknęła. Właściwie czułam, że jestem tam zupełnie niepotrzebna, a wręcz, że przeszkadzam. Ale tata podniósł się w końcu z łóżka i ruszył resztką sił w moją stronę. Tym razem bez [REDAKT] butów. Widocznie też poczuł, że zbyt długo trwa już ta rozmowa. Cholera, żeby człowiek musiał wstawać w taki dzień. Zdenerwowało to tatę, zwłaszcza, że kobieta wciąż jeszcze przeproszała mnie za wszystko. Stałam dalej na korytarzu przy drzwiach, a ona dalej to swoje „my panią bardzo przepraszamy”. Tego było dla taty za wiele.

–Ale za co? – ryknął głosem stanowczym i mało przyjemnym, choć samo pytanie wydało się słuszne.

Bo niby za co ma przeproszać. To ja przecież władowałam się w czyjąś prywatność. To ja uparcie odmawiałam wejścia, choć przyszłam zapewne po to, żeby wejść. A że bałagan w mieszkaniu? Nie w moim, lecz w taty mieszkaniu, więc chyba nic mi do tego. Po tym, jak tata krzyknął „ale za co?”, nastąpiła cisza. Kobieta na łóżku przymknęła się, zapewne choć po części

zadowolona ze zwolnienia jej z obowiązku przeproszania. Mogła znowu spokojnie zasnąć. A i ja nie miałam już tacie nic do powiedzenia. Na próżno tracił więc siłę, by dotrzeć do drzwi. Tata niczego ode mnie nie chciał. Ale też nie zamierzał być dla mnie miły.

–Co chcesz? – spytał ze zniecierpliwieniem, gdy znalazł się już na korytarzu.

–Właściwie to nic. Wpadnę innym razem – mówiąc to zaczęłam szukać drobniaków w portfelu, ale nie miałam prawie żadnych monet, więc zostawiłam tatę z niczym. A może raczej nie z niczym, tylko z niesmakiem. Bo przychodzi taka córka, przeszkadza, wyciąga z łóżka i jeszcze w dodatku nie wiadomo po co. A ja też wyszłam z niesmakiem. Bo przychodzę, staram się aktywować, wyciągam z łóżka, chociażby po to, by iść razem po fajki, a tu nieprzyjemna atmosfera i ryknięcie.

„Ale za co?” brzmiało mi jeszcze w głowie, gdy schodziłam po schodach z ulgą, że udało mi się wreszcie stamtąd wyrwać. „Ale za co?” brzmiało mi też w głowie jeszcze wiele razy potem. Szczególnie mocno zawsze wtedy, gdy pojawiała się aluzja o niższości ludzi zanurzonych w świecie nędzy i nałogów. Większość społeczeństwa chciałaby, by przeprosili oni za swoją nieproszoną obecność na ziemskim padole. Przeprosili za to, że oni – brudni, biedni i uzależnieni – psują dobre samopoczucie im – czystym i normalnym. I właśnie w tych momentach aż chciałoby się ryknąć, nie grzecznie zapytać, lecz właśnie nieco brutalnie ryknąć: „Ale za co?”.

Chłopcy z ██████████

Chłopców było trzech. Takich zwyczajnych trzech niedużych chłopców, jakich wielu snuje się po śródmiejskich ulicach. To mogli być równie dobrze chłopcy ze ██████████ tyle że ja spotkałam ich akurat na ██████████. Właściwie to jeszcze całkiem małe, smarkate dzieciaki. Najmłodszy miał może osiem, dziesięć lat. I pewnie wieczorami marzył, by przytulić się do mamy i taty. A czy rodzice też marzyli o pogłaskaniu i przytuleniu swojego synka, to już inna sprawa. W każdym razie chłopcy pewnie za żadne skarby nie przyznaliby się przed sobą nawzajem do swoich skrytych pragnień. W grupie trzeba przecież zgrywać sprytnych i mocnych. Mocnych i w gębie, i w kopniakach.

Czy chłopcy zwracali na siebie uwagę? Raczej nie za bardzo, bo takie grupki młodszych i starszych dzieciaków można na bocznych uliczkach Łodzi spotkać co krok. Niekiedy idą pospiesznie w wytyczonym kierunku, ale zazwyczaj włączają się bez celu – wtedy poruszają się jakby wolniej. Jak było tego dnia, gdy spotkałam tych trzech chłopczków, po prostu nie wiem. Jechałam przecież na rowerze i pewnie w ogóle nie zwróciłabym na nich uwagi, gdyby nie to, że

zbliżając się do [REDAKTOWANE], postanowiłam wjechać na chodnik. Zwolniłam, by moje stare nusu bez bólu podjechało pod krawężnik, nie strasząc przy tym idących z naprzeciwka dzieciaków. Tak, wtedy właśnie ich dostrzegłam. Właśnie mnie mijali, gdy jeden z nich, chyba ten najmniejszy, wykonał dziwny ruch, cofając jakby ślinę z krtani, a potem z impetem i siłą splunął mi prosto w twarz. Do tamtej pory wydawało mi się, że lubię dzieci, więcej – że wierzę w dzieci. I pewnie ostatnią rzeczą, jakiej mogłam spodziewać się z ich strony, było oplucie. Najpierw chwila bezruchu, a potem wytarłam się chusteczką i wciąż jeszcze pełna naiwnej wiary w dziecięce pomysły krzyknęłam słabym głosem:

–Chłopczyku, co ty robisz?

Czy sądziłam, że chłopiec rzeczywiście mi odpowie? Jeśli tak, to tylko przez chwilę, bo moje pytanie cała trójka skwitowała głośnym śmiechem i wzięciem nóg za pas. Słyszałam jeszcze ten rechot i widziałam, jak wbiegli do najbliższej bramy. A ja wciąż stałam przy rowerze z tym niecodziennym i niezbyt przyjemnym odczuciem. Przetarłam się ponownie, dla pewności, że jestem czysta, oraz by zatrzeć wszelkie ślady tego spotkania. A potem pojechałam w dalszą drogę, do Manufaktury, co zresztą rzadko mi się zdarzało. Kupować nowych rzeczy po prostu nie znoszę, ale wówczas uległam namowom mojej mamy. Ponoć powinnam mieć jakieś „normalne” spodnie. Sprzedawca zamienił ze mną kilka zdań. Długość, szerokość, krój, kolor. Przyniósł kilka różnych par. A gdy weszłam do przymierzalni, to najpierw mnie zatkało, a później głośno się zaśmiałam. Tak, flegma tego małego smarkacza spływała mi po czarnej kurtce, wyraźnie objawiając swoją przyziemną, obrzydliwą naturę. Tak, zaśmiałam się nieco gorzko, bo po raz drugi poczułam się oszukana. Za pierwszym razem przez chłopca, który był przecież niewiele starszy od moich własnych dzieci. A za drugim przez ekspedienta, który z wyuczonym profesjonalizmem udawał, że wcale nie widzi gęstej, ohydnej śliny ściekającej po moim ubraniu.

Tych trzech chłopców z [REDAKTOWANE] zrobiło pierwszą, poważną rysę na tworzonym przeze mnie obrazie ulicznego życia. Chyba wówczas zważyłam zwłaszcza w to najmłodsze pokolenie. Tak, poczułam, że mój świat ze [REDAKTOWANE] istnieje dzięki obecności wszystkich tych starszych alkoholików, złomiarzy i nędzarzy. Młodszy coraz częściej wydawali się pozbawieni moralnych zasad i wewnętrznych podszeptów własnego sumienia. Tata pewnie by mnie zrozumiał – tak właśnie poczułam. On też zaczynał wątpić w swój własny świat. Mniej więcej w tym samym czasie i on się na nim zawiódł. Gdy zapytałam go, co słyhać u [REDAKTOWANE], machnął tylko ręką:

–Ach, [REDAKTOWANE]

Nie rozumiałam tej odpowiedzi, bo przecież [REDAKTOWANE] był jednym z tych, którzy byli wobec taty zawsze w porządku. A może wcale nie zawsze.

–Ale co z tym [REDAKTOR]? On to chyba jest w porządku?

–Szkoda gadać – i po dłuższej chwili dodał jeszcze – ostatnio ukradł mi wideo – ta odpowiedź taty była dość zaskakująca, bo w ogóle nie wiedziałam, że tata miał taki sprzęt.

–Jak to ukradł?

–Po prostu wyniósł mi z mieszkania – tata powiedział to ze spokojem, ale i z rezygnacją.

Co mogłam na to odpowiedzieć? Raczej nic. Zresztą tata wcale tego nie oczekiwał. Tak, tata czuł się zawiedziony. Bo może nawet nie potrzebował wcale żadnego wideo, ale z pewnością nie był to powód, by mu je wynosić. Tata czuł się zawiedziony nie tylko [REDAKTOR]. W ogóle coraz częściej w czasie naszych rozmów gdzieś pomiędzy słowami wypływało to odczucie zawodu. Co jest bardziej upokarzające – bycie oplutym przez nieznanomych chłopaków czy bycie okradzionym przez człowieka, którego uważało się za kumpla? Trudno powiedzieć. Czuliśmy pewnie z tatą równie duży niesmak. Ale najgorsze w tym niesmaku było to, że wiara w tych ludzi z ulicy [REDAKTOR] – ludzi żyjących gdzieś z boku i we własnym tempie – zaczęła słabnąć. Zmiana atmosfery na [REDAKTOR] dokonywała się bardzo powoli. Ale z każdym rokiem starych, pocziwych meneli było coraz mniej, a ich miejsca w bramach zajmowali ci młodzi – głośni, chamscy i zaczepni. O ile jednak ja zwątpiłam tylko w to świeże pokolenie, o tyle tata poszedł jeszcze dalej, patrząc z rosnącą rezygnacją nawet na swoich towarzyszy.

Kapusta na bucie

To była zwyczajna kapusta, biała kapusta. Leżała na stole, bliżej okna, cała duża główka kapusty. But był czarny, stał na podłodze, przy piecu. Taki normalny półbut, ze sznurówkami. Ale na początku wcale nie zauważyłam ani kapusty, ani buta.

Tego dnia tata był sam w mieszkaniu. To było chyba jedno z naszych ostatnich spotkań. Siedział na kanapie – prawie zawsze tak go widziałam podczas wejścia – jak siedzi albo podnosi się do siedzenia. Wizyta ta była bardzo miłą spośród tych u taty. Czuło się spokój i niespieszność. Tata sam w domu, bez współtowarzyszy, uśmiechnięty, trzeźwy lub w miarę trzeźwy, a i ja również sama, bez dzieciaków i [REDAKTOR], uśmiechnięta. O czym się rozmawiało? To chyba nieistotne. Ważne było samo spotkanie. Coś się przyniosło, podarowało, czasem też coś się dostało. Rozmowy o codzienności. A codzienność to nie jest łatwa sprawa. Może dla ludzi bogatszych jest prostsza, ale nie dla nich. Codzienność wymaga wysiłku. Choć życie mija z chwili na chwilę, potrzebny jest niekiedy przemyślany plan. Trudno to zrozumieć ludziom posiadającym pieniądze. Wyobraźmy sobie taką sytuację: potrzebuje taki człowiek z pieniędzmi

jakiś przedmiot, powiedzmy – wiadro, to idzie do sklepu, tego na przykład z gospodarstwem domowym na [REDACTED]. Pojawia się tylko kwestia, ile on ma tych pieniędzy lub ile chce ich wydać. Jeśli mało, to wiadro będzie gorsze, bez przykrywki. Jeśli zaś nie żałuje na zakup, to wyjdzie ze sklepu z pięknym wiadrem w dłoni, które będzie miało wszystko to, co powinno mieć porządne wiadro – solidną rączkę i szczelną przykrywkę. A teraz postawmy się w sytuacji ludzi, którzy raczej nie operują pieniędzmi, a jeśli już, to tylko bilonem. Otóż taki człowiek też może potrzebować wiadro. Przedmiot ten jest może w obecnych czasach niedoceniany, ale wiercie mi, że wcześniej odgrywał on ważną rolę. To również trudno dziś wytłumaczyć, bo ludzie wraz z pomnażaniem dóbr materialnych tracą niestety wyobraźnię. Fundamentalne znaczenie wiadra doceniają z pewnością ci, którzy nie mają w domu toalet. Piszę „toalet”, choć nie brzmi to słowo odpowiednio. Nie chodzi tu bowiem o łazienkę, pomieszczenie, w którym można by dokonać ablucji. Chodzi mi o zwyczajny kibel, gdzie człowiek siada po zsunięciu dolnej części ubioru i załatwia owe fundamentalne dla fizyczności ludzkiej sprawy. Efektem braku kibla jest potrzeba posiadania wiadra. Lecz ci, którzy nie mogą iść z obiektywnych przyczyn do sklepu, róg [REDACTED], muszą mieć plan. I jeszcze coś sympatycznego w twarzy, żeby ten plan zrealizować. Gdy kiedyś zaproponowałam tacie zakup wiadra, uznał to za zbyteczne, bo okazało się, że [REDACTED] jest już w trakcie jego zdobywania. Ta wyprawa [REDACTED] po wiadro skojarzyła mi się trochę z człowiekiem pierwotnym, który wyruszał na polowanie po zwierzyne. A u nich tą zdobyczą było po prostu wiadro. Dlatego [REDACTED] ileś razy chodził do pewnej kwaciarni, gdzie miał je obiecane. I to nie jakieś tam wiadro, ale takie, jakie być powinno – z przykrywką. Szkoda tylko, że nie pamiętam już, czy on je w końcu zdobył. W każdym razie to musiało się dzieć dużo wcześniej, bo tego dnia, gdy na stole leżała kapusta, [REDACTED] już od jakiegoś czasu nie mieszkał u taty. Przeprowadził się bramę dalej, do kobiety, podobno głupiej, ale kto to wie. Pijana kobieta wydaje się zawsze trochę głupsza od pijanego mężczyzny. Chyba nawet tego dnia tata zaprowadził mnie do nich, bo chciałam wiedzieć, gdzie mieszka [REDACTED]. Tak, to był ten dzień, gdy tata był uśmiechnięty i zadowolony, a kapusta leżała na stole. Ja również miałam wówczas dobry humor i chciałam tacie coś kupić, najlepiej do jedzenia. A on tak nawet za bardzo nic ode mnie nie chciał. Często tak bywa, że im mniej jakiś człowiek chce, to ten drugi tym chętniej by mu coś podarował. I na odwrót – pierwszy chce, naciska, prosi, to tamten właśnie nie ma, nie da. Akurat tamtego dnia chciałam jakoś tatę uszczęśliwić, choć on już niewiele do szczęścia potrzebował.

–No fajek to nie mam rzeczywiście.

–Dobra, to [REDACTED] pójdziemy razem do sklepu. A może jedzenie jakieś potrzebujesz? Masz co jeść?

–Jedzenie to mam, tylko muszę właśnie coś ugotować.

–Aha...

–No mam kapustę, ale buta mam tylko jednego.

Tata ruchem głowy wskazał najpierw na kapustę, tę wielką, co leżała na stole, a później w drugą stronę – na but, który stał samotnie między lodówką a piecem. Podążyłam wzrokiem za spojrzeniem taty: na stół i na podłogę. Dopiero wtedy zobaczyłam te dwie rzeczy, a ujrzałam je jakby ostrzej niż całą resztę. Jedno było pewne – nie dostrzegłam między nimi związku. Przez sekundę ogarnął mnie niepokój, że tata zamierza jak za czasów wojny gotować tę skórę z butów do jedzenia, ale ta myśl odpłynęła równie szybko jak się pojawiła. Nie mogło trwać to dłużej niż chwilę, bo przecież tata mówił dalej:

–Dzisiaj już kilka butów spaliłem i został mi tylko ten jeden. No i właśnie nie wiem, czy kapusta zdąży się ugotować.

Z jednej strony poczułam ulgę – nie będzie gotował starego buta. Ale z drugiej strony – czy może być gorszy wstrząs dla ekologa niż palenie w piecu butami? Bujna wyobraźnia podesłała mi od razu wizję czarnego dymu i smród palonej gumy. Westchnęłam prawie nieświadomie:

–Jezu, przecież to strasznie śmierdzi.

–Nie, nie śmierdzi – zaproponował tata – a jak się za to hajcuje, aż garnek podskakuje. Ale nie wiem, czy ten but wystarczy.

Chyba nawet chciałam uwierzyć w to, że nie śmierdzi, bo kto chciałby widzieć swojego tatę w 14-metrowym mieszkanku spowitym gęstym, śmierdzącym dymem. Może faktycznie piec jest szczelny i smród leci do komina? A i racja z tym hajcowaniem, bo przecież guma dobrze się pali i daje dużo ciepła. Po co komu te ekologiczne zabobony?

–I to naprawdę nie śmierdzi? – zapytałam naiwnie.

–Nic nie śmierdzi, przecież mówię.

To wyjaśnienie przyniosło mi ulgę. Rzeczywiście łatwiej zaakceptować pewne sprawy, gdy się najpierw w nie uwierzy. I z tą naiwną wiarą lżej szło mi się z tatą po fajki.

Na drugi dzień [REDAKTOR] pojechał do taty na [REDAKTOR], ale wrócił zadziwiająco szybko. Nie mógł tam wysiedzieć. Nadymione mieli że aż czarno i śmierdziało paloną gumą. A więc jednak to śmierdzi... – pomyślałam lekko rozczarowana. Tyle że kapusta nie musiała już leżeć na stole.

Ten dzień

Dzień, w którym zmarł nagle [REDAKTOWANE], na trwałe wrył się w moją pamięć. To był [REDAKTOWANE]. Ale pamiętam to wcale nie dlatego, że jestem lub kiedykolwiek byłam [REDAKTOWANE]. Nie, na pewno nie. Nie interesowałam się nigdy ani jego twórczością, ani życiem prywatnym. Po prostu nie czułam tej [REDAKTOWANE]. Ale historia, która wydarzyła się w dniu odejścia [REDAKTOWANE] z tego świata, była dla mnie na tyle silnym przeżyciem, że potrzebowałam czyjegoś wsparcia. Umierając właśnie w tym dniu, [REDAKTOWANE] pomógł mi ogarnąć swoje myśli i emocje. Nigdy bym wcześniej nie przypuszczała, że w tych męczących umysł momentach z pomocą przyjdzie mi gwiazda popu. Nie, gdyby ktoś przed [REDAKTOWANE] powiedział mi, że do głębokich refleksji przyczyni się facet, który przeszedł transformację od sympatycznego, czarnego chłopca do wybielonego, zdeformowanego na własne życzenie mężczyzny, to bym po prostu nie uwierzyła. Tyle że początek tego dnia wcale nie wieszczył jeszcze nadciągającej chmury gradowej. Wręcz przeciwnie – niebo zdawało się jasne i przejrzyste. Trudno byłoby zatem wywróżyć mające wkrótce nadejść wydarzenia.

Z tej [REDAKTOWANE]” to w ogóle nie miałam ochoty wysiadać. Zahaczyć o mieszkanie taty, łatwo powiedzieć. Może każdego innego dnia wydałoby mi się to rzeczą prostą do zrealizowania. Ale nie wtedy. Przecież mieliśmy z [REDAKTOWANE] wybrać wreszcie kolor farby do kuchni. A właściwie dobrze namieszać, bo kolor to mieliśmy już od kilku tygodni ustalony, tyle że mieszanie domową metodą dawało już po raz kolejny efekt daleki od zaplanowanego. Niech zatem zamieszają ci, którzy potrafią, czyli maszyna sterowana przez pracownika Leroy Merlin – tak zdecydowaliśmy i wyruszyliśmy w drogę. I wszystko przebiegało zgodnie z planem, dopóki [REDAKTOWANE] nie przypomniał sobie o tacie nazywanym już wówczas prawie zawsze dziadkiem [REDAKTOWANE]. A przypomniał sobie dokładnie w tym momencie, kiedy [REDAKTOWANE] przecinała [REDAKTOWANE]. Niby do taty było przecież blisko, ale tego dnia odczułam to jako kłopot. Oczywiście kłopot nie kłopot, wysiedliśmy. Wystarczyło cofnąć się tylko kawałek [REDAKTOWANE] i już było się na ulicy taty. A idąc tym krótkim odcinkiem zdążyłam opowiedzieć [REDAKTOWANE] pewną historyjkę, która przypominała mi się właśnie zaraz po wyjściu z tramwaju. Słowo „właśnie” ma tu duże znaczenie, bo wydarzyła się ona jakieś osiem lat wcześniej, a jednak zupełnie o niej nie pamiętałam. I właśnie tego dnia, na [REDAKTOWANE] przypominałam sobie to zdarzenie. Może dlatego, że spojrzałam na budynek liceum, w którym historia ta wydarzyła się. Choć pewnie wcześniej spoglądałam na niego wielokrotnie, ale, jak widać, bez skutku dla tej opowieści. Może po prostu ten dzień nie miał być takim zwyczajnym,

codziennym dniem, w którym wszystko układałoby się zgodnie z planem, a historia o tacie miała to delikatnie zasugerować.

W każdym razie wtedy właśnie streściłam [REDAKTOR] historię o tym, jak to swego czasu uczestniczyłam w zajęciach prowadzonych przez [REDAKTOR] i dwoje innych jego znajomych, które odbywały się w jakiejś niewielkiej sali w liceum na [REDAKTOR]. Pierwsza część zajęć dotyczyła masażu, chyba shiatsu, którego uczył [REDAKTOR]. Polegało to na prostej zasadzie – ludzie dobrani w pary masowali się nawzajem, najpierw pierwsza osoba tę drugą, później następowała zmiana i druga masowała pierwszą. Masaż odbywał się oczywiście zgodnie ze wskazówkami [REDAKTOR]. Drugą część zajęć, poświęconą pracy z ciałem podczas tańca, prowadził człowiek zajmujący się tym zawodowo, prywatnie mało interesujący, a prawdę mówiąc – przemądrzały dupek. Dlatego pojawiłam się tam chyba jedynie dwa razy. Przy czym ten drugi raz był dużo ciekawszy, bo udało mi się namówić tatę na wspólne przyjście. Dziś już nie pamiętam, jak wpadłam na ten pomysł i jak tata dał się przekonać, ale faktem pozostaje, że tata poszedł razem za mną na te dziwne zajęcia, których atmosferę mogłabym streścić jako „pretendującą do bycia bardziej uduchowionym niż jest się w rzeczywistości”. Najistotniejsze, co z tego zdarzenia zapamiętałam, to dwie sprawy: po pierwsze – tata grzecznie poddał się masażom, a po drugie – równie grzecznie wziął udział w tańcach. O ile w samym masowaniu nie było nic nadzwyczajnego, o tyle tańce poruszyły we mnie różne emocje: podziw dla taty, że odważył się robić jakieś głupie wygibasy, i to w gronie ludzi zdecydowanie inaczej wyglądających, oraz niechęć do prowadzącego, któremu obecność mojego taty zdawała się być nie na rękę. Warsztaty te odbywały się pod hasłem taniec żywiołów. Tańce miały być uduchowione, pokazywać różne uczucia i stany psychiczne. Kierownik tego przedsięwzięcia, [REDAKTOR], chciał, by były one sztucznie prawdziwe. Wyzwalajmy się ze złych emocji, ale zgodnie z planem [REDAKTOR]. Nie wyzwalajmy się zatem po swojemu. Bądźmy rozluźnieni i zrelaksowani, ale w ramach przyjętych przez [REDAKTOR]. Bądźmy wiotkim, ale i silnym drzewem. Bądźmy niepohamowanym ogniem. Bądźmy ziemią. Bądźmy metaliczni niczym robot. Bądźmy wodą płynącą z nurtem rzeki. A przede wszystkim bądźmy tymi żywiołami tylko przez chwilę, na komendę osoby kierującej ruchem. Sensu tego bycia żywiołami nie warto w tym miejscu analizować, ale jedno nie ulegało wątpliwości – na takie zajęcia nie chadzają raczej alkoholicy ze [REDAKTOR]. Żywioły to oni mają na co dzień. Dlatego tata nie mieścił się w koncepcji zaproponowanej przez prowadzącego. Już sam jego wygląd wykraczał poza „ładne” tańczenie w rytm relaksacyjnej muzyczki. Tak, tata był przeszkodą w estetycznym odbiorze jego zajęć. Ale co ciekawe, nikogo tata nie dziwił i wszyscy odnosili się do niego sympatycznie z wyjątkiem [REDAKTOR]. Widok taty próbującego dostosować się do poleceń i kuśtykającego wraz ze swoją partnerką – [REDAKTOR] – po

całej sali zapisał się w mojej pamięci niczym fotograficzny kadr. Z całą pewnością tata bezbłędnie wykonywał narzucane zadania i rozluźniał się jak tylko mógł. Był przy tym jednak tak niestandardowy, tak pokrzywiony z przyczyn technicznych, że nie mogło to nie drażnić [REDAKTOR]. Tata był, trzeba to podkreślić, prawdopodobnie najbardziej prawdziwy w swoim zachowaniu i w swoich tańcach ze wszystkich biorących udział w zajęciach. Nie o taką jednak prawdziwość chodziło prowadzącemu. Szczerść jego ruchów, mimo swoistej nieporadności, obnażała całą nieszczerść procesu, który miał być jak najbardziej spontaniczny i naturalny. Procesu uwalniania poprzez ciało skumulowanych emocji i stresu. A co do taty, to może rzeczywiście się rozluźnił, choć w dość nietypowy dla niego sposób. Czy tata jakoś to skomentował? Raczej nie. W każdym razie ta historia na długie lata urwała się z mojej pamięci i pojawiła się ponownie właśnie tego dnia, w którym miał umrzeć [REDAKTOR]. Miał, bo stało się to dopiero po południu, a wówczas, gdy szliśmy tą [REDAKTOR], było jeszcze dosyć wcześnie.

A gdy skończyłam ją opowiadać, to skręciliśmy właśnie w [REDAKTOR]. Po drodze do taty zaliczaliśmy zawsze sklep [REDAKTOR], malutki, po schodkach, ale mogliśmy w nim zakupić wszystko, czego tata potrzebował. Zazwyczaj zestaw był podobny: chleb, najtańsza margaryna, najtańsze pasztety, latem jakaś oranżada, czasem konserwa w puszcze, czasem ciasteczka na wagę, i obowiązkowo męskie bez filtra. A tamtego dnia nic nie przebiegało tak zwyczajnie, nawet zakupy w sklepie o dziwnej nazwie [REDAKTOR]. [REDAKTOR] poprosił od razu o wędzoną makrelę.

–Wędzoną makrelę? – zdziwiło mnie to trochę.

–Tak, i do tego jeszcze ogórki kiszzone i cebulę. Dzisiaj zrobimy dziadkowi żydowskie śniadanie. I wówczas, gdy [REDAKTOR] to powiedział, poczułam jakiś błysk niepokoju, który pojawił się zupełnie nagle i równie szybko odpłynął. To była tylko jedna krótka myśl – „a jeśli nie będzie tego komu dać?”. Ale przecież nie zadaje się na głos takich głupich pytań, myśl więc pozostała niewypowiedziana. Nie, nieprawdą jest to, co napisałam wcześniej. Papierosów nie kupowaliśmy zawsze, zwłaszcza od kiedy zdrożały. Wołałam dać tacie na fajki, żeby kupił taniej na melinie. Ale tego dnia fajki wcale nie wydawały mi się drogie. Tego dnia fajki wydawały się wręcz niezbędne do tej makreli z cebulą i ogórkiem.

–I jeszcze męskie bez filtra poproszę – powiedziałam to szybko i równie szybko usłyszałam odpowiedź:

–Nie ma.

–Jak to nie ma? Przecież zawsze były.

Tak, byłam przerażona, choć tak do końca nie wiadomo było czym.

–Ale skończyły się – pani wyjaśniła mi to z pełnym spokojem.

O ile ten wcześniejszy niepokój zniknął niemal natychmiast po nadejściu, o tyle tego niepokoju nie dawało się już wyciszyć. Męskie bez filtra skończyły się. Niby nic takiego, a jednak wewnątrz czułam jakieś rozedrganie. I z tym zasianym lękiem ruszyłam dalej obok [REDACTED] w stronę mieszkania taty przy [REDACTED]. Szliśmy drugą stroną ulicy, z której lepiej widziało się tę poprzednią kamienicę taty, opuszczoną przez lokatorów kilka miesięcy po tym, gdy on dostał eksmisję. Opuszczoną po kolejnym pożarze, wywołanym zresztą przez tego samego mężczyznę, który sprawił, że [REDACTED] nie zdążyła wydać ukradzionych tacie dwustu złotych. Ta stara kamienica stała teraz taka opuszczona, co prawda tylko od frontu, bo w oficynach dalej toczyło się życie. Przechodząc obok numeru [REDACTED], spoglądaliśmy zawsze na okna poprzedniego mieszkania taty, w którym wszystko, z wyjątkiem pomieszczenia z sedesem, zdawało się być ponadprzeciętnego rozmiaru. Wielkie pokoje, wysokie sufity, ogromna wanna przykrywana ogromnym blatem w równie ogromnej kuchni. Nawet stojące swego czasu trzy łóżka w pokoju nie zabierały zbyt dużo miejsca, bo wciąż była przestrzeń na stół, szafę i kredens z siedzącym na nim dużym pluszowym misiem wypchanym trocinami, misiem z dzieciństwa taty. A między tymi meblami wcale nie trzeba było się przeciskać, wręcz przeciwnie – można było nawet swobodnie zataczać się i przewracać. Ale tego dnia tata już od ponad pół roku tam nie mieszkał, a od [REDACTED] nie mieszkał już tam zupełnie nikt. W dawnych oknach taty z wybitymi częściowo szybami powiewały jakieś folie. Wszystkie pozostałe zamknięte na głucho. Ziało pustką, jakby ludzie nie przebywali tam od lat, choć minęło zaledwie parę miesięcy. Minęliśmy kamienicę w parę chwil i tylko przez moment zatrzymaliśmy się, by pogapić się na te osamotnione okna, w których na próżno było wyczekiwać ludzkich śladów. A stamtąd to już blisko do nowego domu taty, w którym z kolei wszystko wydawało się jakieś pomniejszone. Mały pokoik, niski sufit, niby mało mebli w mieszkaniu, a i tak brakowało wolnej przestrzeni. Małe było też jedno jedyne okno, wychodzące na [REDACTED] choć nie bezpośrednio, bo kamienica położona była jakby w głębi podwórka. W to okno też zawsze patrzyliśmy, gdy szliśmy do taty, albo gdy po prostu przechodziliśmy jego ulicą. I tego dnia również w to okno spojrzeliśmy. Odruchowo, ale i kontrolnie. Na zasadzie „a co tam dziadek [REDACTED] porabia”. Wedle naszych prognoz okno powinno być otwarte, bo ten dzień, [REDACTED] zapowiadał się naprawdę pogodnie. Ale to nieduże okienko, okienko co prawda nowoczesne, bo z wymienionymi na plastikowe futryny, było tego dnia zamknięte. I zamknięte miało pozostać jeszcze przez parę dni, do czasu, gdy sami je otworzymy. Czy to nas zdziwiło, że tata nie wietrzy mieszkania w taki słoneczny dzień, może nie upalny, ale jednak przyjemnie ciepły? Tak, zdziwiło nas. A mnie raczej znowu przez chwilę zaniepokoiło. Ale po co się tak wciąż niepokoić. Może to po prostu taki dzień. Makrela, męskie bez filtra i zamknięte

okno. Gdy wchodziliśmy po schodach, próbowałam przekonać [REDAKT], żeby nie dawał tacie zbyt dużo pieniędzy. Taką miałam taktykę. Kasy nie dawać mu prawie wcale, bo i tak wyda ją na royal. Za to [REDAKT] skąpy nie był wcale. Tata dość szybko się zorientował, żeby mnie prosić o jedzenie, fajki albo dwa złote, a [REDAKT] o pięć albo nawet o dyszkę. A wtedy jakoś wyjątkowo upierałam się, żeby tacie za dużo gotówki nie wręczał, bo tata powinien trochę mniej pić. I nakłaniałam tak [REDAKT] aż do momentu, gdy będąc już w połowie schodów prowadzących na drugie piętro, dostrzegłam drzwi taty. Pierwsza szłam po schodach, więc też pierwsza spostrzegłam taśmy przyklejone w paru miejscach na tych brązowych, drewnianych drzwiach. Nigdy wcześniej nie widziałam takich taśm, a jednak bezbłędnie odczytałam ich sens. Policja, prokurator, sąd. Taśmy naklejone były po lewej stronie na brzegu drzwi, łącząc je z brudną ścianą. Ich przeciętny kolor – biały – wyróżniały napisy przystemplowane jak z pieczątki. Z daleka niewyraźne, dopiero przy bliższym spojrzeniu ujawniały źródło swego pochodzenia. Jęknęłam zresztą jeszcze przed ich przeczytaniem, bo od razu stało się dla mnie jasne, że tata już tu nie mieszka. Tu nie mieszka znaczyło dla mnie nie tylko tu – w tym mieszkaniu – ale też w ogóle tu na tym świecie. Z tej pewności nie udało się mnie już wyprowadzić, choć [REDAKT] próbował. Ach, przesadzasz z tymi czarnymi myślami. Może po prostu pobili się. Kto się pobił? Przecież tata nigdy się nie bił. [REDAKT], taty już w tym życiu nie spotkamy. Taty już tu nie ma. Może i [REDAKT] sam chciał wierzyć we własne słowa otuchy, ale ja wcale nie zamierzałam. Poza uspokojeniem emocji pozostało nam jeszcze przeczytanie napisu z taśmy na drzwiach. Komisariat [REDAKT] Policji w Łodzi. Któryś tam rewir dzielnicowych. Numer telefonu. I adres. Ten na [REDAKT].

Tę drogę ze [REDAKT] pokonaliśmy otumanieni kłębamii myśli i emocji. Czy była to wędrówka na pieszo, czy może tramwajem, zupełnie dziś nie pamiętam. Ale widzę za to nas siedzących przed okratowanym okienkiem, a za nim dwóch policjantów szukających w swoich policyjnych księgach jakiegoś śladu [REDAKT] mieszkającego jeszcze do niedawna na [REDAKT]. A właściwie to do kiedy? Czy pamiętacie Państwo, kiedy ostatni raz widzieliście się z tatą? Czy pamiętamy? Chyba tak, to było jakoś krótko przed [REDAKT]. Policjant zaczął szukać rejestru wydarzeń po tej dacie i coś znalazł. Ale musiał na moment wyjść i upewnić się. Wrócił chyba z jakąś policjantką. I wreszcie wypowiedział to, na co już od kilkunastu minut czekaliśmy. Słowa przewidywalne w swej banalności, którym ten równie przeciętny policjant nie starał się nadać żadnego piętna indywidualizmu. Nie, nie zaprosił nas wcale do żadnego pokoju. Powiedział to tak, jak stał. A i my już wtedy staliśmy, oczekując w napięciu jego przyjścia. „Bardzo mi przykro, ale pani tata nie żyje”. Wiedziałam to co prawda od chwili ujrzenia tych drzwi oblepionych taśmą, ale

dopiero tam w tej przejściowej poczekalni, gdzie stały dwa krzeselka, na ścianie wisiał dziwny telefon, a wejście na kolejne schody zabezpieczone było kratami, tam właśnie poczułam nieodwołalność tego zdarzenia. Tata umarł, a stojący przed nami mężczyzna w mundurze wiedział nawet kiedy. Lekarz przyjechał do jego mieszkania [REDAKTOR] i stwierdził zgon. Całej reszty mieliśmy się dowiedzieć od dzielnicowych zajmujących się tą sprawą. Tyle że dzielnicowi akurat wówczas wyjechali w teren i jedyne, co zdołaliśmy ustalić, to fakt, że ciało taty znajdowało się teraz w zakładzie medycyny sądowej na ulicy [REDAKTOR], a my powinniśmy je zidentyfikować. Tata nie miał ponoć przy sobie żadnego dokumentu tożsamości, leżał więc jako człowiek o nieznanym nazwisku. Otrzymaliśmy zatem zadanie – przywrócić tacie tożsamość.

O ile droga z mieszkania taty na komisariat była naznaczona atmosferą niepotwierdzonych obaw i wewnętrznego napięcia, o tyle ta druga część podróży – z komisariatu do prosektorium – była dużo bardziej męcząca, pełna smutku, bólu i milczenia. Wędrowaliśmy rozgrzanym tramwajem na [REDAKTOR], wioząc ze sobą w przezroczystej reklamówce wędzoną makrelę, cebulę, chleb i sporą oranżadę w półtoralitrowej butelce. [REDAKTOR] chciał zresztą porzucić gdzieś po drodze te zakupy, ale je uparłam się, żeby nosić je se sobą. Dotarliśmy więc z nimi pod budynek prosektorium, którego poszukiwanie zajęło nam sporo czasu i przypominało mityczne wędrowanie w labiryncie. Raz za razem wydawało nam się, że jesteśmy we właściwym miejscu, by po chwili stracić orientację i zgubić drogę prowadzącą nas pokrętnie do tej jakże dziwnej przestrzeni z pogranicza świata żywych i umarłych. Budynek, w którym mieścił się zakład medycyny sądowej, dobrze maskował swoją funkcję. Ukryty pośród drzew i bloków, z jednej strony graniczył z parkiem. Osoba spacerująca tamtędy po raz pierwszy nie spodziewałaby się jego przeznaczenia. My również byliśmy zaskoczeni, mile zaskoczeni, co choć na chwilę złagodziło wewnętrzny lęk, coraz silniejszy z każdą chwilą i z każdym krokiem zbliżającym nas do drzwi, za którymi mieliśmy zobaczyć ciało taty. Swoich obaw nie musieliśmy wcale wypowiadać na głos, by doskonale wiedzieć, o czym się wówczas myślało. W jakim tata jest stanie? Jak będzie wyglądał? Przecież nie wiedzieliśmy zupełnie nic o jego odejściu – w jaki sposób zmarł, kiedy, czy jego ciało od razu tu przywieziono. Wszystkie okoliczności jego śmierci wciąż jeszcze były dla nas zagadką, gdy przekroczyliśmy wreszcie próg prosektorium. Jedynym widocznym pomieszczeniem, do którego wchodziło się po otwarciu drzwi wejściowych, była malutka portiernia z siedzącym w niej za biurkiem portierem i dwoma albo trzema krzesłami dla ludzi takich jak my, którzy przyszli pożegnać się z nieżywymi ciałami bliskich im osób. Z portierni prowadziły jeszcze dwie pary drzwi, sterylnie białych drzwi oddzielających dwa różne światy – świat ludzi żywych, którego strażnikiem był portier patrzący

przez szybę na coraz mocniej świecące słońce, oraz świat ludzi umarłych, którzy leżeli zamknięci gdzieś tam w podziemiach budynku w lodowatych szafach. Przez pierwsze drzwi można było przejść do garażu, w którym załadowywano do samochodów trumny ze zmarłymi. Przez drugie schodziło się bezpośrednio do piwnicy, gdzie znajdował się ten inny świat. Gdy portier zadzwonił, to właśnie w tych drugich drzwiach pojawił się szczupły mężczyzna w białym, lekarskim ubraniu. Był konkretny, ale niezwykle uprzejmy. Zapytał tylko o nazwisko i poprosił, by poczekać. Sam znowu zniknął za bielą drzwi. Czekaliśmy najpierw przy portierze, ale to małe pomieszczenie zdawało się być zbyt małe, by pomieścić targające nami emocje i napięcia. Przed garażem, gdzie słońce rozgrzewało niewielkie podwórko, czekało się dużo lepiej. Serca skołatane, oddechy płytkie, a myśli coraz bardziej drążące umysł, myśli, które krążyły szczególnie szybko wokół jednej sprawy – stanu ciała taty. Ta myśl nie chciała się odzepić, bo kwestia wyglądu zwłok była największą niewiadomą. Pamiętając o ciele ■■■■ znalezionym w mieszkaniu taty, obawiałam się podobnych wrażeń i właściwie to starałam się na nie przygotować. Z każdą chwilą spędzoną na tym podwórku oswajałam się z myślą, że oto za moment ujrzymy nieżywe ciało taty i to być może ciało w ogóle taty nie przypominające. Ten kołowrót tworzonych w naszych umysłach wizji, przerwało prawie bezgłośnie pojawienie się człowieka w bieli i grzeczne „Proszę za mną”. Schody w prosektorium prowadziły w dół, a niska konstrukcja sufitu sprawiała, że widziało się tylko niewielki wycinek innej rzeczywistości. Wspaniała metafora osvajania się z tym drugim światem i z nieuchronnością odejścia z pierwszego. Z każdym krokiem, z każdym schodkiem byliśmy coraz niżej i jednocześnie widzieliśmy coraz więcej. Najpierw tylko kolejne schody, z których niósł się mocny dźwięk naszych stąpanięc. Później nogi pracownika prosektorium, a obok nogi łóżka czy może raczej stołu na kółkach do przewożenia ciał. Stopniowo wyłaniała się dalsza część sylwetki stojącego mężczyzny i ten niebieski worek, a wszystko to na tle zimnych kafelków. Wszędzie kafelki, kafelki i dziwny chłód. Tatę zobaczyłam gdzieś w połowie schodów. A właściwie tylko jego dawną fizyczną powłokę, tak niespodziewanie ładną i spokojną. Tak, tata wyglądał jakby spał. Tyle że w dziwnych warunkach – w niebieskim worku z rozsuniętym ekspresem. Z jednej strony odczułam ulgę, że z taty ciałem nie jest tak źle, jak przewidywaliśmy. Z drugiej strony tym większa była moja rozpacz, bo zdawało się, że tata tylko zasnął. I nawet żółty odcień skóry nie sprawiał nieprzyjemnego wrażenia. Najgorsze w tym spotkaniu z nieodwołalnym kresem ludzkiego ciała było to, że tata wyglądał prawie jak za życia, po prostu normalnie, a jednocześnie jeden element jego ciała wyprowadzał z tej iluzji. Tata był niemal jak żywy, a równocześnie jego oczy wyrażały bezmierną pustkę. Mówią, że oczy są zwierciadłem duszy. Tak, to prawda. Paradoksalnie najłatwiej przekonać się o tym właśnie w zetknięciu z kimś

nieżywym, kogo nie wypełnia już boże tchnienie. Ciało bez duszy jest niczym porzucona przez rycerza zbroja. Porzucona po stoczonej walce, stara, zniszczona i już więcej rycerzowi nieprzydatna. Dusza ujawnia się najpiękniej właśnie w oczach. W ich spojrzeniu, w wyrazie, w ich błysku. Gdy dusza umyka z ciała, spojrzenie gaśnie i zachodzi mgłą, a oczy wyrażają pustkę. Tak wyglądały wówczas oczy taty. Za życia miał oczy piwne, a teraz tkwiło w ich miejscu coś niebieskawego, jakby zamglonego. Nie patrzyły ani na nas, ani nigdzie. Do ich opisu w ogóle nie pasowałyby żadne czasowniki i przymiotniki kojarzone z oczami. Patrzyć, widzieć, spoglądać, poruszać się, zerkać, spojrzenie bystre, albo zmęczone, mieć błysk w oczach – wszystkie te słowa nie byłyby w stanie opisać oczu zmarłego. Niektórzy po zobaczeniu zmarłej osoby mówią, że bali się spojrzenia tych zimnych, nieobecnych oczu. Niesłusznie. Bo to nie jest w ogóle spojrzenie. To jest nie-bycie, nie-życie w tym świecie. Taty oczy wyrażały najgłębiej to, że spotkaliśmy się tylko z jego ciałem, że on już nie będzie dla nas obecny. Najlepiej było nie patrzeć w ich niebieską dal, choć trudno było tego uniknąć, oraz przerzucić spojrzenie gdzieś indziej. Tak też zrobiliśmy. Tata miał jakąś koszulkę z krótkim rękawem i majtki. Odsunęłam jeszcze bardziej suwak i worek rozchylił się, ukazując gołe nogi taty. Patrzyłam na te szczupłe ręce, nogi, na twarz tak spokojną w wyrazie. Uprzejmy mężczyzna zapytał nas, czy potwierdzamy dane leżącego przed nami człowieka. Tak, to był z pewnością mój tata zwany przez nas dziadkiem [REDAKTOR]. Patrzylibyśmy tak na niego zapewne jeszcze przez jakiś czas, ale z tego stanu wyrwał nas znów ten miły człowiek.

–Proszę pani, ale musimy już schować ciało z powrotem, bo zaczęło się rozmrażać.

–Dobrze, jeszcze tylko chwilę.

I po chwili znowu, już bardziej zdecydowanym tonem:

–Ale już naprawdę musimy je zabrać.

–Tak, oczywiście, proszę już zabrać.

Krótko i rzeczowo, a przy tym niespodziewanie grzecznie i spokojnie. Ten człowiek w białym fartuchu był niesłychanie uprzejmy, a do tego emanował spokojem i wewnętrzną harmonią. Idealny lekarz – jak sądziliśmy – do takiej pracy, do obcowania z ludźmi żywymi i zmarłymi jednocześnie, do uczestniczenia w cudzym bólu i smutku. Wiedzieliśmy, że wrócimy tam jeszcze raz, bo chcieliśmy osobiście przygotować ciało do pochówku. Przy wyjściu [REDAKTOR] chciał jeszcze wręczyć portierowi tę półtoralitrową oranżadę, bo, jak powiedział, dziadkowi już się nie przyda, ale facet zdecydowanie nie chciał jej wziąć, patrząc na nas dość podejrzliwie. Ruszyliśmy więc w dalszą drogę z tym samym wyposażeniem, z którym tam przybyliśmy.

A dalsza droga prowadziła na bałucki rynek, gdzie chciałam choć przez chwilę ukoić emocje, choć przez chwilę znaleźć się w świecie ludzi podobnych do taty. I rzeczywiście,

sprzedających śmietnikowe pierdoły było sporo, bo i dzień był wyjątkowo sprzyjający dla handlujących. Mimo że minęło zaledwie południe, niektórzy nie mogli już utrzymać się na nogach i sprzedawali w pozycji siedząco-leżącej. Wybrałam sobie właśnie takiego ledwo trzymającego się mężczyznę, który swoim wyglądem najbardziej przypominał mi dziadka [REDACTED].

–Czy jest pan głodny? Czy chciałby pan chleb i makrelę?

Człowiek spojrzał na mnie biednym, bezsilnym wzrokiem.

–Ale ja nie mam pieniędzy – wyszeptał.

–Ale to dla pana, proszę.

Tak właśnie nasze żydowskie śniadanie powędrowało wreszcie w odpowiednie ręce. Wędzona makrela, chleb i cebula, przez które tak mocno wzdrygnęłam się w sklepie, [REDACTED] na [REDACTED] trafiły w końcu do starszego wyglądem mężczyzny z brodą, który siedział, wspierając się na gastronomicznej budzie, siedział w ciepłych ubraniach, choć na zewnątrz zrobiło się już całkiem upalnie. Pewnie wówczas był nawet zbyt zmęczony i pijany, by pomyśleć o jedzeniu. Ale to nic, dla nas najważniejsze było to, że przypominał nam naszego dziadka [REDACTED], który jakoś wywinął się z tego świata. Ale jak, nie wiedzieliśmy, więc ruszyliśmy z powrotem na [REDACTED]. [REDACTED] udało mi się odszukać u pani [REDACTED]. Tam właśnie dowiedziałam się szczegółów. A potem mogliśmy wreszcie wrócić do domu, by w domowym zaciszu toczyć dalej wewnętrzną walkę, walkę z własnymi emocjami i uczuciami. Właściwie dopiero w mieszkaniu dotarł do mnie coraz mocniej wzbierający smutek. I gdy tak siedziałam na kuchennym fotelu, przegrywając co chwilę bitwę toczoną z podchodzącymi do oczu łzami, właśnie wtedy [REDACTED] przekazał mi najświeższą informację usłyszaną w radiu – [REDACTED] [REDACTED]. Nie, w pierwszej chwili w ogóle mnie to nie zainteresowało. Ale potem powoli wiadomość ta zaczęła wywoływać we mnie przemyślenia, które, choć nie były dla mnie niczym nowym, to jednak dotarły wówczas jakby głębiej, ukazały się wyraźniej w swej prostocie i oczywistości. A zatem każdy, kto się narodził, musi też odejść – niby wiemy o tym wszyscy, ale większość stara się o tym raczej nie pamiętać. I w tej chwili odchodzenia, opuszczania ciała jesteśmy znowu jak rodzące się dzieci – wszyscy równi i wszyscy nadzy. Znikają wówczas wszystkie nierówności, tak widoczne w ziemskim życiu. Tak, różne myśli tłoczyły się w mojej głowie tego dnia, kiedy odkryłam te zamknięte, zataśmowane drzwi mieszkania taty, tego dnia, gdy [REDACTED]. Właśnie wówczas, [REDACTED], zaczęła powoli kończyć się moja przygoda ze światem ulicy [REDACTED], ze światem mojego taty, światem, który choć bywał czasami brutalny i odpychający, to jednak przyciągał mnie, inspirował i skłaniał do refleksji.

Następne dni

Następne dni przeminęły, choć zdawało mi się wielokrotnie, że już na zawsze pozostanę w emocjonalnym chaosie. Nie, czas wcale się nie zatrzymał, lecz biegł dalej swoim torem, tyle że to ja miałam kłopoty, by na ten właściwy tor wskoczyć. Przechodziłam odejście taty w różnych stanach, a gdzieś obok rozgrywała się [REDACTED]. To płynęło równolegle i trzeba powiedzieć, że czasem dawało ukojenie. Nasze rodzinne dylematy okazały się być wtedy na topie. Jak umarł, w jakich okolicznościach, czy cierpiał, a później – gdzie pochować, jak pochować, trumna czy urna. Tata żył na marginesie, trochę nietypowo, i tak też umarł – typowo dla jego ulicy, ale od strony formalnej w sposób skomplikowany. Zaliczyłam więc jeszcze dwukrotnie komisariat, raz prosektorium, dwa różne urzędy, pogotowie, kilka razy zakład pogrzebowy, a w tym czasie ciało taty dalej leżało w zimnej szafie. Najpierw poznałam dzielnicowych odpowiedzialnych za ulicę [REDACTED], takich przeciętnych polskich facetów, jednego młodszego, drugiego starszego, którzy zakrzyknęli na mój widok z entuzjazmem w głosie:

–Jak panią znaleźli?

–Ale kto mnie znalazł? Sama się znalazłam.

–No ci poszukiwacze, oni pani szukali.

Z jednej strony dobrze było wiedzieć, że policja jednak szuka, a z drugiej niezbyt dobrze było stwierdzić, że robi to mało skutecznie. Dzielnicowi pytali o jakieś szczegóły i gdy próbowałam im tłumaczyć, że tata to był raczej spokojny i nie wdawał się w awantury, to jeden z nich zapytał podsumowująco: „To nie był jakimś menelem, tylko taki normalny?”. Trudne pytanie, lepiej było wcale nie odpowiadać. Zwłaszcza że ceniliśmy sobie chyba odmienne wartości życiowe. Szczera odpowiedź wymagałaby licznych wyjaśnień. A potem trafiłam do wyższego rangą policjanta, który nie siedział w jednym z licznych pokoi odchodzących od długiego, wąskiego korytarza zakończonego kratami, lecz gdzieś w przyjemnym pomieszczeniu na strychu, do którego wchodziło się z ukrytej w głębi oficyny, po dziwnych, drewnianych schodkach. Teraz on prowadził tę sprawę przekazaną przez mniej bystrych kolegów dzielnicowych. Policjant miał zamiar jechać ze mną do prosektorium, bym mogła ponownie zidentyfikować ciało taty, koniecznie w jego obecności. Umówiliśmy się więc na poniedziałek rano, na [REDACTED]. Przyjechać miał nieoznakowanym autem, ubrany w wojskową bluzę. Tak też było. Policjant w stroju nieoficjalnym zjawił się w wyznaczonym miejscu i ruszyliśmy w drogę na [REDACTED]. Facet nie miał jeszcze zawodowej znieczulicy i znużenia pracą. Podzielił się własnym doświadczeniem

związany ze śmiercią swojego ojca. Od słowa do słowa zesłiśmy na temat [REDAKTOWANE] i okazało się, że to właśnie on prowadził sprawę tego pożaru, z którego jako jedyny wyratował się [REDAKTOWANE]. On też był z rodzinami spalonych wówczas osób, gdy trzeba było zidentyfikować ciała. Ciała [REDAKTOWANE] i pary jej znajomych. Tak, to nie było wcale łatwe. Droga minęła szybko, a przed prosektorium poczułam ponownie wewnętrzny niepokój. Znowu portier, tyle że tym razem policjant fachowo wyciągnął legitymację i obyło się bez zbędnych słów. I znowu pojawił się uprzejmy człowiek w jasnym fartuchu, którego podejrzewałam o bycie niezwykle udanym przykładem lekarza, idealnego lekarza, jakich pewnie niewielu. Człowiek wyjrzał tym razem zza tych drugich drzwi, tych prowadzących do garażu. Poznał mnie i stanowczo powiedział, że ciała po raz drugi nie okaże. „Ta pani już tu była i ciało zidentyfikowała”. Policjant przekonywał, że on musi być przy tym rozpoznaniu osobiście, ale na człowieku dzierżącym władzę nad światem zmarłych leżących w dostępnych tylko jemu szafach zdawało się nie robić to wrażenia. „Ja potwierdzam, że ta pani rozpoznała”. „Ale musi to zrobić jeszcze raz przy mnie, bo taki jest wymóg spisania raportu”. Człowiek, który by niezwykle uprzejmy, okazał się jeszcze człowiekiem, któremu nieobce było współczucie. Tak, ten człowiek chciał mi oszczędzić kolejnych silnych emocji i łez. Powiedział więc jeszcze raz głosem nie pozostawiającym wątpliwości, że zdania nie zamierza zmienić: „Ciała nie okażą. Nie ma takiej potrzeby. Pani już je widziała.”. I właśnie chciał się schować za białymi drzwiami, gdy zadałam mu jeszcze jedno pytanie, pytanie z dziedziny medycznej. Powód śmierci, sekcja itp. „Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie, nie jestem lekarzem, jestem tylko pracownikiem”. A więc jednak nie był prawdziwym lekarzem z powołania, lekarzem idealnym, jakich pewnie niewielu. Schował się zatem ten nielekarz za drzwiami i wizyta dobiegła końca. Policjant może i nie był zachwycony, ale nic nie mógł zrobić. Jego władza zdawała się nie sięgać tam, do innej rzeczywistości, w której dochodziło do nieustannego stykania się świata żywych ze światem umarłych. Pozostało mu uznać, że oględziny odbyły się, i spisać ten protokół.

–Po czym rozpoznała pani swojego ojca?

Dziwne pytanie, które wymagało udzielenia nieco infantylnej odpowiedzi.

–Wyglądał jak tata.

–Rozumiem, ale po czym go pani poznała?

To tak, jakby zapytać, po czym poznajemy spotykanych na ulicy przyjaciół, znajomych i sąsiadów. Musiałam przez chwilę zastanowić się, po czym.

–To może proszę napisać, że po twarzy, choć właściwie to po wszystkim.

–Czyli twarz przypominała twarz pani ojca.

–No tak, bo to był mój ojciec.

–A czy miał jakieś znaki szczególne?.

–Tak, drut wystawał mu z kolana.

Policjant jakby złapał trop:

–Aha, i pani go po tym też poznała.

–Nie, wcale nie patrzyłam na taty kolana. On po prostu wyglądał jak za życia.

Policjant napisał chyba wreszcie, że „po twarzy”. Jeszcze podpis. Jego i mój. I to, na co najbardziej czekałam – wręczył mi klucz do mieszkania taty. Ten klucz był wtedy jak największy skarb. Mogłam dzięki niemu jeszcze choć parę razy zajrzeć na [REDAKTOWANE] posiedzieć u taty, choć już nie do końca u niego. Potem klucz miałam zanieść do administracji, czego zresztą wcale nie zrobiłam, wciąż odkładając to na następny tydzień. Ale wtedy trzymałam ten klucz w dłoniach, klucz zamknięty zszywkami w papierowym opakowaniu. Policjant zaproponował podwiezienie we wskazane miejsce, a po drodze wyjaśnił mi szczegóły sprawy taty. Ponoć nie miał on przy sobie dokumentu, ale ten policjant wiedział to z drugiej ręki, bo sam w mieszkaniu taty nie był. Co prawda byli w mieszkaniu jacyś kumple taty i oświadczyli, że jest to ich kolega [REDAKTOWANE], ale koledzy to tylko koledzy i tożsamość musi potwierdzić rodzina. Dlatego należało odszukać mnie. Tyle że ja akurat nie miałam stałego adresu zameldowania, a do tymczasowych policja nie ma dostępu. Nie mogli też skontaktować się z moją mamą, bo nie była ona żoną [REDAKTOWANE], lecz jedynie była żoną. Zapewne jako moja matka mogłaby pomóc mnie namierzyć, ale kontakt z byłymi małżonkami jest prawnie zabroniony i użycie tej metody było ostatecznością, choć wydawać się mogło najłatwiejszym rozwiązaniem sprawy. Wytyczne w pracy policji wydały mi się zupełnie nielogiczne. Trudno przy tym było dziwić się jej efektom. Rozstaliśmy się z policjantem przy obopólnym poczuciu ulgi. On był zadowolony, że wreszcie się znalazłam, rozwiązując tym samym podlegającą mu sprawę, a ja byłam zadowolona, że w porę odkryliśmy los taty, bo inaczej zostałby pochowany jako osoba o nieznanym tożsamości.

Po zaliczeniu policji i prosektorium czekały mnie jeszcze wizyty w dwóch urzędach. Niby tylko formalność, a i tak marginesowość życia taty dała o sobie znać. Gdy poprosiłam o poświadczenie wymeldowania, dotarło to do mnie, i to w formie pisemnej, że tata był wciąż zameldowany w swoim poprzednim mieszkaniu, [REDAKTOWANE]. W tym nowym formalnie nigdy nie mieszkał. Wymeldowałam więc tatę spod [REDAKTOWANE]. To z kolei wywołało zdziwienie pani na pogotowiu.

–Proszę podać adres, gdzie zmarł ojciec.

– [REDAKTOWANE].

–I jeszcze poproszę o adres zameldowania.

— [REDACTED]

—To w którym mieszkaniu zmarł?

—W swoim.

—Proszę pani, ale to się nie zgadza.

—Tak, wiem.

W tych dniach ścisłej żałoby, kiedy emocji i napięć było tak wiele, że aż trudno było wieczorem zasnąć, najlepszą metodą okazała się być ta ze [REDACTED]. Setka na dobranoc, czasem trochę więcej, a rano moralny kac. Jeszcze bardziej niż odejście taty dołowało mnie to uczucie po przebudzeniu, kiedy wszystko bolało, fizycznie i psychicznie, głowa, oczy i stopy, tyle że w pierwszym momencie nie wiadomo było, dlaczego boli. Poranek. Budzę się. Łeb mi pęka, ciężkość powiek zmęczonych łzami, ręce lekko drżą, stopy bolą od emocji i wydreptanych kilometrów. Dlaczego jest tak niedobrze? I wtedy przypominam sobie, że to z powodu taty, że tata już przecież nie żyje. I już na „dzień dobry” przygniata znów prawda ludzkiego istnienia: nasze ciała, z którymi tak bardzo się utożsamiamy, te ciała, do których tak bardzo jesteśmy przyzwyczajeni, nie mają w sobie nic z wieczności.

Prosektorium

W prosektorium najzabawniej jest nad ranem
Czasem spadnie coś ze stołu – czasem ktoś
Po czymś takim następuje
Ożywienie zrozumiałe
Krótkotrwałe bo dzień wstaje jak na złość
Maciej Zembaty

Sprawa osobistego przygotowania ciała taty do pochówku wydawała nam się czymś oczywistym. Choć ze słów różnych ludzi i intonacji ich głosu wynikało, że tylko nam. Bo po co samemu bawić się w takie sprawy, skoro profesjonaliści mogliby zrobić to za nas? Uprzejmy człowiek z prosektorium wyraził zgodę na naszą prośbę, więc w dniu, gdy miała być przeprowadzona kremacja, zjawiliśmy się na podwórzu tego budynku ukrytego pośród domów i zieleni. Budynku, który skrywał w swych podziemiach zimne, nieruchome ciała tak dziwnie, a wręcz upiornie, kontrastujące ze sterylnością wnętrza. Przyjechaliśmy tam wcześniej rano razem z [REDACTED], którymi zająć miała się moja kumpela [REDACTED] oraz

moja mama. Oni zostali przed budynkiem, a my po raz drugi zeszliśmy po schodach do innego świata, świata zimnego, spokojnego, obłożonego czystymi kafelkami, które odbijały nieco przerażająco każdy dźwięk, każdy stukot i szuranie. Uprzejmy człowiek zaprosił nas do niedużego pomieszczenia, w którym czekało już na nas ciało taty leżące na prosektoryjnym stole. Staliśmy znieruchomiali, bo zupełnie nie wiedzieliśmy, co dalej. Wydawało nam się, że któryś z pracowników coś powie, poradzi, a może nawet pomoże. Ale oni jakby wcale nie zamierzali. Ten miły spojrział na nas zdziwiony, gdy poprosiliśmy o pomoc.

–Ale państwo chcieliście wszystko robić sami. Tu jest ciało. Tam jest kosz na wszelkie odpady. Gdy ciało będzie już przygotowane, to proszę powiedzieć – przełożymy je wówczas do trumny.

I już chciał wyjść, ale zdążyłam jeszcze zadać pytanie:

–Proszę pana, a co z tymi otwartymi oczami? Nie wiemy, jak je zamknąć, nie chcielibyśmy uszkodzić.

–To się zrobi na końcu – odparł spokojnym tonem, jakby mówił coś zupełnie oczywistego.

Nie, to w ogóle nas nie pocieszyło. „Na końcu” oznaczało bowiem, że wciąż musielibyśmy natykać się na tę niebieską mgłę tkwiącą nieruchomo, a jednocześnie rozciągającą się gdzieś głęboko w miejscu dawnych oczu taty.

–A czy mógłby pan zrobić to teraz?

Uprzejmy człowiek wydał się lekko zniecierpliwiony, ale wrócił do tego stołu na kółkach i fachowym ruchem chwycił po kolei najpierw jedną, a potem drugą powiekę. Odetchnęliśmy z ulgą. Ale tylko na chwilę, bo miły pan właśnie wycofywał się na korytarz. A więc jednak zamierzał nas tu zostawić samych z tym ciałem. Chyba właśnie wtedy poczułam wewnętrzne przerażenie. Dlaczego my się na to zdecydowaliśmy? Przecież mogliśmy zupełnie za darmo skorzystać z ich usług. Czemu upieraliśmy się, że chcemy sami rozebrać, obmyć i ubrać ciało taty? Ten grzeczny człowiek najwyraźniej postanowił dać nam nauczkę. Chcieliśmy, to teraz mamy. Wyszedł. Ale wtedy dostrzegłam tego drugiego – dużego, dobrze zbudowanego faceta o prostym wyrazie twarzy. Dłonie oparł na biodrach i tak rozpostarty gapił się na nas nieco tępowym wzrokiem. Tyle że wówczas wydawał mi się ostatnią deską ratunku.

–Proszę pana, a czy pan może nam pomóc?

Pan aż przechylił głowę na bok, a potem powoli, z niejaką satysfakcją wycedził:

–Nie, to nie należy do moich obowiązków.

I wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Pierwsze chwile były porażające. Myśli kłębiły się. A ciało taty coraz bardziej topniało i na powierzchni skóry pojawiało się z każdą minutą coraz więcej kropli wody. Musieliśmy zatem ustalić plan działania. Najpierw wysunąć spod ciała ten niebieski worek podpisany czarnym mazakiem, a dopiero potem myśleć, co dalej. Niby prosta sprawa –

wyjąć folię, ale w praktyce, dla takich amatorów jak my, okazała się bardzo trudna. Stół nie miał żadnych blokad, więc każde pociągnięcie sprawiało, że sunął po wypolerowanych kafelkach niczym po lodzie – to w jedną, to w drugą stronę. Bardzo staraliśmy się zachować wszelką ostrożność wobec ciała taty, bo nasza wiedza była zbyt mała, by móc działać racjonalnie. Ta przesadna delikatność okazała się zresztą zbędna. Ale nie szła nam ta praca lekko. Stół uciekał, worek nie chciał się wysunąć, a do tego jeszcze większość tej czarnej roboty wykonywał sam [REDACTED] bo ja robiłam wszystko, by uniknąć ewentualnych wrażeń zapachowych. Nie o to nawet chodziło, że brzydziłam się. Po prostu nie chciałam dopuścić do siebie tego specyficznego zapachu, który miałam już okazję poznać w domu taty, gdy zmarł [REDACTED]. Wolałam, by ta woń nie kojarzyła mi się z moim tatą. Ruchy zatem należało wykonywać powolne, by nie wzbudzać powiewów powietrza, a do tego nie pochylać się nad łóżkiem. Głowa lekko w tyle i płytkie oddechy. To zwiększało szanse, że uniknę tego jednego konkretnego zapachu. Zwłaszcza że w pomieszczeniu i tak było czuć czymś obcym, tyle że nie od strony łóżka. Obłożony żółtymi kafelkami pokój sam w sobie pachniał, mimo że na stałe kręcił się wentylator zainstalowany wysoko na ścianie. Gdy udało nam się wreszcie wydobyć ten worek, przyszła kolej na ubrania. O ich zdjęciu w normalny sposób nie było mowy – tego byliśmy już pewni po akcji z workiem. Za najprostszą metodę uznaliśmy cięcie ich nożyczkami, a potem wysuwanie kawałek po kawałku. I gdy chcieliśmy wyciągnąć jedną z części koszulki – tę, która była pod plecami taty – to wówczas coś upadło na podłogę. Dźwięk był wyraźny, bo przedmiot stuknął o kafelki. Nastąpiła chwila dziwnego bezruchu, jak gdyby wszystko na chwilę się zatrzymało. [REDACTED] podniósł z podłogi tę dziwną rzecz, która spadła ze stołu. Spojrzeliśmy na nią i parsknęliśmy śmiechem. To było zwyczajne, puste opakowanie po kefirze. O ile jednak nie wydawałoby się ono niczym nadzwyczajnym na stole w mieszkaniu taty na [REDACTED] o tyle nikt chyba nie spodziewałby się znaleźć go przyklejonego do koszulki w prosektorium. Tak, zaśmialiśmy się szczerze i głośno, a potem szybko ucichliśmy w obawie przed przyłapaniem z wypitym kefirem w dłoni. Czym prędzej pozbyliśmy się też dowodu rzeczowego. Ale jeszcze kilka razy przypominaliśmy sobie o tej możliwości, że ci dwaj panowie – jeden szczupły i uprzejmy, a drugi zwały i chamowaty – mogliby nakryć nas, stojących z przedmiotem tak dziwnie nierealnym w tamtejszej przestrzeni. I za każdym razem, gdy o tym pomyśleliśmy, na naszych twarzach pojawiał się głupawy uśmiech. Bo oto ten całkiem banalny kawałek plastiku sprawił, że całe wewnętrzne napięcie, które dość długo nie chciało nas opuścić w tym świecie zimnych, nieżywych ciał i równie zimnych kafelków, wreszcie uleciało. Nawet nasza praca zaczęła szybciej i łatwiej posuwać się do przodu. Sprawa nie wydawała się już tak poważna, skoro na ten drugi świat można było udać się z kefirem. Ciało taty, zgodnie z zamiarem, rozebraliśmy,

rytualnie obmyliśmy, ogoliliśmy i na koniec zawinęliśmy w jasną płachtę materiału. Do oglądu pozostała tylko twarz.

Gdy panowie przyszli je zabrać, przez jedną małą chwilę dostrzeżliśmy ich zaskoczenie. Chyba jednak nie wierzyli, że uda nam się doprowadzić ciało taty, nieżyjącego już przecież od dwóch tygodni, do stanu, który kojarzyłby się z czystością. Ale rzeczywiście zrealizowaliśmy to tak, jak chcieliśmy, zwłaszcza że zależało nam na tym, by [REDAKTOR] kojarzyli śmierć swojego dziadka z czymś czystym, jasnym i nie budzącym przerażających skojarzeń. A ciało taty w kremowo-białym materiale wprost idealnie oddawało znaczenie jasnej strony umierania. Panowie patrzyli na nas co prawda nieco zdziwieni tym niecodziennym strojem, ale jednocześnie czuć było, że doceniają efekt naszej pracy. Ciało przenieśli do trumny już w innym pomieszczeniu, a potem zaprosili nas i dali czas na pożegnanie. Dzieci przyjęły widok dziadka w płachcie jako coś naturalnego. A potem jego ciało udało się w ostatnią już podróż samochodem – prosto do krematorium.

[REDAKTOR] bez taty

Mieszkanie taty na [REDAKTOR] już od prawie dwóch tygodni stało opuszczone przez swojego właściciela [REDAKTOR] i jego przyjaciela [REDAKTOR]. Ale my dowiedzieliśmy się o tym dopiero przed paroma dniami. Tym razem, gdy już na zawsze miał opuścić swoje niewielkie mieszkanie, nie mógł jednak wyjść jak zawsze – [REDAKTOR]. Sam wyszedł natomiast [REDAKTOR], zmuszony nagłym podmuchem losu do porzucenia wszystkich swoich rzeczy. Jeszcze rano miał pewny kąt u kumpla [REDAKTOR], a po południu stał się znowu człowiekiem bezdomnym. Taka ot niepewność ludzkiego losu. Czy [REDAKTOR] przewidywał, że już wkrótce jego towarzysz odejdzie z tego świata, pozbawiając go tym samym stałego zakwaterowania? Trudno powiedzieć. Równie trudno zresztą odpowiedzieć na pytanie, czy i tata przewidywał, że już wkrótce pozbawi [REDAKTOR] stałego lokum.

Zazwyczaj życie w ogóle jest niełatwe do przewidzenia, choć wielu ludzi wciąż zachowuje się jakby nie chciało uznać tej oczywistości. Planowanie życia staje się w obecnych czasach lekarstwem mającym zniszczyć jego niepewność. O ile jednak plany tygodniowe wydają się być naturalnym elementem życia, o tyle plany wieloletnie mogą już niepokoić. Planują więc ludzie już od samego początku, czyli od narodzin swoich dzieci. A zatem te dzieci rodzą się już jako ludzie zaplanowani, z zaplanowanej ciąży, wydobyci z rozciętego brzucha sprawnym ruchem lekarza, oczywiście w zaplanowanym dniu. Zaplanowany człowiek ma kształcić się w dobrej

szkole, uczyć się przynajmniej dwóch języków, chodzić na tenis, pobierać lekcje gry na pianinie. Potem musi zgodnie z planem, rzecz jasna, rozpocząć zaplanowaną karierę, a tym samym wejść w kierat mozolnego wspinania się po stopniach. Przy okazji dochodzenia do szczytu owych schodów, powinien wreszcie przestać być egoistą i pomyśleć o planowaniu nie tylko swojego, lecz również cudzego życia – a zatem powinien zacząć potomka. I tak wciąż od nowa. Może więc i lepiej, że istnieją jeszcze na tym świecie ludzie, którzy nie wierzą w siłę planowania, którzy żyją raczej chwilą i teraźniejszością. Dla nich śmierć nie jest zagrożeniem, którego należy się bać i ze wszystkich sił unikać. Umieranie jawi się im raczej jako najbardziej naturalne i najbardziej pewne zjawisko na tym świecie. Tak właśnie sprawa ta przedstawiała się u moich ludzi na [REDAKTOWANE]. Kolejne odejścia najbliższych towarzyszy lub sąsiadów nie załamywały, a stawały się jedynie powodem do zadumy i przypomnieniem o jedynej zagwarantowanej i nieodwołalnej stronie ludzkiego istnienia – o przemijalności ziemskiego trwania.

Niektórzy umierają latami, oczekując śmierci ze wzrokiem utkwionym w monotonnej bieli sufitu, u innych z kolei odejście trwa zaledwie chwilę. Tacie zajęło to dwa dni, choć właściwie te dwa dni były tylko epilogiem rozłożonego na lata samobójstwa. Tak, organizm taty miał w końcu dość takiego traktowania. Bo ile to już lat jego wątroba musiała walczyć z odtruwaniem całego ciała. Ile to już lat minęło, od kiedy zwątpiła we własne siły i poddała się woli taty. Musiał więc nastąpić moment zdecydowanej kapitulacji. I właśnie wówczas, te dwa dni przed odejściem taty, jego wątroba nie była już gotowa do dalszej regeneracji. Tata czuł się niezbyt dobrze, a właściwie to z godziny na godzinę coraz gorzej. Trucizna powoli rozchodziła się po całym ciele. Sączyła się niespiesznie, zatruwając kolejne komórki. [REDAKTOWANE] wiedział, że nie jest dobrze. Chciał wezwać nawet pogotowie. Ale jeszcze lepiej wiedział o tym tata, tyle że ostatnią rzeczą, jakiej wówczas pragnął, byli lekarze i szpital. Przez całe życie trzymał się przecież z dala od instytucji medycznych i na pewno nie zamierzał umierać gdzieś w czystej, szpitalnej pościeli. Umrzeć chciał u siebie, we własnym łóżku na [REDAKTOWANE]. [REDAKTOWANE] nalegał, ale tata był zawzięty w swym postanowieniu. Nie, to za mało powiedziane – tata był gotów zrobić wszystko, byle tylko [REDAKTOWANE] nie zadzwonił. Jeśli trzeba byłoby się bić, to by się bił. Tak, tata chciał bić się ze swoim dobrym kumplem [REDAKTOWANE]. Z tym samym dobrze zbudowanym [REDAKTOWANE], który w przeszłości odnosił sukcesy jako młody zapaśnik. A teraz ten [REDAKTOWANE] stanął przed groźbą bicia się ze swoim dobrym kumplem [REDAKTOWANE], który nie dość że szczupły i [REDAKTOWANE], to jeszcze wycieńczony. Po pogotowie nie miał więc co dzwonić. Za to mógł spełnić ostatnią wolę umierającego i przynieść trochę wódki od pani [REDAKTOWANE]. Tak też uczynił. Może tata chciał zapić fizyczny ból, który stawał się coraz bardziej męczący, albo też chciał przyspieszyć to przedłużające się umieranie, a może po prostu bał się mającego wkrótce nadejść przejścia do

innego świata. Czy jest to zresztą choć trochę istotne? Nie za bardzo. Ważne jest natomiast to, że [REDACTED] okazał się porządnym przyjacielem i nie wrócił od pani [REDACTED] z pustymi rękoma. A kiedy wyszedł po raz drugi, to tata ukradkiem wymknął się z tego świata, pozostawiając w swym ziemskim mieszkaniu jedynie dziwnie żółte ciało. Ciało, które nie dało rady żyć dłużej rytmem ulicy [REDACTED].

A tego dnia mieszkanie taty już prawie od dwóch tygodni było zupełnie puste i bez ruchu. Staliśmy na korytarzu, wsłuchując się w nieprzyjemną ciszę tkwiącą jakby w znieruchomieniu za brązowymi drzwiami oblepionymi w kilku miejscach policyjną taśmą. I chyba właśnie wówczas dostrzegłam po raz pierwszy to wyjście na strych – podniesioną klapę, za którą rozpościerała się przestrzeń ciemna i niewyraźna. To dodatkowo spotęgowało dziwne wrażenie. Całe [REDACTED] piętro wydało mi się obce i nieprzyjazne. W mieszkaniu naprzeciwko byli co prawda jacyś nowi lokatorzy. Nowi, bo poprzednim był ten młody o zszarzałej twarzy, który umarł zresztą wkrótce potem, gdy po raz pierwszy i ostatni spotkałam go u taty. Okazało się, że ten chłopak był wówczas świeżo po wyjściu z więzienia, co wyjaśniałoby szarość jego skóry i podejrzliwość w kontaktach z ludźmi. Ale mimo młodego wieku wyprzedził tatę i odszedł jako pierwszy. Z kolei w mieszkaniu za ścianą taty mieszkał jakiś dziadek. Tata tak go nazywał, ale ja tego dziadka, czyli pana [REDACTED] znałam tylko z opowieści. Staliśmy tak na korytarzu jeszcze parę minut, aż przyszła pora, by pociągnąć lekko taśmę i kluczem otworzyć drzwi mieszkania taty. Dziwne napięcie, bo niecodziennie chodzi się przecież odwiedzać puste domy porzucone przez swych właścicieli. Wewnętrzne spięcie puściło z uścisku wraz z otwarciem drzwi, a pierwsze spojrzenie do środka odarło atmosferę z pełnych lęków wyobrażeń. To było wciąż to samo małe, jednopokojowe mieszkanie. I choć panował w nim może nieco większy niż zazwyczaj zaduch i bałagan, to jednak w wyglądzie zewnętrznym niewiele się zmieniło. Zmiana dokonała się raczej w wyczuwalnej intuicyjnie atmosferze. Bo w mieszkaniu brakowało po prostu jego mieszkańców.

Przyznam, iż łudziłam się, że uda nam się wszystko wysprzątać – powyrzucać śmieci i zbędne przedmioty, te dobre przekazać [REDACTED], a przy tym jeszcze poprzeglądać szafki i szuflady, by zachować coś dla siebie, coś, co miało być – jakkolwiek by to nie zabrzmiało – pamiątką po tacie. Tyle że więcej czasu poświęciłam na chodzenie po tym niewielkim pokoju, na zagłębienie w zakamarki i na półki, na rozmyślanie i rozmowy. [REDACTED] natomiast solidniej przyłożył się do pracy. Na początku towarzyszył nam zresztą pomysł, by jak najwięcej rzeczy taty spalić w jego własnym piecu. Ten, kto jednak kiedykolwiek próbował rozpalic niewyczyszczony piec w upalny dzień, ten wie, jak mogły skończyć się nasze próby. Tak więc zamiast palenia zarzuciliśmy na rzecz dużo prostszego wyrzucania. Tym bardziej że śmietniki

były przed oknami taty mieszkania. Rzeczy duże gabarytowo, takie jak kołdry, zrzucaliśmy, a resztę [REDAKTOR] pakował i wynosił. Zanim jednak zdążyliśmy przystąpić do jakichkolwiek działań, w oczy rzucił nam się niewielki przedmiot, który leżał w widocznym miejscu nieopodal dawnego stołu. Dawnego, bo teraz stół już nie istniał – blat został zdjęty, zapewne po to, by ułatwić dojście do ciała taty. Ten przedmiot, który zwrócił naszą uwagę, był co prawda nieduży i w mało wyrazistym kolorze, ale jednak jego kształt i forma nie pozostawiały wątpliwości – ten przedmiot wyglądał jak portfel. Mały, skórzany portfel, zszarzały z brudu i wytarty, a w nim tylko jedna jedyna rzecz – dowód osobisty taty. Spojrzeliśmy na siebie zdziwieni, bo przecież wciąż jeszcze w naszych głowach pobrzmiewała wiadomość przekazana przez policjantów, wiadomość brzmiąca niczym groźba – tata miał zostać pochowany jako człowiek o nieznanym tożsamości. A to dlaczego? Bo nie miał przy sobie żadnych dokumentów. A teraz my trzymaliśmy w rękach jego dowód, który poświadczał nie tylko dane taty, ale poświadczał też coś jeszcze – nieudolność, głupotę i lenistwo dzielnicowych. Czyż bowiem to nie policjanci powinni być jak mało kto bystrzymi obserwatorami? Może i powinni, ale ci raczej nimi nie byli.

Wchodząc do środka, drzwi mieszkania zostawiliśmy otwarte na oścież. Na korytarzu nikogo raczej się nie spodziewaliśmy, bo wyższych pięter w tej kamienicy nie było, a i na tym piętrze ruch był raczej niewielki. Z przeświadczenia, że jesteśmy tu tylko my, wyrwał nas głos przy drzwiach. Dziadek uśmiechał się do nas, stojąc na progu, schludnie ubrany w koszulę i garnitur.

–Szukacie, szukacie, ale nic tu nie znajdziecie. Pieniądzy to oni nie mieli – powiedział to z taką prawdziwą życiową mądrością, właściwą niektórym starym ludziom.

A potem zaprosiliśmy go do środka i dziadek z chęcią wszedł, pewnie jak zawsze, gdy przychodził do swego sąsiada [REDAKTOR]. Pan [REDAKTOR] emanował specyficznym spokojem, taką pewnością, że oto życie niewiele może już mieć dla niego niespodzianek. Siedział z nami dość długo i dzielił się swoimi przemyśleniami. Bo najwięcej przemyśleń pojawia się chyba właśnie przy okazji sytuacji „kryzysowych” – narodzin, choroby, śmierci. A dla dziadka [REDAKTOR] to była jedna z wielu takich chwil. Przeżył ich z pewnością немало, bo i młody już nie był – miał w końcu czterdzieści cztery lata. Dziadek siedział na pufie, gdy [REDAKTOR] skoczył jeszcze po [REDAKTOR], by mógł wreszcie odebrać swoje rzeczy, i teraz wszyscy tak rozmyślaliśmy i wspominaliśmy tatę. Rozmowy toczyły się przy dalszych poszukiwaniach czegoś ciekawego, choć bliżej nieokreślonego. [REDAKTOR] wziął po swoim kumplu jakieś buty, a dziadek zdecydował się przejąć jego pufę, a może nawet dwie, porządną kołdrę i parę jakichś drobiazków. Każdą z tych rzeczy długo jednak oglądał, sprawdzał, czy działa i zastanawiał się, czy naprawdę jest mu niezbędna. Dopiero wówczas prznosił to do swojego mieszkania za ścianą. Początkowo

namawialiśmy go również na wzięcie lodówki, starego solidnego mińska, który tata dostał może z rok wcześniej od mojej mamy, czyli swojej byłej żony [REDACTED]. Jednak przy naszej drugiej wizycie pan [REDACTED] oznajmił, że skoro tyle lat żył bez lodówki, to chyba wcale jej nie potrzebuje. Mińsk pozostał więc na swoim miejscu.

Rozmawiać z dziadkiem było prawdziwą przyjemnością, bo cechowała go taka szczerłość i spontaniczność wypowiedzi, a przy tym jeszcze czuło się życiową mądrość bijącą z jego przemyśleń. Dziadek mógł długo siedzieć bez słów, z papierosem w ustach, a potem nagle włączał się do rozmowy, wypowiadając coś w rodzaju złotej myśli. „Wie pan/pani, jak ja tak myślę o tym całym życiu, to powiem panu/pani, że ja już drugi raz bym nie chciał żyć, bo więcej było jednak w życiu złego niż dobrego”. A mówił to jednocześnie z uśmiechem oraz tryskającą z niego chęcią do życia i zapałem do dalszych działań. Albo komentował półgłosem nasze krzątanie się po mieszkaniu: „Sprzątacie, sprzątacie, tak, po nas też ktoś będzie sprzątał”. I nawet ta myśl jakby go lekko bawiła. Krótko mówiąc, byłam pod wrażeniem osoby pana [REDACTED]. Polubiłam go zresztą tym bardziej, że wiedziałam, iż żył w dobrych relacjach z tatą. Najzwyczajniej w świecie darzyli się sympatią i lubili sobie razem zapalić papierosa. Tata zawsze opowiadał o dziadku jako o dobrym człowieku, a teraz to dziadek mówił o nim równie dobrze. „Dobrego sąsiada miałem, bardzo dobrego, ale mówiłem mu, żeby tyle nie pił, bo to się wreszcie tak skończy”. Te dwa mieszkania – taty i pana [REDACTED] – stykały się ze sobą jedną ścianą, tą, przy której stało łóżko taty. I gdy tata pukał w tę ścianę za swoim łóżkiem, to zjawiał się dziadek, przysiadął, częstował fajką. Bo dziadek też był palaczem, ale – jak podkreślał – dopiero od dwudziestu lat, czyli od czasu, gdy zmarła jego żona.

Krzętailiśmy się w mieszkaniu taty parę ładnych godzin. Gdy wychodziliśmy, nie było co prawda dużo czyściej, ale za to mieliśmy ze sobą parę skarbów. A przede wszystkim dowiedzieliśmy się od [REDACTED] o jednej z pasji taty, o którą zupełnie byśmy go nie podejrzewali. Tata był mianowicie miłośnikiem kart, a zwłaszcza lubił układać pasjansa. W ogóle miał do kart jakąś słabość. Dużo talii znajdował na klejbie. Te lepsze sprzedawał pani [REDACTED], a te gorsze zostawiał sobie. Część jego karcianych zbiorów wzięliśmy więc ze sobą. I jak się później miało okazać, karty to rzeczywiście przydatne przedmioty. Sami wciągnęliśmy się w rodzinne granie z [REDACTED]. Partyjka makao przed śniadaniem stała się swego czasu nałogowym wręcz przyzwyczajeniem [REDACTED]. Ale karty przydawały się też do innych celów – były najpewniejszą zabawą dla małej, kilkumiesięcznej [REDACTED], a przy tym zawsze gwarantowały nam pięć, a czasem nawet dziesięć minut wolnego czasu. Wystarczyło wręczyć [REDACTED] starą, zniszczoną talię owiniętą gumką recepturką. A ona najpierw dość długo i usilnie walczyła z gumką, by po jej zdjęciu z satysfakcją rozsypać na podłodze wszystkie karty i bawić się w ich

przekładanie, uklepywanie i zaginanie. Słowem, sama radość. Tak więc tego dnia, gdy wróciliśmy z odwiedzin w mieszkaniu taty, mieliśmy przy sobie z pewnością dużo kart, a także ukochany zegarek taty – starego rolexa, który miał brud wryty i jakby na stałe przyklejony do metalowego paska. Rolex, który był prawdopodobnie najbrudniejszym rolexem, jakiego świat widział na oczy, i jest przy tym równie prawdopodobne, że jedynym, który zaliczał klejby na ręce swojego właściciela.

Pogrzeb

Swoje przyście na pogrzeb taty zapowiedzieli [REDAKTOR]. A pani [REDAKTOR] zapowiedziała, że raczej na pewno nie przyjdzie z powodu bolących nóg. Ostatni współlokator taty oraz ich najstarszy sąsiad dotrzymani słowa. Pani [REDAKTOR] zresztą też, bo rzeczywiście się nie pojawiła. A [REDAKTOR] który najgłośniejsz zapewniał, że oczywiście, że na pewno, że jakże by mógł inaczej, kiedy [REDAKTOR] tak wiele dla niego zrobił – ten sam [REDAKTOR] który na [REDAKTOR] przeszedł niezwykle szybką przemianę od grzecznego mężczyzny do wciąż narąbanego cwaniaka, po prostu na pogrzeb się nie pofatygował.

Pogrzeb jak to pogrzeb. Spotkanie w kaplicy, gdzie najpierw wystąpił ubrany w czarną sukmanę mistrz ceremonii – facet wysoki, potężny, mówiący głębokim, aktorsko przygotowanym głosem. Oprócz dwóch wierszy, które wybrałam jako wstęp i zakończenie, wygłosił również przemówienie, także zresztą przygotowane przeze mnie. Za występ pobrał odpowiednią kwotę. Ale wcale nie większą niż ta, której żądał ksiądz. Sprawa obecności tego ostatniego w ogóle była niejasna aż do dnia poprzedzającego pogrzeb. Przyjaciele z młodości taty twierdzili, że jest katolikiem. Być może rzeczywiście był nim za młodych lat. Dlatego podjęłam decyzję, by prosić księdza o udział w nabożeństwie żałobnym. A właściwie miał zrobić to [REDAKTOR] jako osoba bardziej związana z Kościołem niż ja. Tyle że [REDAKTOR] o mało nie stracił panowania nad emocjami, gdy przeprowadził rozmowę z proboszczem urzędującym na [REDAKTOR]. Facet był zaprzeczeniem wszelkich cnót nie tylko chrześcijańskich, ale w ogóle czysto ludzkich. Przekonać mogłam się o tym osobiście, gdy po nieudanej wizycie [REDAKTOR] przejąłam prowadzenie tej sprawy. Mówiąc krótko – poniżej trzystu złotych nie mamy o czym rozmawiać, a takich jak pani ojciec było tu już wielu. Do tego jeszcze nie wydał pozwolenia, by ziemię mógł poświęcić ksiądz z innej parafii. Ten niski grubasek okazał się idealnym wprost uosobieniem psa ogrodnika. Cała ta historia zakończyła się jednak połowicznym sukcesem, bo proboszcz z [REDAKTOR] nie zląkł się pazerne kolegi po fachu i zdecydował się rozmawiać „poniżej trzech

stów”. Ale gdy pojawił się w dniu pogrzebu w kaplicy [REDAKT], wyglądał na nieco znużonego i nie wykazywał żadnego zainteresowania przebiegiem ceremonii. Wystąpienie mistrza świeckich pogrzebów uznał za preludium niegodne uwagi. A my i tak byliśmy naprawdę zadowoleni, że udało nam się skorzystać z usług obydwu tych profesjonalistów. Zwłaszcza że i jeden, i drugi udzielili nam zniżek. Może nie byłoby to aż tak istotne dla normalnych obywateli, których pogrzeb sponsoruje ZUS. Ale tacy jak ludzie ze [REDAKT] ubezpieczeń nie mają, więc ich pochówkiem zajmuje się opieka społeczna, a jeśli to rodzina chce przejąć organizację tego wydarzenia, to musi za to sama zapłacić. Koszty nie idą jednak w setki, lecz w tysiące, dlatego starałam się ucinać wszelkie dodatkowe wydatki. Tyle że cały ten funeralny przemysł jest tak zorganizowany, by uniemożliwić cięcie kosztów. Nie mogłam zatem zrezygnować z obecności mężczyzn ubranych w jakieś zabawne stroje, którzy mieli nieść z kaplicy urnę i kilka zniczy. Urnę niosłam sama, a panowie i tak dreptali ze świeczkami. Nie mogłam również zrezygnować z wielu innych atrakcji. Udostępnienie i dekoracja kaplicy – 380 złotych. Wznowienie opłaty za plac – 450 złotych. Oprawa wokalnno-muzyczna – jedyne 80 złotych. Wykopanie grobu pod urnę – 500 złotych. Eksportacja i wpuszczenie do grobu – 200 złotych. Po podsumowaniu wychodziła wcale niemała suma pieniędzy, zwłaszcza że tydzień wcześniej wydaliśmy podobną na doprowadzenie ciała taty do formy prochów. Polskie prawo zabraniało nam jednak na tym poprzestać, bo wymagane było pochowanie urny. Czytając na głos rachunek z cmentarza, nieźle się ubawiłam. Wykopanie grobu okazało się najkosztowniejszą częścią, choć zrobić nieduży dołek w ziemi potrafiłoby prawdopodobnie każde dziecko powyżej trzech lat. Równie banalne było warte dwie stowy „wpuszczenie do grobu”. O żadnym wpuszczaniu nie mogło być mowy, bo chodziło o zwykłe wsadzenie drewnianego pudełka do dziury. To także przyszyłoby bez trudu nawet przedszkolakowi, który kiedykolwiek próbował ukryć pod ziemią skarb piratów.

Na ten cmentarz to przyjechaliśmy autobusem, z urną w naszym ulubionym plecaku. Bo prochy taty zabraliśmy po kremacji do domu, tak by łatwiej było oswoić się z jego odejściem. Nazywałam ten dziwny przedmiot „dziadkiem instant”. Urna była drewniana, koloru ciepłego pomarańczowego brązu. Była tańsza od innych takich samych, bo zachowała się jeszcze z poprzedniej dostawy. Tyle że miała rysę – taką niedużą, ale jednak widoczną. Ale czy i życie taty nie miało pewnej rysy?

Po tej uroczystej części w kaplicy, gdzie wystąpił mistrz ceremonii i katolicki ksiądz, powędrowaliśmy do grobu, w którym leżały już ciała mojej babci [REDAKT], kelnerki [REDAKT], i jej o [REDAKT] lat starszego męża, czyli mojego dziadka [REDAKT], z zawodu dziennikarza i pisarza. Ciało taty miało zatem spocząć wraz z ciałami jego rodziców. A gdy już ksiądz poświęcił ziemię i oddalił się razem z mistrzem ceremonii, mogliśmy wreszcie pożegnać

tatę przy jego ulubionym utworze Niemena. Tak, mieliśmy ze sobą sprzęt grający. Bo czy tata nie powinien mieć chociaż na własnym pogrzebie dobrej muzyki? Zwłaszcza że prosił o ten kawałek kilkakrotnie, gdy pojawiał się u nas na [REDACTED]. „Co byś tato chciał posłuchać?” – pytałam nie raz, a tata bardzo często odpowiadał: „No najchętniej to bym posłuchał *Bema pamięci żałobny rapsod*”. Tyle że ja nigdy nie mogłam znaleźć właściwej kasyty. I udało mi się puścić ten utwór dopiero tam, przy grobie na [REDACTED]. Ale tata raczej nie miał już z tego pociechy. A rapsod rzeczywiście robił niesamowite wrażenie, zwłaszcza w sytuacji pogrzebu. I nie trzeba było wcale znać całego tekstu wiersza Norwida, by szczerze się wzruszyć. Właściwie wystarczyła tylko ta monumentalna muzyka i głos Niemena wykrzykujący trzy pierwsze słowa. „Czemu, Cieniu, odjeżdżasz...”. Tak, słowa płynęły rozpluwając się w powietrzu pośród hałasu aut jadących w szybkim tempie po pobliskiej ulicy [REDACTED]. A gdy z naszego starego sprzętu wybrzmiały ostatnie dźwięki, pojawiła się jakaś ulga. Tak jakby rapsod pochłonął wszystkie smutki i żale.

Ze świata taty na [REDACTED] przyszło na pogrzeb dwóch ludzi. Pan [REDACTED] stawiał się punktualnie pod kaplicą, w białej koszuli i garniturze. I choć widziałam go jeszcze dzień wcześniej w dawnym mieszkaniu taty, to w dniu pogrzebu miał już nową fryzurę. Ten dziadek był człowiekiem z zasadami w starym stylu. Zawsze elegancki, gdy wychodził do ludzi. I nawet jeśli był upalny dzień, a on miał zrobić zakupy na bałuckim rynku, to jechał tam w pełnym umundurowaniu. A ścięcie włosów przed pogrzebem ulubionego sąsiada też z pewnością uznał za swój obowiązek. Tego drugiego człowieka, czyli [REDACTED], dostrzegłam dopiero, stojąc przy grobie. A właściwie to pierwszy ujrzał go [REDACTED]. Potem dyskretnie klepnął mnie, wskazując jego postać ruchem głowy, bo widok był rzeczywiście dziwny. Grób taty znajdował się w dolnej części cmentarza, a [REDACTED] podążał w naszą stronę jakby z góry, więc jego sylwetka była wyraźna. Zwłaszcza że [REDACTED] poruszał się w jakiś niezwykły sposób. Ubrany w niebieską koszulkę z kołnierzykiem chybotał się w trudny do opisanego sposób. Nogi sztywne jak u robota, przez co gibał się raz na prawo, raz na lewo. A ten powtarzający się ruch sprawiał, że w jego dłoni powiewała w równie mechanicznym rytmie wiązanka jakichś polnych kwiatów. W pierwszym momencie uznałam, że on jest po prostu bardzo pijany, ale gdy zbliżył się do nas, wiedziałam już, że źle oceniłam sytuację. [REDACTED] był trzeźwy i z całych sił starał się pokonać własną niemoc, by dotrzeć na pogrzeb swego kumpla i współlokatora. A starać musiał się mocno, bo nogi znów odmówiły mu współpracy. I gdy wybrzmiał do końca żałobny rapsod, część ludzi, choć i tak było ich niewielu, zaczęła się żegnać i ruszać z powrotem do swojego życia. Wtedy dostrzegłam ich obu – [REDACTED] – siedzących razem na cmentarnej ławeczce. A była to najpiękniejsza scena z całego pogrzebu. Siedzieli tak skromnie obok siebie –

jeden niski i drobny, w garniturze i koszuli, drugi wielki i barczysty, w zwykłej bawełnianej koszulce. Każdy trzymał w dłoni papierosa i siedzieli razem, tak dziwnie naturalni i spokojni. A dziadek dopiero wówczas dowiedział się, jak miał na nazwisko jego sąsiad i przypomniał sobie, że był już na pogrzebie jednego [REDACTED]. Wstał nawet z ławki, by ruchem ręki wskazać nam kierunek tamtego grobu. A potem z powrotem usiadł obok [REDACTED]. I choć zapraszaliśmy ich obu, by poszli razem z nami na szarlotkę i kawę do maleńkiej kawiarni, to oni woleli spokojnie posiedzieć na cmentarzu. Zostawiliśmy ich więc na tej małej ławeczce, by mogli bez pośpiechu wypalić fajkę. A zaciągając się papierosem, patrzyli gdzieś w dal, ale nie na cmentarz, nie na ciągnące się wokół groby, lecz jakby dalej – gdzieś po horyzont.

Zaraz wracam

Druga wizyta w mieszkaniu taty przebiegła dosyć podobnie do pierwszej. Sprzątanie, szukanie, grzebanie, pakowanie, wynoszenie oraz rozmowy z [REDACTED].

W spadku po tacie, który sami sobie zresztą przydzieliliśmy, przypadło nam sporo praktycznych przedmiotów. [REDACTED] zaopatrzył się w ten sposób w piłę oraz metalowe pudełko ze śrubkami, a ja w rtęciowy termometr. Do tego doszły wspomniane już karty, rolex, drewniany krzyż i jeszcze całe mnóstwo mniejszych i większych drobiazgów, których nie sposób by dzisiaj wyliczyć. Ale najbardziej ucieszył nas w tym dniu fakt, że [REDACTED] [REDACTED] przejął po nim jego najbliższy w ostatnich miesiącach życia kumpel [REDACTED]. Bo [REDACTED] picie royalu odbijało się [REDACTED] [REDACTED]. W gorsze dni [REDACTED] nie mógł chodzić prawie wcale, w te nieco lepsze poruszał się z gracją automatycznego robota. [REDACTED] [REDACTED]

Po zdjęciu drewnianego krzyża z przybitą do niego postacią Jezusa pozostał na ścianie bardzo fotogeniczny ślad. Krzyż wisiał w pobliżu pieca, tam gdzie najbardziej dymi się i kurzy, więc pod krzyżem ściana była dużo jaśniejsza. Wyrzył się zatem jasny kształt krzyża na brudnej, zaczernionej od sadzy ścianie. Taki trwały ślad obecności jakiejś wyższej, boskiej siły. I choć bardzo chciałam go uwiecznić na fotografii, to wciąż czułam, że to nie ten dzień, że światło jest za słabe, by oddać urok tego obrazu. Pozostał on więc jedynie w pamięci jako zatrzymany kadr. A później natrafiłam na jeszcze jedną rzecz, która budziła swego rodzaju mistyczne uczucia. Tę kartkę znalazłam na kredensie, który służył przede wszystkim jako kuchenne półki. Leżała

gdzieś pomiędzy plastikową suszarką do naczyń a jakimiś drobiazgami. Taka zwykła kartka wyrwana z zeszytu w kratkę, na której tata napisał: Zaraz wracam. ■■■■.

Zakończenie

Niniejsza praca, opierając się na doświadczeniach zebranych w czasie kilku lat odwiedzania, zagładania i bywania w świecie mojego taty, prezentuje nie tylko antropologiczne rozważania dotyczące kultury ludzi zubożałych i wykluczonych z ulicy [REDAKTOWANE], ale proponuje także literacką formę opisu tego miejsca i jego klimatu. Swoją pozycję jako twórcy postrzegam zresztą właśnie jako znajdującą się gdzieś na pograniczu pomiędzy światem nauki a światem literatury, dodajmy jeszcze – literatury faktu. Gdybym potraktowała ulicę [REDAKTOWANE] jedynie jako badawczy teren służący do obserwowania innej – niż moja własna – kultury, a później także do opisywania jej językiem naukowym, to czułabym z pewnością pewien niedosyt. Dlatego postanowiłam zastosować również drugi sposób opisywania świata – za pomocą języka literackiego. Sięgnęłam zatem po jeden z gatunków literatury faktu – reportaż – dający możliwość nie tylko relacji mocno subiektywnej, ale wręcz przesyconej emocjami, refleksjami i wrażeniami autora. Dopiero połączenie w jednej pracy analiz naukowych z literacką formą reportażu pozwoliło mi myśleć, że choć po części udało się oddać specyficzny klimat ulicy [REDAKTOWANE] oraz swoiście charakterystyczne dla tego miejsca zachowania codzienne jej mieszkańców.

O ile jednak zazwyczaj to osoba wizytująca inny świat wycofuje się w którymś momencie z terenu swoich badań i wraca do własnego świata, by przeanalizować i uporządkować zebrany materiał, o tyle w przypadku tej pracy sprawa potoczyła się mniej typowo. Moje współuczestnictwo w kulturze ludzi żyjących na marginesie „normalności” zakończyło się w sposób – można by rzec – naturalnie ludzki, czyli wraz z odejściem mojego taty. I choć zapewne mogłabym kontynuować moje bywanie na [REDAKTOWANE], to uznałam jednak tamten moment za najważniejszy, by rozstać się – przede wszystkim emocjonalnie – ze światem tej ulicy. A zatem koniec mojej zarówno zwyczajnie ludzkiej, jak i antropologicznej przygody w świecie reprezentowanym przez mojego tatę wyznaczył się niejako samoistnie. Tomasz Rakowski, podsumowując swoje badania wśród ludzi zubożałych, stwierdza:

I wtedy też zdałem sobie po raz kolejny sprawę, że etnograf opuszcza w końcu miejsce swoich badań, podczas gdy ta rzeczywistość wciąż toczy się dalej, z całą jej nieustępliwością, i tu kryje się ta bardzo charakterystyczna cecha fikcji etnograficznej –

jest ona w pewnym momencie „zamykana”. Tymczasem we wszystkich tych miejscach, w których prowadziłem badania, wszystko „toczy się dalej”¹⁰⁴.

Z jednej strony, mogłabym również stwierdzić, że na [REDACTED] wszystko toczy się dalej, jak mawiamy potocznie – po staremu. Bo przecież klimat tej ulicy niewiele się zmienił przez ostatnich kilka lat. Ale z drugiej strony, mimo pozornego braku zmian, jest to dla mnie, zarówno prywatnie, jak i zawodowo, zupełnie inne miejsce niż to przeze mnie opisywane. A powód tego wydaje się dość oczywisty – nie ma już po prostu wśród mieszkańców [REDACTED] wielu portretowanych w moich reportażach osób, w tym także tych najbliższych mojemu sercu – nie ma już bowiem [REDACTED] i nie ma już mojego taty. Życie na [REDACTED] toczy się więc dalej, tyle że nie jest to już moja [REDACTED]

104 T. Rakowski, Łowcy..., s. 371.

Bibliografia

- Bauman Zygmunt, *Płynne czasy. Życie w epoce niepewności*, Warszawa 2007.
- Bauman Zygmunt, *Praca, konsumpcjonizm i nowi ubodzy*, Kraków 2006.
- Bauman Zygmunt, *Życie na przemiał*, Kraków 2004.
- Dzięcielski Robert, *Ludowe obrazy miasta. Inspiracje Bystroniowskie*, „Łódzkie Studia Etnograficzne”, t. 40, Łódź 2001.
- Filipska Dorota, *Miejskie heterotopie*, praca magisterka napisana pod kierunkiem Andrzeja P. Wejlanda, wydruk komputerowy w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej UŁ, Łódź 2008.
- Foucault Michel, *O innych przestrzeniach. Heterotopie*, „Kultura Popularna” 2006, nr 2.
- Hastrup Kirsten, *Droga do antropologii. Między doświadczeniem a teorią*, Kraków 2008.
- Hugo-Bader Jacek, *Rozkosze niemania*, „Duży Format” (dodatek do „Gazety Wyborczej”) 2009, nr 37/845.
- 
- Kapuściński Ryszard, *Dałem głos ubogim. Rozmowy z młodzieżą*, Kraków 2008.
- Kąkolewski Krzysztof, *Reportaż*, [w:] *Słownik literatury polskiej XX wieku*, red. Alina Brodzka, Mirosława Puchalska, Małgorzata Semczuk, Anna Sobolewska, Ewa Szary-Matywiecka, Wrocław 1992.
- Karpińska Grażyna Ewa, *Lato w getcie. Piekło okupacyjnej heterotopii*, [w:] *Lato w mieście. Różne oblicza kultury*, red. Róża Godula-Węclawowicz, Warszawa-Kraków 2010.
- Karpińska Grażyna Ewa, *Miejsce wyodrębnione ze świata. Przykład łódzkich kamienic czynszowych*, „Łódzkie Studia Etnograficzne”, t. 38, Łódź 2001.
- Kociatkiewicz Jerzy, Kostera Monika, *Antropologia pustych przestrzeni*, [w:] *Pisanie miasta. Czytanie miasta*, red. Anna Zeidler-Janiszewska, Poznań 1997.
- Maziarski Jacek, *Reportaż*, [w:] *Słownik rodzajów i gatunków literackich*, red. Grzegorz Gazda, Słownia Tyniecka-Makowska, Kraków 2006
- Mendel Maria, *Spółeczeństwo i rytuał. Heterotopia bezdomności*, Toruń 2007.
- Rakowski Tomasz, *Łowcy, zbieracze, praktycy niemocy. Etnografia człowieka zdegradowanego*, Gdańsk 2009.
- Sulima Roch, *Antropologia codzienności*, Kraków 2000.



Tokarska-Bakir Joanna, Zapiski współwinnego widza, „Duży Format” (dodatek do „Gazety Wyborczej”) 2011, nr 28/946.

Wańkiewicz Melchior, Karafka La Fontaine'a, t. 1, Kraków 1974.

Wańkiewicz Melchior, Prosto od krowy, Warszawa 1965.

Wejland Andrzej Paweł, Latem w parku. Epifanie codzienności, [w:] Lato w mieście. Różne oblicza kultury, red. Róża Godula-Węclawowicz, Warszawa-Kraków 2010.

Źródła internetowe

Boniecki Adam, Tochman Wojciech, Kraj płacze, a ich nie ma,

http://tygodnik.onet.pl/31,0,63437,kraj_placze_aich_nie_ma,artykul.html.

Grochowska Magdalena, Reportaż ze skutkiem śmiertelnym,

http://wyborcza.pl/1,76842,9806261,Reportaz_ze_skutkiem_smiertelnym.html?as=2&startsz=x.

Kaczmarczyk Agnieszka, Teoretyczne rozważania nad poetyką reportażu,

<http://www.bolgraph.com.pl/ftp/publikacje/8127.pdf>.

Krynicka Anna, Heterotopia Drohobycz, <http://nowakrytyka.pl/spip.php?article418>.

Lewandowski Maciej, Reportaż literacki – prawda czy fikcja?,

<http://www.lekturyreportera.pl/nasze-rozwazania/reportaz-literacki-%E2%80%93-prawda-czy-fikcja/>.

Miller Marek, Zawód reporter, <http://e-lekcje.org/mamtv/zawod-reporter.html>.

Szczygieł Mariusz, Dlaczego reporter nie żywi się ciszą,

<http://tygodnik.onet.pl/1,64829,druk.html>.

Szczygieł Mariusz, O sztuce pisania i obserwowania świata, <http://e-lekcje.org/mamtv/o-sztuce-pisania-i-obserwowania-swiata.html>.

Szczygieł Mariusz, Wpis dla zainteresowanych reportażem,

<http://www.mariuszszczygiel.com.pl/599,blog/wpis-dla-zainteresowanych-reportazem>.

Tarkowska Elżbieta, Polska bieda ponizona,

http://wyborcza.pl/1,97863,7004246,Polska_bieda_ponizona.html.

Wosińska Małgorzata, Żyła Marcin, Tajemnice traumy,

<http://tygodnik.onet.pl/31,0,64312,2,artykul.html>.



Wszystkie publikacje z Internetu pozyskano w okresie czerwiec – wrzesień 2011 roku.

Fotografie wykorzystane w pracy zostały wykonane przez autorkę.

Spis treści

Wstęp.....	1
Rozdział I	
Antropologiczne bywanie w świecie mojego taty.....	4
Rozdział II	
Ubóstwo we współczesnym świecie. Przykład ulicy [REDACTED].....	14
Rozdział III	
Reportaż – gatunek antropologiczny?.....	25
Geneza gatunku.....	25
Reportaż współcześnie.....	31
Reporter i antropolog.....	35
Rozdział IV	
Heterotopia ulicy [REDACTED].....	42
Rozdział V	
Na [REDACTED] u taty.....	66
Początek.....	66
Bieszczady.....	66
[REDACTED] już odszedł.....	68
Kino.....	73
Wigilia u taty.....	75
Zdjęcia.....	78
Sąsiadka taty.....	81
Odejście [REDACTED].....	82
Wszy.....	85
Wizyty.....	90
Mydło.....	92
Chłopak [REDACTED].....	93
Kłopoty taty.....	95
Nowe mieszkanie.....	98
[REDACTED] i pożar.....	100
Spokojny czas	102

Zmiany.....	105
Strzyżenie.....	106
Ale za co.....	109
Chłopcy z ██████████.....	110
Kapusta na bucie.....	112
Ten dzień.....	114
Następne dni.....	123
Prosektorium.....	127
██████████ bez taty.....	130
Pogrzeb.....	135
Zaraz wracam.....	138
Zakończenie.....	140
Bibliografia.....	142